

Joanna Krężelewska

HISTORIA PISANA ZBRODNIĄ



GŁOS

**HISTORIA
PISANA
ZBRODNIĄ**

PARTNER WYDAWNICTWA



Za pomoc przy zbieraniu materiałów dziękuję:
Sędziemu Markowi Ciszewskiemu prezesowi Sądu Okręgowego w
Koszalinie
Wojciechowi Rychterowiczowi archiwście w Sądzie Okręgowym w
Koszalinie
Joannie Chojeckiej dyrektorze Archiwum Państwowego w Koszalinie

Copyright ©2016 by Polska Press Sp. z o. o.

Polska Press Sp. z o. o.,
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
Oddział w Koszalinie,
ul. A. Mickiewicza 24, 75-004 Koszalin
www.zbrodniepomorza.pl

ISBN: 978-83-945288-0-5

Skład i ilustracje: Wojciech Stefaniec

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Jedna kula. Dwie ofiary

Już więcej nie będę tego robiła

Śmierć za śmierć

Chorobliwa zazdrość, zabójcza miłość

Finką prosto w serce

Zostawił po sobie zgliszcza

Promile zawsze wiozły śmierć

Dziecko wyglądało, jak szkielet

Dała życie. Zabrała życie

Chciał zabić matkę. Zabił dziecko

Morderca z długim językiem

Cztery kule dla męża

Nie myśl, że będziesz dziś żyła

Instynkt macierzyński

Plakała, potem przestała. Prosiła: nie róbcie mi dziecka

Promile karmią bestię

Jeden cios. Za matkę

Buntownik zza krat

Sześćoletni świadek zbrodni

Bo ojciec był porywczy

Urażona duma

Śmierćna torach

Wódka, nuda i mundur

Nie grajcie już walca

Wojna. Również uczuć

Alkoholowa amnezja

Strzelał, bo nie była mu posłuszną

Wybuchowa przesyłka

Zatrzymało się jej serce. Zatrzymały się wskazówki

Morderca z agencji PKO

Wędrowni sprzedawcy portretów

Przestępczy maraton. Złodziej, podpalacz, zabójca

Morderca, który zaufał kolegom z celi

Ogień miał strawić dowody przestępstwa

Ciała 14-latki szukało 70 zomowców

Bezwzględny skąpiec, bezlitosny morderca

Mąż i ojciec. Hulaka i kochanek

Fryzjer, scyzoryk i mydełko

OD AUTORA

„Człowiek to istota, która zabija swojego brata, swego bliźniego.
Według Księgi Rodzaju zbrodnia jest częścią istoty ludzkiej.”

Robert Badinter

C o sprawia, że człowiek jest w stanie popełniać czyny, zasługujące na największe potępienie? Czy zło tkwi w każdym, a tylko specyficzne okoliczności są w stanie je obudzić? Czy można się temu oprzeć? Te pytania w mojej głowie zaczęły się mnożyć kilka lat temu, kiedy na łamach „Głosu Koszalińskiego” zaczęłam relacjonować przebieg kolejnych procesów w sprawach karnych. Słuchałam opisów zbrodni, a motywacja sprawców, spleciona z obojętnością na cierpienie, które zadali, sprawiała, że postawienie kropki na końcu tekstu dla mnie nie było pełnym zakończeniem historii. Czy okrucieństwo jest przynależne współczesności? Tej odczłowieczonej, w której rozmowę zastępuje elektroniczny dialog, a nas w oczach innych nie budują czyny, ale liczba lajków pod podrasowanym zdjęciem. Czy może zło tkwiło w nas od zawsze, a dziś świadomość jego istnienia jest większa, bo przekaz medialny jest silniejszy i rozleglejszy niż dekady temu?

Odpowiedzi postanowiłam poszukać w przeszłości. W aktach spraw, które trafiały na wokandy koszalińskiego sądu po II wojnie światowej. I nie jest ona zbyt optymistyczna. Okrucieństwo, brutalne morderstwa, rozboje, niewytłumaczalna agresja, gwałty - tak wygląda rzeczywistość sal sądowych. Teraz i kiedyś. Zmienia się scenografia, ale bohater był i jest wciąż ten sam - człowiek z całą swoją ułomnością. Bez względu na wykształcenie, pieniądze, wiek, pochodzenie...

Wszystkie historie, które oddaję w Państwa ręce, oparte są na faktach. Te scenariusze napisało życie. Nie ma tu literackiej fikcji, choć dla wielu bohaterów lepiej by było, gdyby zostały wymyślone. Ktoś mógłby dziś być dziadkiem. Dziecko, które nie miało szansy przeżyć nawet dnia, może zostałoby wybitnym naukowcem albo muzykiem. Tego nigdy się nie dowiemy.

Kiedy dziś na sali rozpraw składam wniosek o zgodę na relacjonowanie procesu, sąd decyduje, czy przemawia za tym ważny interes społeczny. Ten ważny interes społeczny rozumiem nie tylko jako

prawo społeczeństwa do informacji, realizację zasady jawności postępowania. Czytam go, jako potwierdzenie prawa oskarżonego do rzetelnego procesu, jego prawa do obrony, ale przede wszystkim, jako świadectwo nieuchronności kary dla osoby winnej. I im bardziej poznaję, do czego zdolny bywa człowiek, tym głośniejsze chcę mówić o tym, że nad jego szyją zawiśnie miecz Damoklesa w postaci wyroku.

Zapraszam w podróż w czasie, podczas której sprawdzimy, jak do prawdy dochodzili sędziowie kilkadziesiąt lat temu. Ma ona jeszcze jeden wymiar - historyczny. Historię regionu można pokazywać z różnych stron, bowiem nie jest ona jednowymiarowa. Odsłaniam tę, która tworzyła się przed obliczem koszalińskiej Temidy po 1945 roku. Ze starych akt odtworzyć możemy nie tylko przebieg zdarzeń, ale też sposób, w jaki pracował ówczesny lokalny wymiar sprawiedliwości. Na setkach stron - spisanych relacji świadków, sprawozdań z sali rozpraw, na dziesiątkach zdjęć, w uzasadnieniach wyroków - wszędzie tam odnajdujemy ślady przeszłości. Nie jest ona radosna, ale to nasza historia, przez mieszkańców naszych terenów napisana.

Joanna Krężelewska

JEDNA KULA DWIE OFIARY

Styczeń roku 1946. Sąd Okręgowy w Koszalinie zajmował budynek przy ul. Matejki. Sędziowie czekali aż zostanie zlikwidowany szpital radziecki, po którym otrzymali dzisiejszą siedzibę. Na wokandę trafiła sprawa okrutnego mordu.

Jeden strzał. Jedna kula, skierowana w stronę trzech idących polną drogą Niemek. Ta kula wystarczyła, by zabić dwie z nich. Trafiła 28-letnią Gertrudę w plecy. Wyszła przez jej pierś i ugodziła idącą obok ośmiolatkę, Gertrudę, w skroń. Obie zginęły. Strzelał 32-letni Stefan G. Choć jego wina nie budziła wątpliwości śledczych, sam nie przyznawał się do oddania morderczego strzału. Twierdził, że był niepoczytalny. A wpływ na to miał litr spirytusu, który wypił wcześniej z dwoma kolegami.

To jedna z najstarszych spraw, sądzonych z artykułu 225 Kodeksu karnego z 1932 roku, które znajdują się w przepastnych archiwach Sądu Okręgowego w Koszalinie. Wówczas artykuł ten przewidywał za umyślne zabójstwo karę od 5 lat więzienia, dożywocie lub karę śmierci. Sąd jednak zmienił kwalifikację czynu. Oto, jak do tego doszło.

30 grudnia 1945 roku. Stefan G., kawaler, wcześniej niekarany, wartownik gorzelni w Broniszewie, wspólnie z kolegą z pracy Alekssem O. wynajęli od Kazimierza K. bryczkę. Obaj mężczyźni ubrani byli w mundury wojskowe. Woźnica zawiózł ich rankiem do wsi Lawiny, gdzie spotkali się z trzecim kolegą. W krótkim czasie wypili we trzech litr - pracownicy gorzelni „nie rozmieniają się na drobne” - spirytusu. Woźnica zeznał później, że sam, jak to odpowiedzialny „kierowca”, wypił tylko kieliszek.

Po południu wyruszyli w drogę powrotną. Stefan G. był mocno pijany. Miał ze sobą karabin. Na polnej drodze w pobliżu Mołstowa (pow. Gryficki) już z daleka zobaczyli trzy postaci. Dwie kobiety i dziecko. Były to 42-letnia Ema H., 28-letnia Gertruda S. i jej 8-letnia siostrzenica Gertruda R. Ema odprowadzała swoje krewne, które feralnego dnia odwiedziły ją w domu w Godynicach. Wtem zobaczyły bryczkę.

- Jeden z mężczyzn miał karabin. Obaj byli ubrani po wojskowemu. Pierwszy zapytał: czy wy jesteście aby Niemki? Powiedziałam: Niemki - zeznała. To wystarczyło. Kiedy bryczka je minęła, padł strzał.



- Strzał nastąpił z bardzo bliska. Z odległości trzech do czterech kroków. Gertruda została zabita na miejscu, mała żyła jeszcze z jakieś dwie godziny. Po wypadku poszłam do młynarza, którego młyn znajdował się blisko miejsca wypadku. Powiedziałam, by jak najszybciej pomógł mi przenieść małą i dać jej ratunek. Poszedł ze

mną, obejrzał ranną i powiedział, że nie ma celu ruszać, ponieważ i tak musi umrzeć - opisywała dramatyczne minuty.

Sama wzięła więc wózek z młyna i zawiozła małą matce. Dziewczynka zmarła po dwóch godzinach. Ojciec Gertrudy zabrał ją z miejsca tragedii sam. 2 stycznia 1946 roku Gertruda S. i Gertruda R. spoczęły na cmentarzu w Mołstowie.

Dzień po zabójstwie milicjanci z komisariatu w Zagórzcu zatrzymali Stefana G. Funkcjonariusze o zbrodni dowiedzieli się po godzinie od wojskowych. Na pożółkłych kartach akt tej sprawy, które z jednej strony są zadrukowanymi niemieckimi dokumentami, bo wymiar sprawiedliwości cierpiał na niedobór papieru, można odnaleźć ich odręcznie spisane zeznania.

Milicjanci na miejsce przestępstwa pojechali jednak... następnego dnia o godz. 8. „Trupów nie zastano” - zeznaje później prokuratorowi jeden z mundurowych. Przesłuchali młynarza Mariana, którego młyn znajdował się 200 metrów od miejsca zbrodni. Stwierdzili, że to właśnie on wskazał jako zabójcę Stefana G. choć sam w zeznaniach prokuratorowi tego już nie potwierdził. Powiedział jednak, że widział furmankę, usłyszał strzał z karabinu. A potem... - Przyszła do mnie Niemka Erna. Powiedziała mi, że na drodze leży zabita Niemka i dziewczynka - potwierdził.

Poszli tam razem. Kobieta już nie żyła, ale dziewczynka jeszcze oddychała. - Widziałem, że miała przestreloną głowę z prawej strony, gdzie było widać mózg - zeznał. Młynarz poradził kobiecie, by o pomoc zwróciła się do sowieckich żołnierzy.

Co ciekawe, w całym tomie akt znajdziemy wyraz „Niemki” pisany z małej litery, a dane osobowe ofiar pojawiają się dopiero w zeznaniach Erny H. Nawet milicjanci operowali w swoich dokumentach „Niemkami”, a raczej „niemkami”.

Stefan G. 31 .grudnia został przewieziony do komendy powiatowej w Zagórzcu. Został tam po raz pierwszy przesłuchany. - 30 grudnia 1945 roku o godz. 17, wracając z kolegą wartownikiem z gorzelnii Alekssem O., byłem w stanie pijanym i nie pamiętam, abym strzelał z tego karabinu - to odręczne notatki przesłuchującego go milicjanta. - Po upływie 4 godzin w mieszkaniu u siebie dowiedziałem się od kolegi, że w drodze powrotnej strzeliłem z karabinu do idących drogą dwóch Niemek, które zostały zabite - oznajmił G.

15 stycznia prokurator Sądu Okręgowego w Koszalinie zlecił śledczym milicjantom oględziny miejsca przestępstwa, przesłuchanie

biegłego lekarza, który dokonał oględzin zwłok Niemek (uporczywie pisanych małą literą) w celu ustalenia przyczyny zgonu, dostarczenie karabinu, czyli narzędzia zbrodni, wreszcie rozpytanie możliwych świadków. Trzeba było szybko działać, bowiem termin na wniesienie aktu oskarżenia upływał 29 stycznia. Tego też dnia zapadła decyzja o areszcie tymczasowym dla Stefana G. Trafił do więzienia w Koszalinie. Zanim jednak został posłany za kraty, znów musiał złożyć wyjaśnienia. Podczas kolejnego przesłuchania po raz wtóry nie przyznał się do winy. Twardo zapewniał, że nie pamięta, by do kogoś strzelał.

Ale jasno wynika to z innych zeznań. Woźnica, naoczny świadek zabójstwa, Kazimierz K. zeznał, że G. miał karabin. W drodze powrotnej zobaczyli trzy Niemki. G. zagadnął je po niemiecku. Kiedy je minęli, strzelił. - Czy kto był zabity, nie wiem. Uważałem na konia.

Potem G. miał się przyznać innym, że „zabił i kobietę, i dziewczynkę” - powiedział.

Podkreślił też, że samego momentu wystrzału nie widział. Jego koń był młody i zmęczony, nad nim trzymał pieczę. Zapewnił, że nawet nie odwrócił się, kiedy padł strzał. Za to pamiętał, że Stefan G. był bardzo pijany. Tak, że na furmankę musieli go wsadzić.

Wciąż brakowało zeznań drugiego naocznego świadka. Aleksy O., kolega Stefana z gorzelni, po zdarzeniu wyjechał. Mijały tygodnie. Czas na sformułowanie aktu oskarżenia został przesunięty. Wreszcie udało się ustalić, że Aleksy przebywa w Radomiu. I tam też został przesłuchany. Potwierdził, że w Lawinach litr spirytusu wypili we trzech. Dlatego też przysnął w drodze powrotnej. Ocknął się, kiedy usłyszał, że kolega mówi coś po niemiecku, a potem padł strzał. - Obejrzałem się do tyłu. Wtenczas zobaczyłem, że dwie kobiety leżą na drodze w odległości około trzydziestu metrów od wozu -relacjonował. Powiedział wtedy tylko: „Stefan, zastrzeliłeś dwie Niemki”.

- Na co on odpowiedział, że nie zastrzelił ich, lecz, że one tak nieumyślnie się zataiły. Nie zatrzymując się, pojechaliśmy dalej - opisał.

Oględziny miejsca zdarzenia i zeznania lekarza potwierdziły wersję Emy, że w momencie strzału ofiary zwrócone były tyłem do mordercy. Kula przeszła przez ciało Gertrudy i trafiła jeszcze w głowę dziewczynkę.

Wystrzelona została z niemieckiego karabinu Mauser.

Stefan G. miał już dość czekania w areszcie na rozpoczęcie przewodu sądowego. W sierpniu 1946 roku złożył wniosek o zwolnienie z aresztu, bo -jak argumentował - chciał wrócić już do pracy. Sędziowie

przypomnieli mu jednak, jaki zarzut i jak surowa kara na nim ciąży i nie zgodzili się na to, by odpowiadał z wolnej stopy.

Na 30 sierpnia 1946 roku datowany jest akt oskarżenia. Rozprawa w Sądzie Okręgowym w Koszalinie odbyła się 28 października i tego też dnia zapadł wyrok. Sędziowie wzięli pod uwagę stan upojenia alkoholowego Stefana G. i zmienili kwalifikację czynu na artykuł 230 paragraf 1 Kodeksu karnego z 1932 roku, czyli nieumyślne spowodowanie śmierci. Uznali oskarżonego 32-latka za winnego i skazali go za zabójstwo kobiety i dziecka na... 3,5 roku więzienia (artykuł przewidywał karę do 5 lat za kratami).

Jednak i taki wyrok Stefan G. uznał za zbyt surowy. Adwokat Juliusz Łabęcki z Koszalina 3 grudnia złożył w jego imieniu apelację. W wywodzie apelacji możemy znaleźć opinię, że wymierzona kara była „niestosunkowo surowa do winy oskarżonego”, bo przecież czynu dopuścił się pod wpływem „pijackiej fantazji”, a jego poczytalność była w dużym stopniu zmniejszona. „Sąd przy wymiarze kary przyjął jako obciążającą jego winę tę okoliczność, że oskarżony miał umiejętność obchodzenia się z bronią, że zabrał ją niepotrzebnie w drogę i że wskutek jego lekkomyślnego działania spowodował wypadek. Okoliczności te nie mogą być argumentem uzasadniającym surowszy wymiar kary.” Adwokat wniósł o zawieszenie kary.

Sąd Apelacyjny w Gdańsku wyrok koszalińskich sędziów uznał jednak za zasadny i apelację oddalił.

**JUŻ WIĘCEJ
NIE BĘDĘ
TEGO
ROBIŁA**

To ostatnie słowa, jakie wypowiedziała Stanisława P.,
kiedy zabijał ją świeżo upieczony 20-letni mąż.

Rok 1946. Polska odbudowuje się ze zgliszczy. Zdawać by się mogło, że ludzie, ledwo otrząsnąwszy się z traumy wojny, będą w zgodzie i spokoju składać na nowo świat. Bezpieczny świat. Niestety, zło pozostało. W Dzegowie, dzisiejszym Dygowie (pow. kołobrzeski), okrutny mord na ciężarnej wstrząsnął niewielką społecznością.

Jakie były motywy Jana P., który brutalnie zamordował swoją żonę, kobietę, będącą w szóstym miesiącu ciąży? W toku śledztwa okazało się, że nigdy nie kochał starszej o 8 lat Stanisławy. Małżeństwo było fikcją. Potrzebował go, bo jako kawaler mógł zapomnieć o przydziale gospodarki.

Mieszkał na wschodzie kraju. W czerwcu 1945 roku poznał Stanisławę. Ona pochodziła z rodziny chłopskiej, on ze szlacheckiej. Nie zważał na ów mezalians, bo małżeństwo dawało przepustkę do otrzymania ziemi na terenach odzyskanych. I udało się. Związek przypieczętowany prawnie po zaledwie trzech tygodniach znajomości skutkowało... przydzieleniem dwuhektarowego gospodarstwa. Kiedy 2 marca 1946 roku Kazimierz U. wszedł do chlewu sąsiada i zauważył zmasakrowane zwłoki Stanisławy R, szybko pojawiły się domysły, że czynu dopuścił się jej mąż.

- Robiła wszystko, czego zażądał - zeznawała Paulina B., gospodyni w domu małżeństwa, która widziała Stanisławę żywą prawdopodobnie jako ostatnia. - Jan bił ją, wciąż ubliżał jej, chodziła zapłakana - opisywała. Popołudniem, w czwartek 28 lutego 1946 roku, widziała, jak Jan i Stanisława opuścili razem domostwo. Około 19.30 Jan wrócił sam. - Wystraszony i przelękniony. Powiedział, że sowieci gonili go i żonę. On uciekł w pole. Przypuszczał, że sowieci ją zabrali. Ogólnie mogę nadmienić, że państwo P. często się całowali, ale się często i kłócili.

Milicjant, który udał się wraz z komendantem i lekarzem na miejsce zbrodni, opisał: - Zamordowana miała porozcinaną głowę i posiniaczoną. Włosy zbroczone krwią, twarz powalana krwią również. Ręce miała posiniaczone, na szyi zaciśnięty sznur, koniec którego był przymocowany do słupka. Krew była porozbryzgiwana po deskach chlewu.

Chlew znajdował się zaledwie 500 metrów od domu małżeństwa P.

3 marca na posterunek milicji doprowadzono 20-letniego Jana P., robotnika, który ukończył 6 klas szkoły podstawowej. To było krótkie

przesłuchanie. Mężczyzna przyznał się do winy i przedstawił swoją wersję zdarzeń, podważoną później przez prokuratora. Zeznał, że w pracy pił z kolegami wódkę, a około godz. 17 poszedł do domu. Fakt, że był „w stanie wskazującym” potwierdziła później gosposia, mówiąc, że Jan przewrócił się w sieni, a ona wraz z jego żoną próbowały go podnieść.

- Zaproponowałem żonie, by poszła ze mną po węgiel. Zgodziła się. Nie myślałem wtedy o żadnym morderstwie - zarzekał się. Cztery dni później w Sądzie Grodzkim w Korlinie (dziś Karlino) był bardziej otwarty:

- Ożeniłem się, nie znając dobrze mojej żony, z tej racji, że mnie jako kawalerowi nie chciano przydzielić gospodarstwa. Gdy dowiedziała się o tym moja ówczesna narzeczona, zaczęła mnie namawiać, bym się z nią ożenił. Pożycie nasze było złe, gdyż nasze charaktery nie były dobrane - opisywał. - Była przywiązana do swego młodszego siostrzeńca, który jakiś czas z nami mieszkał i z którym ja się często kłóciłem, gdyż nie chciał robić, a chciał jeść.

Feralnego dnia Jan i Stanisława mieli zabrać z domu worki i pójść szukać węgla. To wersja Jana. - I znaleźliśmy w jakiejś szopie. Ja świeciłem zapalkami, a ona kładła węgiel do worków. Kiedy już spaliłem wszystkie zapalki, a worki jeszcze nie były naładowane, żona zaczęła mi wymyślać, głośno krzycząc, że nie mam zapalek. Wówczas wyjąłem zza cholewy gumę i aby ją uciszyć, uderzyłem ją z góry prawdopodobnie w głowę. Po uderzeniu ona zaczęła krzyczeć, ja następnie chwyciłem ją za gardło i udusiłem - opisywał.

Jan twierdził, że zapamiętał, iż na ścianie wisiał powróż. - Zarzuciłem jej ten powróż na szyję i przywiązałem do kołka. Gdy już zawisła, podniosłem sukienki i ściągnąłem do kolan majtki. I w tej pozycji ją zostawiłem, a węgiel zabrałem na sanki i odwiozłem do domu. Jaka przyczyna była ostatnich moich czynów, z tego nie umiem sobie zdać sprawy - oświadczył.

O opinię na temat oskarżonego pytano w okolicznych gospodarstwach.



- Następnego dnia po zamordowaniu swojej żony przyszedł do gospodarza, u którego ja pracuję - zeznawała Daniela W. - Pytał się, czy moja gospodyni nie widziała jego żony. Gospodyni moja zapytała się go, co on taki podrapany. On powiedział, że wczoraj pracował przy młóceniu zboża i tak przy pracy się podrapał - mówiąc to zaznaczyła, że Jan był bardzo zdenerwowany. - Dodał, że żona jego uciekła i zabrała ze sobą wszystkie pieniądze, jemu pozostawiła tylko 3 złote.

We wsi ludzie ze sobą rozmawiali i podejrzenia wzbudził już fakt, że Jan najpierw zarzekał się, że wraz z żoną zostali napadnięci przez Sowietów, a potem twierdził, że Stanisława uciekła od niego, zabierając całą gotówkę.

Również i milicjanci od początku podejrzewali, że Jan P. kłamie.

- Mówił on, że zamordował żonę przy węglu, zniecierpliwiony jej wymysłami, że nie miał przy sobie dostatecznej ilości zapalek. Natomiast stwierdzono, że zamordował żonę nie w ubikacji, gdzie się znajdował węgiel, tylko w chlewku, do którego jest inne wejście. W komórcie z węglem śladów krwi nie było, natomiast w chlewku była krew - zeznawał podczas przesłuchania milicjant Tadeusz Hajtmann.

W aktach sprawy zachował się przejmujący list zamordowanej kobiety. 5 stycznia zaczęła go pisać do matki. Żaliła się. Była nieszczęśliwa. Pisała, że gdyby wiedziała, czym skończy się to małżeństwo, nie wyszłaby za Jana. Listu nigdy nie wysłała. Nie zdążyła...

Śledztwo zakończyło się szybko. Na 30 marca datowany jest akt oskarżenia przeciwko Janowi P. z artykułu 225 Kodeksu karnego z 1932 roku. Prokurator nie dał wiary słowom oskarżonego. „Jan R, powróciwszy z pracy, kazał swojej żonie obuć się i wyszedł z nią, udając się do zagrody opuszczonego gospodarstwa, przydzielonego jakiemuś Polakowi i tam, wszedłszy do chlewu, zmasakrował jej głowę uderzeniami wojskowego kabla polowego, powodując jej śmierć na skutek uszkodzenia pokrywy czaszki. (...)” Prokurator zaznaczył też, że ofiara była w szóstym miesiącu ciąży. „(...) z opisu licznych otarć naskórka na lewej ręce widać, iż denatka broniła się przed mordercą. Po dokonaniu zabójstwa oskarżony powiesił denatkę, umocowując koniec sznura na słupku i podciągnął jej majtki, aby upozorować mord seksualny (...)”.

Jan P. dostał adwokata z urzędu. 17 kwietnia stanął przed Sądem Okręgowym w Koszalinie. Do winy się przyznał. Jeszcze tego samego dnia usłyszał wyrok: dożywotnie więzienie oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze. W uzasadnieniu sędzia napisał: „Oskarżony, pozbawiając życia swą żonę, popełnił podwójną zbrodnię, bo wraz z zamordowaniem żony uśmiercił też poczęte w jej łonie dziecko. Sąd uznał karę dożywotniego więzienia za słuszną i odpowiednią. Za okoliczność łagodzącą, która wpłynęła na to, iż sąd nie zastosował wobec oskarżonego kary śmierci, przyjęto młody wiek oskarżonego (...) oraz stosunkowo słabą jego

inteligencję.”

W uzasadnieniu sentencji wyroku sędzia zaznaczył, że przed śmiercią Stanisława P. miała, błagając męża o litość, powiedzieć mu „Już więcej nie będę tego robiła”. Chodziło zapewne o kłótnie. O narzekanie. On jednak uciszył ją na zawsze.

Już 3 maja 20-letni Jan P. odręcznie wystosował pismo z prośbą o ulaskawienie. A dokładnie o zmniejszenie wyroku. „Uzasadniam, że przestępstwo, popełnione przeze mnie, miało miejsce w stanie nietrzeźwym i to w stanie szału, który często się we mnie objawia z powodu operacji głowy, dokonanej w Niemczech czterokrotnie pod narkozą. Diagnoza lekarska wykazała objawy zaburzenia nerwowego (obłąkania), z tego to powodu byłem pod obserwacją lekarską w miejscowości Kamień do 1945 roku. Gorąco proszę Obywatela Prezydenta o zmniejszenie mi wyroku wydanego przez sąd i oddanie pod obserwację lekarską. Tym samym o zareagowanie nad moim miodem życiem” - pisał.

11 maja zapadła decyzja - prośba o łaskę pozostawiona została bez dalszego biegu.

ŚMIERĆ ZA ŚMIERĆ

Rok 1948. Rodziny przyjeżdżają na tzw. tereny odzyskane, by dostać swój kawałek ziemi.
O grosz jest ciężko, są rodzinne konflikty.
Jeden doprowadził do okrutnej zbrodni.

Blady świt 23 czerwca 1948 roku. Nie wybiła jeszcze 5 rano. Na posterunek milicji w podbiałogardzkim Brzeźnie wbiega zakrwawiona Maria K. - Brat mój Czesław zamordował siekierą męża! - krzyczy. - Mnie pobił siekierą dotkliwie, ale darował mi życie pod warunkiem, że go nie wydam!

Kobieta uciekła przez okno, zostawiając mordercę w domu, w którym mieszkali we troje.

Milicjanci zaczęli działać. Czesław S. ulotnił się jednak jak kamfora. Do komend w Białogardzie i Drawsku trafiają kolejne telefonogramy, odpowiedniki dzisiejszych SMS-ów. „Morderca Czesław S., lat 22, zbiegł w kierunku powiatu drawskiego. Zachodzi możliwość, że będzie starał się wsiąść w pociąg na jednej ze stacji tamtejszego powiatu” - informują mundurowi swoich kolegów. „Blondyn kędziorowaty”, średniego wzrostu, ubrany w długie robocze buty, zielone drelichowe spodnie i szarą marynarkę - część mundurowych rozpoczyna pościg. Pozostali jadą na miejsce zbrodni. W aktach sprawy można odnaleźć ręczny szkic sytuacyjny, na którym zaznaczono na przykład „kubel z zafarbowaną krwią wodą”, plamę krwi w korytarzu, miejsce porzucenia siekiery.

Był to jednopiętrowy, typowo gospodarski budynek. Funkcjonariusze, którzy przyjechali na miejsce, zobaczyli tragiczny krajobraz. Krwawe odciski dłoni na ramach okien, ślady krwi w sypialniach i na korytarzu. Plama na korytarzu miała około metra średnicy. „Cały ten kawałek był zmywany wodą” - zauważył w protokole milicjant. W pralni, przy zejściu do piwnicy, leżały zwłoki Wiktora K. Leżał na brzuchu, z wyciągniętymi rękami i podkurczonymi nogami. Ubrany tylko w kalesony i koszulę. Śledczy odnaleźli niewyraźne ślady krwi, które prowadziły z miejsca zabójstwa do pobliskiej szosy. „Psa milicyjnego nie użyto ze względu na padający deszcz” - wyjaśnił mundurowy w protokole oględzin miejsca zbrodni.

Tydzień po tragedii na przesłuchanie stawiała się 28-letnia wdowa

Maria K. - Na Ziemię Odzyskane przybyłam wraz z bratem Czesławem w 1945 roku w okresie żniwnym z Solca nad Wisłą - rozpoczęła. Gospodarkę dostali w Rzepczynie. Rok później w Świdwinie poznała Wiktora K. 4 stycznia 1947 roku byli już małżeństwem. Do połowy czerwca 1948 roku mieszkali całą gromadą - Maria z mężem Wiktorem, jej brat Czesław, młodszy - 14-letni brat Jan i rodzice. 12

czerwca rodzice i 14-latek wrócili do Solca.

- Z początkiem miesiąca brat Czesław otrzymał nakaz zapłacenia kosztów sądowych z postępowania karnego Sądu Grodzkiego w Białogardzie. W sumie ponad 6 tysięcy złotych - opisywała młoda wdowa. Wcześniej Czesław karany był za kradzież. - Ponieważ byłam w krytycznym położeniu materialnym, wspólnie z mężem i bratem uzgodniliśmy, by zamienić krowę naszą dobrą na gorszą i pobrać dopłatę.

Znalazł się chętny - zaoferował swoją krowę, cielaka i dopłatę 8 tys. złotych. Wpłacił zaliczkę. - Bez naszej wiedzy Czesław odebrał resztę, czyli 5 tys. złotych - tłumaczyła śledczym kobieta. Nie przyznał się, a potem zniknął z domu. Wrócił 23 czerwca około 4 rano. - Na krzyk męża „ojej, ojej, ojej” wybiegłam z pokoju sypialnego na korytarz i ujrzałam go leżącego twarzą do podłogi w kałuży krwi. Brat Czesław w tym czasie zamierzał uderzyć siekierą leżącego. Na widok mej osoby i krzyku zmienił kierunek i uderzył mnie obuchem siekiery w głowę trzy razy. Raz po raz - mówiła. Kobieta postanowiła ratować męża. Złapała za siekiere, błagając, by brat się opamiętał. Uderzył ją wtedy w plecy. - A potem usłyszałam „trzask”. Uderzył siekierą męża w głowę - zeznała.

Czesław kazał siostrze iść do łóżka, by nie roznosiła krwi, a sam próbował zatrzeć ślady makabrycznej zbrodni. Kobieta uciekła przez okno. Z ranami ciętymi głowy i ręki pobiegła na policję. Potem trafiła do szpitala w Świdwinie.

Tego samego dnia zeznania złożyła matka zamordowanego Wiktora. Poruszona kobieta rzuciła jednak cień na postać synowej. Przede wszystkim była rozgoryczona, bo ta nie zawiadomiła jej o śmierci Wiktora. Nie podobało jej się też, jak synowa odnosiła się do niego.

- Zdarzały się wypadki, że rzucała za synem tym, co miała w ręku - twierdziła i dodała, że Wiktor K. planował jesienią odejść od żony.

Tymczasem w pobliskim Koszanowie (gm. Brzeżno) milicjanci zatrzymali podejrzanego Czesława S. Jak udało się ustalić śledczym, przez tych kilka dni dopisał do swego konta jeszcze kradzież z włamaniem - skusił się na garnitur, pantofle, a że i w okradanym mieszkaniu znalazł gotówkę, ją również zabrał.

Czesław S. już podczas pierwszego przesłuchania przyznał się do zamordowania szwagra siekierą. Twierdził jednak, że to on „wystarał się” o dobrą krowę, która utrzymywała rodzinę, dlatego postanowił sam odebrać za nią należność. A, że szwagrowi się to nie spodobało, dlatego uciekł z domu z gotówką. Wrócił do domu w nocy z 22 na 23

czerwca.

- O godzinie 4.30 do mojego pokoju wszedł szwagier i powiedział: „wróciłeś job twoja mać”, a wówczas ja zerwałem się z krzesła i uderzyłem go obuchem siekiery w głowę - zeznawał. Potwierdził wersję siostry - leżącego już na korytarzu szwagra uderzył w bok, potem w plecy i w głowę. Od ostatniego ciosu pękła czaszka.

Kiedy Czesław S. ukrywał się przed milicją, kilka osób go widziało. - Jak mnie ludność cywilna ścigała, to ja im mówiłem odejdz, bo dostaniesz w łeb i ci bali się do mnie dostąpić. Aż dopiero dolecieli ORMO-wcy i ci mnie zabrali - opisywał.

19 lipca do Sądu Okręgowego w Koszalinie trafił akt oskarżenia. Czesławowi S. prokurator zarzucał umyślne zabójstwo, za co groziła mu kara od 5 lat więzienia, dożywocie lub kara śmierci. 27 lipca rozpoczęła się rozprawa. Oskarżony ponownie przyznał się do zamordowania szwagra i potwierdził, że potajemnie odebrał 5 tys. złotych - pozostałą część należności za krowę, a pieniądze wydał m.in. na spłatę długów u kowala i krawca. Tego samego dnia usłyszał wyrok - sąd skazał go na karę śmierci i dołożył jeszcze orzeczenie o utracie praw publicznych i obywatelskich na zawsze. „Zważywszy, że wina oskarżonemu Czesławowi S. w popełnieniu przez niego zbrodni zabójstwa została całkowicie udowodniona, że zbrodni tej dokonał on z zimną krwią i z premedytacją, czekając prawdopodobnie kilka godzin w swym pokoju na pokazanie się szwagra swego, aby go zamordować, że zbrodnię tę popełnił bez najmniejszego powodu (...), jest on osobnikiem groźnym dla społeczeństwa i tylko wyeliminowanie go z takowego może być odpowiednią karą dla niego” - czytamy w uzasadnieniu wyroku.



Już dzień później Czesław S. wysłał list do prezydenta z prośbą o ułaskawienie. Prosił o zamianę kary śmierci na karę więzienia. Odręczna notatka zachowała się do dziś w aktach sprawy. „Zbrodni zabójstwa dopuściłem się na skutek nieporozumień ze szwagrem na tle pieniędzy” - zaczął. „Jestem młody, liczę 22 lata życia. Pochodzę z województwa kieleckiego, gdzie moi rodzice mają gospodarstwo. Szkoły powszechnej sześć klas ukończyłem. Rodzice mieli nas troje (...)”- starannym, równym pismem obrazował kolejne lata życia, te

wojenne, te powojenne, czas, kiedy nie było co do garnka w domu włożyć. „Obywatelu prezydencie! Mordercą stałem się nie dla łupu, nie dla grabieży, lecz wskutek ciężkich okoliczności rodzinnych. (...) W chwili popełnienia zabójstwa nie zdawałem sobie sprawy, co czynię” - zarzekał się.

20 sierpnia z Ministerstwa Sprawiedliwości nadeszła odpowiedź. Prezydent nie skorzystał z prawa łaski w stosunku do Czesława S.

W październiku 22-letni Czesław S. został stracony przez powieszenie. Ostatnim dokumentem w aktach sprawy jest wniosek o wykreślenie go z ewidencji więźniów.

CHOROBLIWA ZAZDROŚĆ ZABÓJCZA MIŁOŚĆ

Andrzej Z. nie miał szczęścia w miłości.
Po rozstaniu z żoną wyjechał z Połczyna Zdroju.
Nowe życie chciał zacząć w Karlinie.
Chorobliwie zazdrosny o Teresę, nową damę serca, popełnił
straszną zbrodnię.

Około godz. 17, 11 czerwca 1953 roku sierżant Zygmunt Prazmowski z posterunku milicji w Karlinie został zaalarmowany przez jednego z mieszkańców, że przy ul. Rokossowskiego zamordowana została kobieta. - Udałem się na miejsce wraz z sierżantem Bartosiakiem i stwierdziliśmy fakt, jednocześnie zatrzymaliśmy sprawcę

Andrzeja Z. - w starych aktach sprawy znajdujemy notatkę służbową funkcjonariusza, który nie miał wątpliwości, kto zabił.

Półtorej godziny później sierżant Bartosiak przesłuchiwał naocznego świadka tragedii - 30-letnią Józefę D. - Około godz. 17 byłam na podwórku. Rozmawiałam z sąsiadką Marianną. W tym czasie usłyszałam krzyk, awanturę u sąsiada Andrzeja Z. Doleciałam do drzwi i zauważyłam, jak Z. trzymał siekierę w ręku i uderzył ją w głowę - mówiąc „ją” miała na myśli Teresę K. Przerazona Józefa pobiegła do mieszkania sąsiadki. Wspólnie z Marianną i jeszcze jedną kobietą wróciły ratować Teresę. Drzwi wejściowe były jednak zamknięte. - Przez wybitą szybę w drzwiach widziałam, jak trzyma jeszcze siekierę - zeznała 30-latka. Kobiety wybiegły na ulicę. Za nimi Andrzej Z. - W zakrwawionych kałesonach. Udawał, że chce dokonać na sobie zabójstwa. Począł głową uderzać w mur, z tym że wcale głową nie uderzał, a tylko ramieniem - tłumaczyła śledczemu mieszkanka Karlina. - Nadmieniam, że stosunki życia prowadzili niewłaściwe, często uprawiali awantury - dodała.

Tę wersję zdarzeń potwierdziła wspomniana już 47-letnia Marianna J. - Zadał jej cios tak dotkliwie, że upadła na podłogę i zalała ją krew - opisywała. - Chciał ją znów uderzyć, lecz siekiera spadła z trzonka. Nie reagował na nasze krzyki. Poczęłyśmy szarpać za drzwi. Nałożył wtedy siekierę na trzon i znów ją bił ostrzem - uzupełniła 26-letnia Janina Z., trzecia z koleżanek.



Pierwszy raz przed prokuratorem 28-letni Andrzej Z. stanął cztery dni po zdarzeniu. Robotnik, ukończone trzy klasy szkoły powszechnej, po rozwodzie, wcześniej niekarany. Najpierw w Karlinie pracował jako rzeźnik, potem w GS-ie na stacji przeładunkowej kolei wąskotorowej. Do winy od początku się przyznawał. I od początku nie krył motywu.

- Do zarzucanego mi przestępstwa, a mianowicie kilkakrotnego uderzenia mej przyjaciółki Teresy K. siekierą w głowę, a następnie

poderżnięcia gardła leżącej na ziemi nożem, się przyznaję - zaczął. - Dzień wcześniej pojechaliśmy do Zajączkówka po dowody osobiste. Tam ze szwagrem Teresy, Marianem C., wypiliśmy pół litra wódki - wyjaśniał. Zaznaczył też, że wie, iż ojcem dwuletniej córki jego dziewczyny był właśnie Marian C. 11 czerwca mieli wrócić do Karlina - Andrzej, Teresa i jego siostra Genowefa. Teresa chciała jednak zostać dłużej. A Andrzej podobno widział, jak całowała się z Marianem. - I ją podmacywał, to jest kładł rękę na sukienkę - tłumaczył i dodał, że od dłuższego czasu tych dwoje pisało do siebie niepokojące listy. Nalegał więc na powrót do domu jeszcze tego samego dnia.

Gdy 11 czerwca wrócili do Karlina, z dworca do domu już nie szli pod rękę - co zabolalo Andrzeja Z. Jego siostra Genowefa w PGR Karlino była dojarką. Poszła do pracy. On z partnerką postanowili coś przekąsić i położyć się spać. - Miałem urąbać drzewa, by mogła przygrzać kawę. W tym momencie Teresa powiedziała, że chce iść do sąsiadki. Ja na pójsie nie zezwoliłem. Doszło do awantury. Powiedziała wtedy, że nie ma ze mną dziecka i nie będzie ze mną żyć. Czy stała wtedy, czy siedziała, tego nie mogę stwierdzić. Uderzyłem ją w głowę. Ile razy, nie pamiętam. A uderzyłem po to, by ją pozbawić życia. Dlatego, by do nikogo nie poszła. Zabrałem ze stołu kuchenny nóż, doszedłem do niej, upadłem, pocałowałem ją w usta. Widziałem, że jest zalana we krwi, ale nie zważałem na to. Chciałem się pożegnać - opisywał szczegółowo 28-latek.

Wyszeptał umierającej, że zginie ona, ale i on. A wszystko dlatego, że on ją kochał, a ona chciała odejść do Mariana C.

- Nie przewracając jej poderżnąłem jej gardło. Następnie leżąc obok niej tym samym nożem poderżnąłem sobie gardło. Ja ją kochałem, jak własną żonę. A ona chciała odejść ode mnie. I za to pomściłem się na niej - powiedział. Tyle że skuteczny z cięciem był tylko raz - na gardle ukochanej. Sobie zbyt wielkiej krzywdy nie uczynił.

29-letnia Genowefa Z. pod protokołem zeznań podpisała się trzema krzyżykami. Bezpośrednim świadkiem zdarzenia nie była - była bowiem w pracy w karlińskim PGR-ze. Potwierdziła jednak, że brat z dziewczyną kłócili się nader często, a powodem była zazdrość.

Akt oskarżenia w tej sprawie datowany jest na 22 września 1953 roku. Jest niezwykle obszerny - wraz z uzasadnieniem to cztery strony maszynopisu, co wówczas było dość wyjątkowe. W tym zaś konkretnym przypadku prokurator Bielicki szczegółowo przeanalizował nie tylko sam dzień tragedii i poprzedzające ją godziny,

ale też poprzednie lata życia Andrzeja Z.

Dowiadujemy się więc, że Andrzej Z. z początkiem wiosny 1952 roku opuścił żonę Leokadię i Połczyn Zdrój. Sam 28-latek zeznawał wcześniej, że małżonka sprowadzała do domu mężczyzn w niecznym celu i to było powodem rozstania. Osiedlił się wraz z siostrą Genowefą w Zajączkówku. Jego sąsiadem był Marian C. Zapałał gorącym uczuciem do szwagierki Mariana - Teresy K. Teresa wychowywała dwuletnią córkę Danusię i od początku Z. podejrzewał, że jej ojcem jest ów szwagier właśnie. Obawiając się, że tych dwoje może jeszcze coś łączyć, zdecydował się na przeprowadzkę do Karlina. Zamieszkali we trójkę - Andrzej, Genowefa i Teresa - w skromnym mieszkaniu na parterze domu przy ul. Rokossowskiego. Na początku Andrzej i Teresa byli zgodną, kochającą się parą. Potem jego opętała chorobliwa zazdrość. Z aktu oskarżenia wynika, że awantury stały się częścią codzienności. Podobnie rękoczynny. Teresa w listach prosiła o radę i pomoc Mariana C. Zdaniem oskarżyciela to nie całowanie i „podmacywanie” było zarzewiem ostatniej awantury. Teresa obawiając się Andrzeja ani 10, ani 11 czerwca, ani kiedykolwiek już nie chciała wrócić z nim do Karlina. Chciała zostać w Zajączkówku, bo bała się o zdrowie i życie. Dała się jednak przekonać.

Przyczyną śmierci Teresy K. było wykrwawienie wskutek przecięcia naczyń krwionośnych, tętnic szyjnych. Przed odejściem wiele wycierpiała - rany tłuczone głowy miały nawet 1,5 cm głębokości.

- W żadnym przypadku nie można przyjąć, iż dokonał on zabójstwa pod wpływem silnego wzburzenia psychicznego - przekonywał prokurator. - Zemsta i zazdrość, które decydująco wpłynęły na Z., są pojęciem z dziedziny moralności. (...) W warunkach Polski Ludowej zemsta i zazdrość są niskimi pobudkami do działania, ponieważ wyrastają z wypieranego i sprzecznego z założeniami ustrojowymi dążeniami do władztwa człowieka nad człowiekiem.

Przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie Andrzej Z. stanął 8 stycznia 1954 roku. Dostał obrońcę z urzędu. Przyznał się do tego, że uderzał siekierą, wycofał się z zeznań, że podciął partnerce gardło. Zarzekał się, że stracił przytomność. A nóż wziął, by tylko sobie gardło poderznąć.

- Chciałem się z nią ożenić i z tą chwilą dziecko przepisać na siebie - przekonywał sąd. I... narzekał, że cierpi na padaczkę. Podkreślił też, jak wielu cierpień doświadczył w obozie koncentracyjnym.

Sędziowie wątpliwości nie mieli. Uznali Andrzeja Z. za winnego zabójstwa i skazali go na karę 15 lat więzienia. W uzasadnieniu wyroku

można doczytać, że wpływ na taki wymiar kary miał „dotychczasowy tryb życia, jako uczciwego człowieka pracy”. - Wpływ środowiska, w którym się wychował i jego nieznaczny stopień wykształcenia i inteligencji spowodowały, iż w konkretnej sytuacji nie potrafił zdobyć się na właściwy sposób reagowania na zachowanie Teresy K. - argumentował sędzia Bogdan Kamiński.

26 marca 1954 roku Sąd Najwyższy w Warszawie zmienił zaskarżony przez Andrzeja Z. wyrok na karę 10 lat pozbawienia wolności. Rewizja zdaniem sędziów Palucha, Mazurka i Kuleszy była zasadna, bo przyznanie się do winy oraz pobyt Z. w obozie koncentracyjnym były podstawą do złagodzenia kary.

W marcu 1962 roku Andrzej Z. został warunkowo zwolniony z zakładu karnego.

FINKA PROSTO W SERCE

W 1965 roku Państwowy Dom Dziecka Darłowie był miejscem
okrutnej zbrodni.
Marian M. zadał tam śmiertelne ciosy nożem swojej byłej żonie.
Wszystko na oczach ich synka.

Już pierwsze strony poźółkłych akt sprawy, która toczyła się przed koszalińskim sądem, przyprawiają o gęsią skórę. Otwierają ją zeznania 20-letniej Zofii S., krawcowej, która w Domu Dziecka pracowała od zaledwie dwóch tygodni. 22 września 1965 roku była świadkiem zabójstwa swojej koleżanki - Rozalii M.

Rozalia w Państwowym Domu Dziecka pracowała niespełna dwa miesiące. Była praczką. - Przyszliśmy do pracy razem i razem podpisywałyśmy listę obecności - Zofia opisywała ten, do któregoś momentu zwykły dzień milicjantowi w darłowskim komisariacie. - Poszliśmy do prasowalni. Ja zwolniłam się u kierowniczkii, żeby pójść do Prezydium Rady Nadzorczej w sprawie mieszkania. Kiedy wróciłam, M. powiedziała mi, że była w domu swego byłego męża.

Rozalia i Marian M. rozwiedli się dwa miesiące wcześniej. Ich małżeństwo trwało sześć lat. To Rozalia wniosła pozew o rozwód, a jako przyczynę podała ciągle awantury, podczas których często pijany mąż uciekał się do rękoczynów. Sąd Powiatowy w Koszalinie powierzył władzę rodzicielską nad dziećmi - 6-letnią Jadzią i 7-letnim Mariankiem - Rozalii, a męża zobowiązał do płacenia alimentów. Mąż, uznając wyrok za niesłuszny, wniósł o jego rewizję. Sąd nie zdążył jej jednak rozpatrzyć.

Po rozwodzie podział obowiązków rodzicielskich ustalili tak, że córka zamieszkała z mamą, syn pozostał przy ojcu. 22 września Rozalia pod nieobecność męża odwiedziła syna.

- Kiedy zaszła do domu, syn zaczął przed nią uciekać i pokazywać jej język - mówiła milicjantowi krawcowa Zofia. Rozalia zdążyła się jej jeszcze wyzalić. - Ona chciała zobaczyć zeszyty syna i jak on tam w ogóle mieszka. Zapytała, kto mu każe język matce pokazywać. Oświadczył, że tatuś. I, że daje mu za to pieniądze.

Rozalia zaczęła prasować bieliznę. Zofia szyła marynarkę. Była godz. 9, kiedy do Domu Dziecka wbiegł Marian M. z synem. - Dziecko trzymał na lewej ręce. Prawą miał blisko ciała. Kiedy podszedł do niej, zaczął ją bić. Prawą ręką zadawał jej ciosy w okolice klatki piersiowej - opisywała kolejne sekundy Zofia S. 20-latka próbowała uspokoić napastnika. Nie udało się. Zaczęła krzyczeć i wybiegła na korytarz. M. uciekł. Wtedy krawcowa zobaczyła, jak jej koleżanka upada, a pierś tonie we krwi. Pobiegła po higienistkę. Kiedy wróciły do Rozalii M., higienistka stwierdziła, że kobieta już nie żyje.

Milicjanci zatrzymali Mariana M. Pojawił się pierwszy problem - nie było narzędzia zbrodni. Tu pomogła czujność sąsiadki mężczyzny. Jeszcze tego samego dnia zatrzymała na ulicy mundurowego, któremu powiedziała, że kiedy szukała na strychu kota, zauważyła krople krwi. Funkcjonariusze pobiegli na strych. Za belką krokwiową milicjant znalazł nóż typu finka. Jak później napisał w notatce służbowej: krew na 9,5-centymetrowym ostrzu nie zdążyła jeszcze dobrze zaschnąć.

Sam - wtedy jeszcze podejrzany - 38-letni Marian M. został przesłuchany przez prokuratora dzień po zabójstwie. „Pochodzenie społeczne - chłopskie; przynależność społeczna - robotnicza; wykształcenie - 6 klas szkoły podstawowej; zawód wyuczony - kierowca; niekarany” - czytamy. Do zabójstwa żony się przyznał. Już w trzecim zdaniu oznajmił, że od 1962 roku żona go zdradzała. - O zdradzie dowiadywałem się od znajomych, a raz, gdy przyjechałem z wojska do domu, zastałem go z moją żoną w moim mieszkaniu - mówiąc to, wskazał konkretnie Jana K. - Od tego czasu żona nie chciała ze mną współżyć, nie dawała mi pożywienia - skarżył się. - 2 grudnia 1964 roku żona zabrała część mebli i opuściła mnie. Od tego czasu zaczęła żyć z K. U niego też zamieszkała - opisywał. Tłumaczył, że od wyroku sądu w sprawie rozwodowej odwołał się, gdyż sąd uznał obie strony za winne, a jego zdaniem całą winę ponosiła żona. Chciał też, by syn pozostał przy nim.

22 września o godz. 5 poszedł do pracy. - W domu został syn Marian, który miał do szkoły na godz. 8. Po godz. 9 udałem się do domu sprawdzić, czy syn poszedł do szkoły, gdyż byłem w niej i go nie widziałem. Syn powiedział z płaczem, że była u nas matka i powiedziała, że ma on nie chodzić do szkoły. Powiedział też, że chodziła po wszystkich pomieszczeniach, zaglądała do szafy, kredensu - opisywał. Marian M. zeznał, że z kredensu zginęły pieniądze - 2 tys. złotych (jego miesięczna pensja wynosiła 1,5 tys. zł). Zabrał syna i poszedł do Państwowego Domu Dziecka, zażądać zwrotu pieniędzy i tego, by była żona pod jego nieobecność nie wchodziła do mieszkania. Jego zeznania diametralnie różnią się od wersji Zofii S. - Żona dopadła do mnie z nożem i nożem tym uderzyła mnie w rękę, kalecząc palce. Odebrałem jej ten nóż i kilka razy uderzyłem ją nim. Nie chciałem zabić. Zamierzałem ją tylko pokaleczyć. Nóż wyrzuciłem gdzieś w pomieszczeniu, owinąłem skaleczony palec - opisywał. Marian M. zaprzeczał, jakoby nóż przyniósł z domu. Nie potrafił też wyjaśnić, skąd nóż wziął się na strychu jego mieszkania.



Te zeznania stały w zdecydowanej opozycji do tego, co wcześniej 38-latek opowiadał sąsiadom. Dwa dni przed morderstwem głośno mówił, że najchętniej w żonie „zatopiłby” nóż, a jej partnerowi „nabiłby guzów”. Wjeszcze gorszym światle Mariana M. postawiła siostra zmarłej Zdzisława G., która mieszkała w Gdyni. Powiedziała śledczym, że bita przez męża Rozalia zmuszona była uciekać z domu. - Żaliła się, że M. zawsze mówił, że ją pokroi, włoży do walizki i wrzuci do kanału.

Że nieporozumienia zaczęły się, od kiedy M. miał kochankę - zeznawała. Wiedziała też, że siostra znalazła szczęście u boku innego. Szczegółów nie знаła, bo siostry poróżniło pewne zdarzenie... - Kiedy przysłała mi jego zdjęcie, a ja napisałam, że jest brzydki, siostra już do mnie nie pisała - nie kryła przed śledczymi.

Krystyna R, wychowanka Domu Dziecka, swoimi zeznaniami podważyła wiarygodność słów podejrzanego. Dlaczego? Otóż towarzyszyła ona Rozalii M. podczas wizyty u syna. - Zaglądnęła do kredensu i wersalki, gdzie leżały zgniłe jabłka. Pieniędzy żadnych nie brała - podkreśliła.

Akt oskarżenia w grudniu 1965 roku sporządził podprokurator powiatowy J. Hrynkiewicz ze Sławna. - Zastał żonę pracującą razem z Zofią S. Wszedł energicznym krokiem, doszedł do Rozalii M. i zaczął jej zadawać finką harcercską ciosy. Po zadaniu czterech Rozalia M. upadła. Gwałtowny zgon nastąpił na skutek przebiccia osierdzia i mięśnia prawej komory serca - opisał prokurator. - Finkę ukrył na strychu swojego mieszkania. Wyjaśnienia jego nie zasługują na wiarę. Rozalia M. nie skradła mu pieniędzy. Wykluczyła to świadek Krystyna R, która przez cały czas wizyty Rozalii M. w mieszkaniu oskarżonego była przy niej obecna. Rzekomo skradzionych pieniędzy nie znaleziono przy zabitej ani podczas przeprowadzonej w jej mieszkaniu rewizji. Nieprawdą jest też, że Rozalia M. pierwsza zaatakowała Mariana M., ponieważ zaprzeczyła temu obecna przy zabójstwie Zofia S. Ona też zeznała, że w pomieszczeniu, w którym pracowały, nie było noża.

Rozprawa przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie odbyła się

11 lutego 1966 roku. Marian M. został dowieziony z więzienia w Słupsku. Do zarzutów przyznał się częściowo - znów zarzekął się, że to żona pierwsza go zaatakowała. Szeroko opisywał też zdrady Rozalii, zaznaczył też, że ma podejrzenia iż chciała go otruć... ogórkami. Raz jeszcze oświadczył, że z domu zginęły mu 2 tys. złotych.

Swoje zeznania podtrzymali też wszyscy świadkowie. Przewodniczący składu orzekającego Józef Drewniak nie miał wątpliwości - jeszcze tego samego dnia uznał Mariana M. za winnego i wymierzył mu karę 15 lat pozbawienia wolności. W długim uzasadnieniu sędzia podkreślił, że oskarżony przy różnych okazjach odgrażał się - a wskazywały na to zeznania świadków - że zabije byłą żonę i jej nowego partnera. Nie miał wątpliwości - zaatakował Mariana M.; harcercska finka była jego; żona nie okradła go. „Wyjaśnienia oskarżonego nie zasługują na wiarę, gdyż pozostają w rażącej

sprzeczności z dowodami” - podkreślił sędzia i zaznaczył, że wcześniej finkę oskarżony pokazywał świadkowi Stanisławowi Ł., a jego wypowiedzi dowodzą, że od dłuższego czasu planował mord. Fakt ukrycia narzędzia zbrodni zaś dopełnił określenia czynu, jako zbrodni z premedytacją. Okolicznością łagodzącą była za to niekaralność i dobra opinia z zakładu pracy.

Marian M. od wyroku się odwołał. 5 października 1966 roku Sąd Najwyższy w Warszawie utrzymał w mocy wyrok koszalińskiej Temidy.

W więzieniu skazany spędził 11 lat. 25 maja 1976 roku Sąd Wojewódzki w Olsztynie zadecydował o warunkowym przedterminowym jego zwolnieniu. „Skazany przez cały okres pobytu w zakładzie karnym zachowywał się nienagannie. Wyróżnił się on sumiennością w pracy i nauce, zdyscyplinowaniem wobec przełożonych. Wykazał umiejętność zgodnego współżycia z otoczeniem. Powyższe okoliczności wskazują na tak dalece posunięty proces resocjalizacyjny, iż pozwalają przypuszczać, że skazany w przyszłości nie popełni nowego przestępstwa” - zadecydowali sędziowie.

ZOSTAWIŁ PO SOBIE ZGLISZCZA

Rok 1952. 23-letni Marian C. wyszedł z więzienia na przepustkę.
Wrócić nie zamierzał. Uciekł do Drzewian.
Schronienia szukał u matki i wuja, który kryminaliście powiedział:
nigdy w życiu.
Za to młodzieniec spalił im gospodarstwo, a wuja próbował zabić.

Ciepły, letni dzień. 14 sierpnia 1952 roku. Milicjanci w podkoszalińskich Drzewianach rozpoczęli przesłuchanie 67-letniego Tomasza C. W ciągu kilku chwil stracił on dorobek całego swojego życia. I sam ledwo co uszedł z życiem. Powód? Więzów krwi nie postawił ponad prawem.

- Gospodarstwo rolne w Drzewianach zająłem we wrześniu 1945 roku - mówił. - Ziemię wraz z zabudowaniami, to jest domem mieszkalnym, chlewem, stodołą, szopą - wyliczał. Od Tomasza C. odeszła żona, a na gospodarce potrzeba było rąk do pracy. W 1949 roku pomoc mu zgodziła się bratowa - Józefa C. - Przyjechał do mnie syn jej - Marian, który był skazany na 6 lat więzienia za nielegalne posiadanie broni. Przyjechał w sierpniu 1950 roku, bo ze względu na stan zdrowia dostał półroczną przerwę w odbywaniu kary.

Na te pół roku wuj zameldował 21-letniego wtedy bratanka. W lutym 1951 roku, kiedy minęło 6 miesięcy, młodzieniec stwierdził, że za kraty nie wróci. - Wyjechał do Warszawy, do swoich krewnych i tam się zaczął ukrywać - zeznał Tomasz C.

W Warszawie Marian C. mieszkał do maja. Przyjechał znów do matki i wuja. Prosił ich o to, by przyjęli go pod dach gospodarstwa. Tomasz powiedział stanowczo: nie. Młodzieniec zniknął. - Aż 4 sierpnia 1952 roku zobaczyłem go ukrywającego się w lesie w pobliżu mojego gospodarstwa. Zapytałem, co tu porabia, a on odparł, żebym tak nie dokuczał jego matce. I zażądał papierosów - opisywał milicjantowi wuj Tomasz. Papierosów przy sobie nie miał. Poszedł po nie do domu. Wziął cztery sztuki i wrócił, by dać je bratankowi. Ale kiedy doszedł na skraj lasu, Marian G. wyskoczył na niego z kijem, w który wbite były śruby. Groził mu pobiciem, jeśli ten nie odczepi się od jego matki. A dlaczego się kłócili? - Często jej wygadywałem, że z domu szybko wychodziło jedzenie. Dokładnie chleb, mięso, słonina, cukier, również masło. Miałem podejrzenia, że Marian się ukrywał, a matka po prostu go żywiła - tłumaczył mundurowemu.

Jeszcze tego samego dnia zięć 67-letniego Tomasza C. zaalarmował milicjantów, że w lesie ukrywa się poszukiwany Marian. Nie udało im się trafić na jego ślad.

Józefa, niechętna Tomaszowi za to, jak traktował jej syna, że żałował mu jedzenia, nie chciała już dłużej u niego pracować. Zabrała marynarkę i spodnie, i postanowiła wyjechać do Warszawy. Jeszcze

dostała na drogę 200 złotych, a za to miała powiedzieć chlebodawcy, iż na jej krzywdzie on się nie dorobi.

Kolejne dni upłynęły mężczyźnie na wożeniu żyta. 12 sierpnia, około godz. 21, zmęczony 67-latek położył się spać. - Około godz. 23 obudziłem się - opisywał Tomasz C. Poczul dotyk. - Ktoś naciągał mi na głowę sznurek! Uderzyłem go ręką i szybko zerwałem się z łóżka. Podniosłem krzyk. Usłyszałem, że mam się nie ruszać, bo ten ktoś będzie strzelał. Po mowie poznałem, że to Marian C. - zeznał.

Wuj wyszarpnął się bratankowi, który uciekł z pokoju, zamykając drzwi na zasuwę. Z domu uciekł przez okno. 67-latek postanowił szukać pomocy u sąsiada. Kiedy wybiegł z domu, bratanek zaczął rzucać w niego kamieniami, odgrażając się, że go zabije. - Zdążyłem dobiec, powiedziałem sąsiadowi, że zostałem napadnięty - relacjonował Tomasz C. Sąsiad Michał posłał po syna Tomasza, Tadeusza, lecz sam nie chciał pójść z nim, by zobaczyć, co dzieje się w domu. Bał się napastnika. Wszedł jedynie na podwórze. Wtedy zobaczyli ogień. I już nikt się nie wahał. Tomasz C., sąsiad Michał z żoną - cała trójka rzuciła się na ratunek. Ale było już za późno - płomienie objęły całą stodołę, w której gospodarz trzymał maszyny rolnicze. Ogień pojawił się też w mieszkaniu. Na miejsce pierwszy dobiegł Tadeusz. Udało się ugasić pożar w domu. W pokoju mężczyźni znaleźli baniaki po nafcie i kij ze śrubą, którym kilka dni wcześniej Marian C. straszył wuja. Nie znaleźli za to... butów 67-latka. Bratanek najwyraźniej miał czas na to, żeby je ukraść.

Marian C. nie cieszył się długo wolnością. Już 19 sierpnia starszy sierżant Alojzy Kucharski z komendy powiatowej milicji w Koszalinie przesłuchał go w charakterze podejrzanego. 23-latek, z zawodu szofer, ukończył trzy klasy szkoły powszechnej. Wiedzy może i nie miał, ale - jak się okazało - nadrabiał sprytem. Przed więzieniem, kiedy to z Warszawy przyjechał do Drzewian, ukrywał się... w gospodarstwie wuja. - Tomasz C. o tym nie wiedział. W dzień przebywałem w pobliskich krzakach, przyległych do gospodarstwa, a w nocy zachodziłem spać do stodoły, względnie do obory w siano - przyznał się. Żywił się też u wuja - kiedy ten wychodził do pracy, Marian częstował się mięsem, kawą, mlekiem. - Względnie zabierałem w krzaki - opisywał. Potwierdził, że 4 sierpnia spotkał wuja.

- Kiedy ukrywałem się w lesie, naszedł mnie leżącego. Zapytał się mnie, co ja robię w lesie, na co odpowiedziałem, że leżę. A jednocześnie zapytałem, gdzie jest matka i dlaczego jej tak dokuczają - od tego

momentu jednak zeznania mężczyzn się różnią. Wersja Mariana C. była bowiem taka, że Tomasz zapytał, czy chce się on spotkać z matką. Kiedy matka przysłała, pokazała mu siniaki - efekt pobicia. Wtedy to miała oznajmić, że ma już dość takiego życia i że wyjeżdża do rodziny, do Warszawy. Miała też powiedzieć, że milicja już wie, że syn się ukrywa. I przyniosła mu garnitur.

23-latek nadal ukrywał się w lesie. I nadal korzystał z darmowej stołówki u wuja. - Nosilem ze sobą kij z nasadzoną na nim grubą nakrętką, ale służył mi do ewentualnej obrony przed psami czy też inną zwierzyną. W żadnym wypadku nie odgrażałem się nim Tomaszowi - zapewniał.

Marian C. przyznał się, że 12 sierpnia około godz. 23 wszedł do domu wuja. Z kijem do, jak zeznał - „ewentualnej obrony”. - Chciałem go nastraszyć - tłumaczył. - Zawołałem: „Stryju, obudź się, nie bój się!”. Zerwał się z łóżka - relacjonował. I znów wersja bratanka się różni - owszem, powiedział, że uciekł z domu przez okno, owszem, rzucał kamieniami, ale nie groził śmiercią, tylko prosił, by wujek się... zatrzymał, a nie uciekał do sąsiadów. A kiedy ten uciekł, 23-latek wszedł do domu przez okno. - Zabrałem oficerki, które znajdowały się w szafie, następnie wziąłem bańkę z naftą, która to stała w przedsieni, zaszedłem do pokoju sypialnego i polałem naftą łóżko, zaś w drugim pokoju dywan, po czym podpaliłem naftę i wyszedłem na podwórze - przyznał. Poszedł jeszcze do stodoły, gdzie podłożył ogień pod słomę. Z krzaków obserwował, jak w ciągu kilku minut płomienie opanowały budynki. Do próby uduszenia wuja, choć na miejscu znaleziono jego sznurek, nie przyznał się. - Sznurek pozostawiłem w mieszkaniu, ale służył mi za pasek do spodni - tłumaczył.

- Zdjąłem go, bo za bardzo mnie uciskał.

Szczyt bezczelności Marian C. osiągnął, kiedy cztery dni po pożarze, wciąż ukrywając się w chaszczach, przyszedł do domu wuja szukać jedzenia. Ponieważ nic nie znalazł, wyruszył w drogę - przez Żydowo w kierunku Polanowa. Przed Polanowem został zatrzymany.

Akt oskarżenia w tej sprawie datowany jest na 19 września 1952 roku. Czytamy w nim, że zboże i maszyny rolnicze, które spłonęły wraz ze stodołą, warte były aż 17 tys. złotych. Sieczkarnia, kopaczka do ziemniaków, siewnik, brony - mężczyzna stracił wszystko. Straty w mieszkaniu to m.in. podłoga, stół, poduszki, dywan - zdecydowanie mniejsze, bo szybka była pomoc syna Tomasza C.

Marian C., oprócz podpalenia, został oskarżony o kradzież butów,

wreszcie o usiłowanie zabójstwa. „(...) założył mu podczas snu pętlę ze sznurka na szyi, lecz zamierzonego przestępstwa nie dokonał, gdyż ten się obudził i zapobiegł przyciągnięciu pętli (...)” - pisał asesor Gapiński. Śledczy dotarli do listów i notatek oskarżonego. Pisał w nich, że myśli nad zemstą. Że nie podpalił obory, bo w sianie są małe kotki. „Zniszczenie podpaleniem mienia rolniczego w Państwie robotników i chłopów, otoczonych szczególną opieką (...) stanowi zbrodnię przeciwko całemu społeczeństwu polskiemu” - argumentował asesor, nazywając Mariana C. wrogiem klasy robotniczej i pracujących chłopów, wyrzutkiem społeczeństwa, który „uchylał się przed zaszczytnym prawem i obowiązkiem pracy”. „(...) zniszczył całoroczny plon ziemi i pracy Tomasza C., mający żywić sumiennych i bohaterskich budowniczych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Czyny te są wyrazem zemsty wroga ludu pracującego, wysoce społecznie niebezpieczne winny być potępione przez ludzi pracy, jako zbrodnie przeciwko mieniu i ludzkości i za te czyny winien on się spotkać z surową represją kamą” - kończy się akt oskarżenia.

Rozprawa w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie odbyła się 29 grudnia 1952 roku. I znów Marian C. przyznał się do podłożenia ognia, zaprzeczał zaś, jakoby chciał zabić. Wyrok zapadł tego samego dnia - oskarżony został uznany winnym trzech zarzucanych mu czynów - podpalenia, kradzieży i usiłowania zabójstwa. Za podpalenie wymierzył mu karę 12 lat, 6 lat za próbę zabójstwa, 2 lata za kradzież butów. Łącznie - stosując ustawę amnestyjną z 1952 roku, po złagodzeniu wszystkich kar, sąd wymierzył mu 10 lat pozbawienia wolności. Od wyroku Marian C. się odwołał. 19 maja 1953 roku Sąd Najwyższy w Warszawie uznał jednak wyrok za słuszny i utrzymał go w mocy.

Sędziowie nie mieli wątpliwości, że 23-latek chciał zabić - świadczyły o tym zeznania świadków. Argumentacja, że chciał jedynie związać wuja, by nie zapobiegł podpaleniu, również była mizerna - wszak mógł zginąć w płomieniach. Najwięcej uwagi zaś poświęcili Marianowi C. - wrogowi Polski Ludowej.

„Dla gospodarki ogólnonarodowej nie jest obojętną rzeczą, iż w wyniku zbrodni oskarżonego spaliły się zbiory zboża i narzędzia rolnicze. Nie jest również okolicznością łagodzącą w sprawie, iż pokrzywdzony odmówił oskarżonemu pomocy, gdy on ukrywał się w lesie. Oskarżony ukrywał się w ten sposób przed wymiarem sprawiedliwości i dlatego Tomasz C., wiedząc o tym, a nie udzielając

oskarżonemu pomocy, spełnił jedynie swą obywatelską powinność”.

Kolejne wnioski skazanego o obniżenie mu wymiaru kary kończyły się ich odrzuceniem. Odpowiedź na pytanie dlaczego, znajdujemy na pożółkłych kartach akt: „(...) stwierdzono bierny stosunek do Polski Ludowej. (...) Karany dyscyplinarnie był cztery razy za łamanie przepisów więziennych. Do przełożonych odnosi się arogancko. Koleżeński jest w stosunku do więźniów osadzonych za podobne przestępstwa. (...) Skruchy nie wykazuje” - taką notatkę podpisał naczelnik więzienia w Kłodzku.

O ułaskawienie prosiła 32-letnia siostra skazanego. „(...) ja postaram się, żeby więcej z sądem nie miał do czynienia, jak teraz pilnuję męża swego, który nie był jeszcze karany w życiu (...)” - obiecywała Zofia T. Również i matka - Józefa, pisała wnioski o skrócenie wyroku. „Przyznaję, iż syn mój postąpił bardzo szkodliwie dla Państwa, ale nastąpiło to z powodu jego niewłaściwego wychowania od młodości” - tłumaczyła. Przypomniała, że ojciec Mariana C. został rozstrzelany w 1942 roku przez gestapo za przynależność do tajnej organizacji. Syn musiał wtedy iść do bogatych chłopów na służbę, gdzie nie został właściwie wychowany. Kiedy do Polski wkroczyły zaś wojska radzieckie, przyłączył się do nich. Wkrótce został aresztowany za posiadanie broni palnej - i tak historia zatoczyła krąg.

Kolejne prośby były pozostawiane bez dalszego biegu. W 1961 roku Marian C. został warunkowo zwolniony z więzienia.

PROMILE ZAWSZE WIOZŁY ŚMIERĆ

Pijani kierowcy są zmorą nie tylko naszych czasów. 60 lat temu pod Białogardem doszło do tragicznego wypadku. Zginęło dwóch z aż...
dziewięciu pasażerów traktora, który prowadził Henryk C.
Prowadził, choć nie widział drogi.

Syn i ojciec. 23-letni Henryk i 52-letni Józef. Kołodziej i traktorzysta. Tego dnia Henryk wziął wolne w pracy, by w Białogardzie zrobić zakupy. Przy okazji chciał pomóc ojcu w przeładunku towarów.

Wsiadł za kierownicę. Nie miał uprawnień, ale... kto by to sprawdzał. Podobnie panowie nie przejęli się tym, że po kielichu za kółko nie wolno albo przynajmniej - lepiej nie wsiadać. Chcieli się przecież tylko rozgrzać.

Był 10 lutego 1954 roku. Śnieg zalegał na ulicach.

- Przyczyną wypadku było to, że na przedzie traktora siedzieli ludzie, zasłaniając drogę oraz to, że traktor nie miał świateł. Ale całą winę ja ponoszę, dlatego że, znając przepisy traktorzysty, dałem traktor synowi nieupoważnionemu do prowadzenia oraz wziąłem ze sobą tyle osób - dwa dni po tragicznym wypadku na posterunku w Łęczynie zeznawał Józef C. Początkowo był tylko świadkiem w tej sprawie. Później sam usłyszał zarzuty. I to bardzo ciężkie zarzuty.

Prokurator powiatowy T. Cyngler nie miał wątpliwości, że winnych w tej sprawie jest dwóch. Ojca i syna oskarżył o to, że 10 lutego 1954 roku na szosie obok Rarwina (gm. Białogard) spowodowali katastrofę w komunikacji lądowej w taki sposób, że Józef C., będąc w stanie zamroczenia alkoholowego, jako traktorzysta zezwolił na prowadzenie nieoświetlonego traktora synowi, Henrykowi C., który również był nietrzeźwy i nie miał prawa jazdy. I dalej: „na traktorze wbrew przepisom jechało 9 osób w następstwie czego Henryk C. zjechał traktorem z szosy do rowu”. Pojazd przewrócił się i przygniótł dwie osoby - Sylwestra B. i Bolesława L. Obaj zginęli. Do wypadku doszło na szosie prowadzącej do Rarwina, około 70 metrów od tej miejscowości, o godz. 21.30. Już z wcześniejszych zeznań oskarżonych, którzy wcale nie odrzucali odpowiedzialności za tragedię, a nawet jeden chciał brać na siebie winę za drugiego, widać, jaki ciąg zdarzeń doprowadził do wypadku.

23-letni Henryk C. tłumaczył, że sam zaproponował ojcu, iż zmieni go za kółkiem, bo widział, że ten jest bardzo zmęczony. - 10 lutego ojciec miał zawieźć spirytus z gorzelnii do stacji Białogard. Około godz. 14 załadowano dwie przyczepy przy traktorze beczkami. Pojechałem ja, natomiast w mieście traktor prowadził ojciec. Na stacji, po rozładowaniu przyczep, złożyliśmy się na pół litra wódki, którą wypiliśmy w sześciu. Potem udałem się na miasto, celem załatwienia

swoich spraw osobistych - opisywał. Traf chciał, że spotkał znajomych z Rarwina, z którymi kupili kolejną wódkę i wypili przy kiosku z piwem. Miejsce najwyraźniej zobowiązywało, bo wódkę popijali właśnie chmielowym trunkiem.

Kiedy 23-latek pił ze znajomymi, przyczepy załadowano otrębami, które rodzinna spółka traktorzystów miała dostarczyć z Białogardu do PGR-u w Nasutowie. Przez Białogard jechał ojciec. Na ul. Świdwińskiej za kierownicę wsiadł syn. Dojechał do celu, zostawił przyczepy i miał jechać dalej - do Rarwina. Nie sam. Na traktorze było łącznie aż 9 osób, które chciały, by je podrzucić do wsi. Na błotnikach, z tyłu na zaczepie. - Poczepiali się na traktor, gdzie kto mógł. Na masce siadły trzy osoby, reszta przy mnie po bokach. Przez całą drogę jechałem dobrze, natomiast 70 metrów od Rarwina poczułem, że traktor jedzie za bardzo w prawo. Skręciłem w lewo. W tym czasie Sylwester B., który siedział przy hamulcu, chciał się poprawić, chwycił za kierownicę, skręcił w prawo. Wtedy wpadłem na barierę przy moście. Traktor wywrócił się, mnie wyrzucając. Kto mógł, zeskoczył. Jak się ludzie ratowali, tego nie widziałem - opisywał.

W miejscu, w którym doszło do wypadku, szosa prowadziła nieco w dół i przecinał ją mostek. To tu kierowca zjechał w prawo i było już za późno na wyprowadzenie traktora na jezdnię. Pojazd zsunął się po zboczcu, przewracając się.

Kiedy traktor już leżał, Henryk podszedł zgasić silnik. Zobaczył, że Sylwester B. miał głowę przyciśniętą kołem. Już nie żył. Obok leżał kierownik gorzelni Bolesław L. Coś bełkotał. Po dwóch godzinach zmarł.

Co w tym czasie robił ojciec? Józef C. jechał... jako jeden z trzech pasażerów na masce. Z aktu oskarżenia wynika, że był bardzo pomocny. Kiedy, podczas jazdy Henryk co i msz zjeżdżał na prawo, „Józef C., siedzący jako pierwszy na masce, informował go, aby jechał bardziej w lewo” - tak pomoc ojca opisał prokurator.

Dlaczego w ogóle ojciec dał prowadzić auto nietrzeźwemu synowi, który nie miał prawa jazdy? Odpowiedź można znaleźć w aktach sprawy. Otóż złe samopoczucie 52-letniego Józefa wynikało z faktu, że dzień wcześniej do północy... pił wódkę. A kieliszki na kaca wypite w Białogardzie nie pomogły.

„Za wypadek tak tragiczny w swych skutkach ponoszą całkowitą odpowiedzialność oskarżeni i za swój czyn winni oni być surowo ukarani” - tak kończy się akt oskarżenia.

Rozprawa w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie odbyła się 24 kwietnia 1954 roku. Józef C. przekonywał sędziów, że to jego przełożony kazał mu wziąć na traktor tylu pasażerów. I, że naprawdę źle się tego dnia czuł, a syn już nie raz udowodnił, iż potrafi prowadzić traktor. Henryk C. do winy się przyznał. Potwierdził znaną już wersję zdarzeń. Dodał jednak: - Pijany nie byłem, pomimo tego iż piłem wódkę, gdyż bardzo mało piłem wtedy. Ta ilość nie zmąciła mi świadomości. Nie myślałem, że mogę spowodować katastrofę, gdyż umiem dobrze prowadzić - zapewniał i dodał, że jechał spokojnie, około 20 km na godzinę.

Tego samego dnia zapadł wyrok. Przewodniczący B. Kamiński uznał obu oskarżonych za winnych (art. 215 par. 1 kk) i skazał każdego z nich na 4 lata więzienia. - Henryk C. „prowadził oczami” Józefa C. traktor po drodze publicznej, bez świateł w nocy, bez możliwości natychmiastowego użycia hamulca - wyliczał w uzasadnieniu sędziego. A hamulca nożnego użyć nie było można, bo... mechanik, który dokonał oględzin traktora po wypadku ustalił, że hamulec nie działał. - Przy takim podziale czynności każdego z nich, będących pod wpływem alkoholu, świadomie stworzyli stan niebezpieczeństwa katastrofy. W tych warunkach, kontynuując jazdę, zgodzili się na jej zaistnienie, do czego w wyniku swojego działania doprowadzili - brzmiało uzasadnienie wyroku.

Okolicznością obciążającą był znaczny stopień szkodliwości społecznej czynu, śmierć aż dwóch osób i jazda z promilami. Łagodzące - uprzednia niekaralność, opinia wzorowych pracowników. Obaj panowie od wyroku się odwołali. 6 sierpnia 1954 roku nad ich sprawą pochyłili się sędziowie Sądu Najwyższego. Zaskarżony wyrok utrzymali jednak w mocy. „Kar wymierzonych oskarżonym nie można uznać za surowe, a tym bardziej w stopniu rażącym (...) ze względu na poważne następstwa katastrofy, które mogły być jeszcze groźniejsze oraz fakt, że oskarżeni znajdowali się w stanie zamroczenia alkoholowego” - czytamy w uzasadnieniu wyroku.

W wypadku skazanych można chyba mówić o czynniku wychowawczym kary izolacyjnej. A wniosek ten nasuwa się z opinii o więźniu, letóra datowana jest dokładnie na rok po wypadku -10 lutego 1955 r. Józef C. od maja 1954 roku przebywał w Zakładzie Karnym w Siemianowicach, gdzie pracował w kopalni węgla kamiennego. Był „więźniem zdyscyplinowanym, wzorem dla innych, rozkazy przełożonych wykonywał chętnie i bez komentarzy”. Koleżeński, dbał o

czystość. I co jakże wtedy ważne - w stosunku do Władzy Ludowej i przemian społecznych wyrażał się pozytywnie.

DZIECKO WYGLĄDAŁO JAK SZKIELET

15 maja 1952 roku przed sądem w Koszalinie stanęła Stefania D.
Prokurator zarzucił jej zabójstwo maleńkiego synka. Sprawa z
Bielska-Białej trafiła aż do Koszalina.

Wymiar sprawiedliwości nad tą sprawą pracował długo, bo aż trzy lata. Jedną z przyczyn były odległości - do zarzucanego w akcie oskarżenia czynu miało dojść w Bielsku-Białej, podejrzana przeprowadziła się do Złocieńca, na pierwszą rozprawę się nie stawiła, wreszcie aresztowana na kolejny termin została do sądu doprowadzona.

Akt oskarżenia pochodzi z 21 lipca 1951 roku. 43-letnia Stefania D., robotnica, która ukończyła 3 klasy szkoły powszechnej, utrzymująca się z pracy najstarszego syna, została oskarżona o to, że od kwietnia do lipca 1949 roku w Bielsku-Białej, w zamiarze pozbawienia życia swego nowo narodzonego syna Ryszarda, pozostawiała go bez opieki i jedzenia. „Wskutek niedożywienia nastąpiło całkowite wyniszczenie organizmu dziecka, zniesienie czynności ważnych dla życia narządów ciała i śmierć dziecka” - napisał bielski prokurator Stanisław Galant. Sprawa miała zostać rozpatrzona przez sąd w Katowicach, ale z racji przeprowadzki oskarżonej, proces toczył się we właściwej instancji w Koszalinie.

5 kwietnia 1949 roku na świat przyszedł mały Ryszard, piąte dziecko Stefanii D. W tym czasie jej mąż Adolf siedział w więzieniu za wyłudzenie 30 tys. złotych. Poród był skomplikowany, jednakże, zdaniem położnej, dziecko na świat przyszło zdrowe. Innego zdania była Stefania D. - Dziecko przyszło na świat w stanie nieprzytomnym - zeznawała przed sądem. -Akuszerka cuciała go przeszło półtorej godziny, rzucając go, bijąc po ciele, a później kładła go do zimnej i gorącej wody, aż przyszło do przytomności. Akuszerka twierdziła, że dziecko jest chore, ale musiała go cucić, by żywe się urodziło, gdyż nie chciała na siebie brać odpowiedzialności. A później niech sobie umiera. Dziecko było bardzo słabe, żyło niecałe cztery miesiące. Dzieckiem opiekowałam się jako matka, a nieobecność moja to jeden wypadek wyjazdu na pogrzeb ojca - tłumaczyła.

Niestety, 28 lipca chłopiec zmarł. Prokurator nie miał wątpliwości - to matka, jego zdaniem, winna była śmierci. Wskazywać miały na to m.in. opinia lekarza, który stwierdził u maleństwa stan wycieńczenia oraz fakt, że D. miała już kilkoro dzieci, a nie mając żadnych uczciwych źródeł utrzymania „postanowiła pozbyć się dziecka, powodując śmierć przez zagłodzenie” - czytamy w akcie oskarżenia.

Wezwany na przesłuchanie lekarz doktor Józef Wałach, który był

przy oględzinach zwłok Ryszarda, oświadczył: - Śladów otmicia względnie uduszenia nie stwierdziłem. Stwierdziłem jedynie wychudzenie dziecka w stopniu bardzo znacznym. Zauważyłem, że inne dzieci matki zmarłego były dobrze odżywione i ubrane. Byłem zdania, że od urodzenia dziecko było słabowite.

Świadkowie, głównie sąsiedzi oskarżonej, nie mieli o niej dobrego zdania. Zgodnie zeznawali, że noworodkiem się nie zajmowała, „dziecko nieopatrywane leżało w brudzie”, a matka „uprawiała rozpustę, upijając się codziennie”, przy czym czasem karmiła maleństwo piersią. Kobieta miała ukrywać syna przed ich oczami, by nie rozszyfrowali jej przestępczych planów i wyjeżdżać nawet na kilka dni, zostawiając malca z resztą rodzeństwa.

- Większe dzieci D. wypijały mleko przeznaczone dla niemowlęcia - twierdziła jedna z sąsiadek. - Dziecko krzyczało po urodzeniu, może dzień lub dwa, a potem to już nie miało siły krzyczeć - stwierdził Alojzy H. - Dziecko doprowadziła do takiego stanu, że wyglądało jak szkielet. Chcieliśmy, by zaniósła je do lekarza, ale tłumaczyła, że nie ma pieniędzy. Miało 4 miesiące i wyglądało coraz gorzej. Sama mało bywała w domu i dziecko zostawało pod opieką innych dzieci - opisywał Franciszek K. Olga S. zeznała, że sublokator Stefanii powiedział jej, że ona i jej 13-letnia córka uprawiają nierząd. Stanisław W, rzeźnik, który wynajmował od Stefanii D. pokój, najpierw wszystkiemu zaprzeczył, a po konfrontacji z Olgą S. (konfrontacji zwanej wtedy „stawieniem sobie do oczu”) ostatecznie przyznał, że owszem widział, że Stefania spała w łóżku z mężczyzną. A w kolejnych zeznaniach: - Zauważyłem, że przyjmowała mężczyzn do mieszkania. Odchodzili późną nocą lub pozostawali spać w mieszkaniu, a odchodzili rano.

I kolejne mocne słowa: - Stefania prowadziła hulawczy tryb życia i urządziła schadzki w swoim mieszkaniu z obcymi ludźmi, przeważnie z mężczyznami. Do mieszkania przyjęła 18-letnią sublokatorkę i razem to robiły. Stefania codziennie była pijana - podkreślił Józef B.

- Sąsiedzi zeznają niekorzystnie dla mnie, dlatego że żyłam z nimi w niezgodzie, bo po aresztowaniu męża chcieli odebrać ogród, który do mego mieszkania należał, co też później dokonali. Świadkowie ci nigdy do mieszkania mego nie wchodzili - tłumaczyła przed koszalińskim sądem oskarżona.



Pod koniec swojego pobytu w Bielsku-Białej zaczęła wysprzedawać meble. Ostatecznie mieszkanie oddała sublokatorowi - rzeźnikowi Stanisławowi W., a sama przeniosła się do Złocieńca. Jej syn Henryk dostał tam pracę - w fabryce włókienniczej.

14 lutego 1952 roku przed koszalińską Temidą miała się odbyć rozprawa, jednak oskarżona się na nią nie stawiała. Została aresztowana i 15 maja 1952 roku doprowadzona przed wymiar sprawiedliwości przez funkcjonariuszy.

Do zarzutu zabójstwa synka nie przyznała się. Zeznania rozpoczęła od wyznania, że mąż, gdy dowiedział się, iż zaszła w kolejną ciążę, kazał jej ją „spędzić”. - Lecz ja nie zgodziłam się i urodziłam syna Ryszarda - zapewniła. Przedstawiła siebie, jako dobrą matkę. - Karmiłam dziecko piersią. Dawałam mu rumianek do picia. Ale ani mleka, ani też rumianku nie piło. Telefonowałam do lekarza, jednak on mi odpowiedział, że nie przyjedzie, gdyż nie jest specjalistą chorób dziecięcych - tłumaczyła. Odniosła się też do sąsiadów. - Śmiali się ze mnie i prześladowali za to, że ja mam tyle dzieci - tłumaczyła. Wyjaśniała, jak trudno było jej związać koniec z końcem. Zostawał jej dodatek rodzinny, bo mąż tokarz wszystkie zarobione pieniądze przepijał i... wydawał na dwie kochanki. - Gdy chodziłam w ciąży z Ryszardem często mąż bił mnie i kopał nogami, aż krwawiłam. Na utrzymanie czerpałam środki z dorywczej pracy, a także z renty. Nieprawdą jest, że po aresztowaniu męża przyjmowałam innych mężczyzn. Owszem, przychodzili koledzy do mego najstarszego syna. Mężczyzną, którego zaś widział świadek W. był kuzyn mego męża i spał na oddzielnym łóżku - szczegółowo zeznawała. Stefania D. dodała też, że wyszła za Adolfa w 1930 roku i do 1948 żyli zgodnie. Potem pojawiły się kochanki...

Przed sądem świadek Stanisław W. znów nieco zmienił swoje zeznania. Przypomniało mu się, że do oskarżonej przychodzili starsi mężczyźni z młodszymi kobietami, że jednego widział nagiego w łóżku, a z jej pokoju często dobiegały radosne śpiewy. - Raz zastałem oskarżoną modlącą się i mnie to wzruszyło, więc powiedziałem, by zmieniła swój tryb życia, na co oskarżona powiedziała: „Co komu szkodzi, że przyjdą i pośpiewają”, po czym dodała:, jak ja nie będę czegoś miała, to nic nikt mi nie da”.

W sądzie zeznawał też administrator mieszkania Józef B. Wspominał m.in. o ciągłych skargach sąsiadów na „schadzki z mężczyznami”. Problemów mieli sporo - a to pijany gość załatwiał fizjologiczne potrzeby na środku korytarza, a to hałasy nie pozwalały im spać, głośne śpiewy było słycać nawet z ulicy.

13 czerwca 1952 roku zapadł wyrok. Sąd Wojewódzki w Koszalinie postanowił oskarżoną Stefanię D. uniewinnić. „Oskarżona, której mąż ją zaniedbywał i wypędzał z mieszkania wraz z dziećmi, gdyż chciał do mieszkania wprowadzić kochankę. W czasie gdy mąż był aresztowany za oszustwo mieszkała do początku 1950 r. wraz z pięciorgiem dzieci w Bielsku” - tak rozpoczyna się uzasadnienie wyroku. „Gdy mąż odbywał

karę półtora roku więzienia oskarżona prowadziła rozpustny tryb życia, przyjmowała w swym mieszkaniu obcych mężczyzn, z którymi urządziła pijatyki.”

Sędzia W. Potoniec podkreślił, że lekarz zeznał, iż Ryszard zmarł z powodu wyniszczenia, jednak nie stwierdził, czy wyniszczenie to było wynikiem choroby, czy też długotrwałego niedożywienia. Jeśli chodzi o zeznania świadków, skład orzekający zauważył, że jako sąsiedzi nie znali oni bliżej oskarżonej i jej stosunku do zmarłego dziecka, gdyż do mieszkania nie przychodzili. „Nie mogli stwierdzić, czy i jak często oskarżona karmiła dziecko, a jedynie sporadycznie i przelotnie oglądali dziecko, u którego zauważyli coraz gorszy wygląd zewnętrzny” - czytamy w uzasadnieniu wyroku.

Akta tej sprawy kończy zdanie, które śmiało może zostać nominowane w kategorii najdłuższe zdanie świata. Niech zakończy i tę historię: „(...) ponieważ oskarżona nie była obojętna dla swoich dzieci, gdyż po otrzymaniu zaległej renty kupiła im odzież, ponieważ wedle zeznań biegłego doktora inne dzieci były dobrze odżywione i dobrze ubrane, ponieważ położna zeznała, że poród nie był normalny, gdyż dziecku zastosowano sztuczne oddychanie, ponieważ biegły, wykluczając chorobę, oparł się jedynie na zeznaniach świadków, którzy na podstawie własnych spostrzeżeń nie mogli ustalić, czy faktycznie oskarżona dziecku nie dawała pokarmu, ponieważ zatem nie jest wykluczone, że wychudzenie było wynikiem choroby lub słabowitego zdrowia dziecka, ponieważ prowadzenie przez oskarżoną rozpustnego i pijackiego życia nie jest jeszcze dowodem, iż było to powodem śmierci dziecka oraz, by oskarżona dziecko zaniedbała, gdyż brudne pieluszki i koszulki nie są jeszcze dowodem braku należytej pieczy, gdy się uwzględni, iż oskarżona miała ponadto pięcioro dzieci i była w nędzy, sąd oskarżoną z braku dowodów uniewinnił”.

DAŁA
ŻYCIE.
ZABRAŁA
ŻYCIE

Jerzy miałby dziś 58 lat. Mógłby mieć, gdyby nie okrucieństwo jego 20-letniej matki. Trzytygodniowego malca wrzuciła do stawu. Chłopczyka skazała na pewną i okrutną śmierć.

Czy kiedy oglądasz wiadomości, w których raz po raz pojawiają się informacje o tragedii, jaką dzieciom gotują ich rodzice, ci, którzy powinni kochać, troszczyć się, myślisz - to okrucieństwo to znak czasu? Wydaje ci się, że to niezrozumiałe postępowanie, agresja, niewyobrażalne barbarzyństwo to twór teraźniejszości? Niestety, to zło, które tkwi w ułamku społeczeństwa, istniało wcześniej. Oto historia z 1958 roku. Na wokandę Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie trafiła sprawa

Heleny G., która najpierw dała życie małemu Jerzemu, by potem w jesienny, chłodny dzień je odebrać.

Przenieśmy się w czasie do 1958 roku w okolice Miastka. W odległości około 2 kilometrów od miejscowości, idąc wzdłuż toru kolejowego w kierunku stacji, można było dojść do łąki, pośrodku której znajdował się bagienny staw. Od strony północno-zachodniej był on osłonięty krzakami i lasem sosnowym. To tam 9 listopada, jak zazwyczaj w niedziele, 19-letni Zygmunt wybrał się wraz z kolegami na ryby. Często udawało im się tu złowić liny. - Było koło południa, kiedy kolega Wojtek zauważył leżącą w wodzie przy brzegu od strony lasu, jak się wyraził, lalkę - zeznawał później. - Przypatrzyliśmy się i doszliśmy do przekonania, że nie jest to żadna lalka, a dziecko. Nieżywe. Leżało na wznak, na równi z powierzchnią wody - opisał.

Koledzy odrzucili wędki i pobiegli do pobliskiego Słosinka, skąd telefonicznie zawiadomili o przerażającym odkryciu miastecką milicję.

Sekcja zwłok wykazała, że chłopczyk utonął. Zaczęły się poszukiwania matki niemowlęcia. Do Szpitala Powiatowego w Miastku milicjanci wystąpili z wnioskiem o wykaz urodzin chłopców. Z wydziału Zdrowia Powiatowej Rady Narodowej otrzymali zaś spis wydanych talonów na wyprawki niemowlęce. Listę nazwisk weryfikowano, sprawdzając, kolejne matki. To był właściwy sposób. W aktach sprawy znajdujemy datowaną na 16 listopada decyzję prokuratora powiatowego, który wydał nakaz aresztowania Heleny G. i Edwarda R. Helena, panna, pracownica PGR Dretyń, 8 października urodziła dziecko, a podczas niespodziewanej wizyty mundurowych oznajmiła im, że dziecka nie ma i nie chciała wyjaśnić, co z malcem się stało. Wizytę milicjanci złożyli jej i jej narzeczonemu Edwardowi w... Białej Podlaskiej, gdzie przebywali u matki Heleny.



O wyjeździe tym mówiła już w szpitalu. Nakaz tymczasowego aresztowania i przekonwojowanie do Miastka - taka była decyzja prokuratora.

22 listopada Edward R. został po raz pierwszy przesłuchany. Kawaler, ukończone siedem klas podstawówki, 19-latek. Do zabójstwa dziecka się nie przyznał. - Latem 1957 roku wyjechałem od rodziców na zachód za pracę. Początkowo pracowałem w PGR w Jezierzycach koło Słupska i tam zapoznałem Helenę G. - rozpoczął zeznania. Już tam

namiętność między dwojgiem była na tyle potężna, że związek skonsumowali. Nie jeden zresztą raz. Do listopada 1958 roku Edward pięć razy zmienił pracę. Choć pracował w różnych miastach, kontakty ze swoją dziewczyną utrzymywał. Ale, jak się zarzekał, ciężą był zaskoczony. - 4 listopada przyjechałem do Słupska i spotkałem się z Heleną na stacji kolejowej - mówił. Powód? Listownie umówili się, że odwiedzą jej rodziców. Spędzili w Białej Podlaskiej niespełna 2 tygodnie. Przyszli teściowie z narzeczonego córki nie byli zadowoleni, więc postanowił się stamtąd ewakuować. Helena odprowadziła go na dworzec autobusowy. - Tam wylegitymował nas miejscowy komendant MO. Zabrał Helenę ze sobą. Po pewnym czasie po mnie przyjechał samochód, a funkcjonariusze oświadczyli mi, że Helena zamordowała dziecko.

Edward widział się z ukochaną w kwietniu przez dwa dni. - Nie mówiła mi, że jest w ciąży i sam też tego nie zauważyłem. Wyglądała normalnie. Po wyjeździe od niej więcej się z nią do listopada nie widziałem.

20-letnia Helena G. do winy się przyznała. - 30 października w Miastku, chcąc pozbyć życia swojego noworodka, wrzuciłam go do stawu bagiennego - to odarte z emocji zdanie otwiera jej szczegółowe, dwudniowe wyjaśnienia. Szczegółowe na przykład w kwestii poszczególnych prac, których się podejmowała. W 1953 roku ukończyła szkołę podstawową i wyjechała do Łodzi, do technikum dziewiarskiego. Utrzymywała się ze stypendium w wysokości 270 złotych. Jednak od drugiej klasy straciła chęci do nauki i musiała zacząć na siebie zarabiać. Po drodze miała „wpadkę” z mankiem na ponad 10 tys. złotych, za co trafiła za kraty. Karę na mocy amnestii po odsiedzeniu części wyroku jej darowano. Wreszcie, po kolejnych miejscach pracy, trafiła do Jezierzyc, gdzie poznała Edwarda. Zakochała się, ale o intymnych szczegółach rozpisywać się nie będziemy.

- W końcu stycznia, względnie z początkiem lutego 1958 roku nie miałam swojego okresu, jednak nie sądziłam, że zaszłam w ciążę. Aż w sierpniu, gdy poczułam ruchy w brzuchu, udałam się do Ośrodka Zdrowia do położnej i ta oświadczyła mi, że jestem w ciąży - opisywała. O tym fakcie Helena nie poinformowała Edwarda.

8 października o 6 rano zabrało ją pogotowie. Około godz. 10 w szpitalu w Miastku urodziła synka. Ważył 3450 gramów. 16 października z dzieckiem została wypisana. - Początkowo byłam zadowolona ze swego dziecka i je wychowywałam - tłumaczyła.

Mieszkała razem z koleżanką.

- Byłam słaba, nie mogłam chodzić, ale jednak musiałam codziennie z PGR sobie przynieść w wiadrze węgla i zbierać drzewo na podpałkę. Byłam przez to przemęczona, a w dodatku dziecko moje było krzykliwe, w nocy często nie spałam, gdyż płakało tak, że sprzykrzyło mi się życie. W dniu 28 października pobierałam swoją wyprawkę ze sklepu i nie wiedziałam wtedy jeszcze, że dziecko utopię. 29 października postanowiłam się pozbyć dziecka w ten sposób, że nazajutrz pojedę do Miastka, pójdę wzdłuż torów do Słosinka i utopię je w jeziorze - wyznała. Koleżankom zapowiedziała, że jedzie z synkiem do matki, by oddać go jej na wychowanie. Jerzego - tak dała mu na imię.

Jak zaplanowała, tak zrobiła. - Będąc nad brzegiem stawu położyłam becik z dzieckiem na trawie, a następnie przyglądałam się wodzie, nie mogąc początkowo zdecydować, czy powzięty zamiar zrealizować. Aż w końcu wyjęłam dziecko, rozebrałam je i położyłam na wodzie. Całe skryło się w wodzie i zaraz poszłam. Dziecko, gdy rozbierałam je, zaczęło płakać i płacz ucichł z chwilą, kiedy położyłam go na wodzie - opisała 20-latka.

Becik z bielizną zwinęła i zapakowała w papier, który wcześniej kupiła. Zostawiła w ubikacji na stacji kolejowej. Wsiadła w pociąg i pojechała do Słupska na spotkanie z narzeczonym, skąd mieli pojechać do jej rodziców. Zgodnie z jej wersją zdarzeń powiedziała Edwardowi, zaniepokojonemu tym, jak schudła, że urodziła dziecko, ale zmarło. I, że pochowała je na cmentarzu w Miastku.

Po zeznaniach obojga Edward R. został oczyszczony z zarzutu zabójstwa dziecka. W kolejnych zeznaniach potwierdził, że o dziecku, owszem, dowiedział się, ale poznał wersję Heleny, iż urodziło się przedwcześnie i zmarło.

- Przestępstwa dopuściłam się dlatego, że z jednej strony bałam się swych rodziców, z drugiej zaś znajdowałam się w ciężkich warunkach materialnych. Nie starałam się o umieszczenie dziecka w Domu Dziecka - to kolejne zeznania Heleny G.

Akt oskarżenia w tej sprawie 24 kwietnia 1959 roku podpisał wiceprokurator wojewódzki Stanisław Chmura. 27 maja Helena G. stanęła przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie. Do winy się przyznała. Znów zapewniła, że jej chłopak o ciąży nic nie wiedział. Nie odpowiedziała na pytanie, dlaczego zamiast zabić, nie oddała synka do Domu Dziecka.

- Postanowiłam pozbawić dziecko życia przez utopienie, gdyż uznałam, że nie będzie się męczyć - wyjaśniła sędziemu. - Doszłam na brzeg jeziora. Początkowo nie miałam odwagi tego zrobić. Dwukrotnie wracałam się i za trzecim razem wyjęłam dziecko, rozebrałam je i włożyłam do wody. Gdy to zrobiłam, odeszłam - zeznała.

- Gdybym wiedział, że urodziła dziecko, przyszedłbym jej z pomocą i zawarłbym z nią związek małżeński - oświadczył przed sądem Edward R. Gdyby wiedział...

Wyrok zapadł tego samego dnia. Helena G. została skazana na 8 lat więzienia. Od wyroku się odwołała, wnioskując o niższy wymiar kary. Podnosiła, że jest bardzo młoda, że po urodzeniu dziecka została sama, a ojciec dziecka się nim nie interesował. Że miała ciężkie warunki bytowe.

24 września 1959 roku Sąd Najwyższy utrzymał wyrok koszalińskiego sądu w mocy. „Oskarżona nie była sama, a warunki jej rodzinne i bytowe nie były tak opłakane, jak twierdzi rewizja” - czytamy w uzasadnieniu decyzji. „Oskarżona ma rodziców, którzy - wnosząc bodaj z pisma nadesłanego do sądu - podaliby rękę swej córce, a też niewątpliwie uczyniłby to ojciec dziecka. Oskarżona nawet mu jednak nie mówiła, że jest w ciąży, a po urodzeniu dziecka też milczała. Dopiero po utopieniu dziecka oznajmiła Edwardowi R., że porodziła dziecko, które zmarło. Oskarżona nie zwróciła się o pomoc ani do rodziców, ani do ojca dziecka, a mogła też je ulokować w Państwowym Domu Dziecka, co nie sprawia żadnych trudności. Jednak chciała uwolnić się od ciężaru przez dokonanie zbrodni. W tych warunkach kara wymierzona oskarżonej jest łagodna, zbliżona do ustawowego minimum zagrożenia (5 lat) (...)”.

W czerwcu 1965 roku Helena G., po odsiedzeniu ponad 2/3 orzeczonej kary, warunkowo została zwolniona z więzienia. Za kratami zdobyła zawód fryzjerki. Wyróżniała się dobrymi wynikami w pracy, co utwierdziło sąd w decyzji o zwolnieniu, wyznaczając jej niemal 1,5 roku próby. Czy spotkała się jeszcze z Edwardem? Tego już nie wiemy...

CHCIAŁ ZABIĆ
MATKĘ,
ZABIŁ
DZIECKO

20-letni Joachim K. uznał, że dla niego jeszcze nie czas na ojcowskie obowiązki. Kiedy jednak Herta nie zgodziła się usunąć ciąży, zaplanował zbrodnię. I był przekonany, że zabił.

Grażczyn to niewielka wieś w gminie Szczecinek. Niewielka, ale dość popularna.

W Grażczynie został nagrany film pt. „Jest sprawa” w reżyserii Olafa Lubaszenki. W 2000 roku nakręcono tam także „Skarb sekretarza” - serial komediowy. Tyle współcześnie, zaś ponad pół wieku temu o wsi było głośno z innego powodu. W 1957 roku mieszkańcami małej osady wstrząsnęło okrucieństwo młodego Niemca. 20-letni Joachim K. uznał, że sposobem na rozwiązanie sprawy, którą uznał za swój wielki problem, będzie morderstwo. I wtedy jego problemy dopiero się zaczęły...

Około 40 metrów od głównej drogi stał budynek. Mieszkały w nim trzy rodziny. Wśród nich Herta B. wraz z synem Gotfriedem. Milicjanci, którzy pojechali na oględziny miejsca przestępstwa, od razu zauważyli ślady krwi na klamce drzwi wejściowych. Krew na betonowej podłodze ganku, w kuchni, w sypialni. Narzędzia zbrodni milicjanci nie szukali. Wiedzieli już, że sprawca zabrał je ze sobą.

Noc z 17 na 18 października 1957 roku. Około godz. 2.30 na posterunek milicji w Wierzchowie zgłosił się Władysław B., mieszkaniec PGR Gronowo. Zaalarmował, że jego sąsiadka Herta została bmtalnie pobita, ciężko ranny jest też jej 7-letni syn i oboje potrzebują natychmiastowej pomocy lekarskiej. Powiedział też, że sprawcą jest Joachim K. Pół godziny później 39-letnią kobietę i jej syna pogotowie zabrało do szpitala w Szczecinku.

- Około godziny 1 w nocy zostałem obudzony przez Hertę - zeznawał później Władysław B. Sąsiadka stukała do jego okna. - Obudziłem się i zobaczyłem kobietę całą we krwi. Zapytałem się, kto to zrobił, a ona powiedziała, że Joachim.

Sąsiad szybko się ubrał, wpuścił kobietę i pobiegł do jej mieszkania, gdzie znalazł 7-latkę, leżącego na łóżku w kałuży krwi.



Joachim K. został zatrzymany 18 października 1957 roku. 20-latek, Niemiec, ukończone 2 klasy niemieckiej szkoły, pracował w PGR Gronowo jako robotnik fizyczny. Już podczas pierwszego przesłuchania przyznał się, że kilkanaście godzin wcześniej - zacytujmy: „młotkiem dokonałem kilkakrotnych uderzeń wymienionej Hercie i jej synowi”. I rozpoczął zawiłe, mało wiarygodne wyjaśnienia.

- 17 października o godz. 18 wróciłem z pracy do domu. O godz. 19 udałem się do miejscowego sklepu, a następnie do krawca, u którego byłem do godz. 20. Następnie udałem się do domu i wypłem 200 gramów wódki. Sam. Po godz. 21 udałem się do obywatelki imieniem Herta. Zapukałem w okno, na co ona mi otworzyła. Z miejsca zaczęła mnie łapać za szyję, wołając od „kochanych”. Chciała, abym ja na niej dokonał stosunku płciowego, jednak ja nie zgodziłem się na to. Tak przez chwilę czasu się do siebie nie odzywaliśmy, siedząc na kanapie – opowiadał. 20-latek twierdził, że o 19 lat starsza przyjaciółka znów zaczęła go, jak to ujął „oblapywać” i wreszcie dał się namówić na figle.

Po wszystkim chciał wrócić do siebie, na co Herta miała się nie zgodzić. - Zaczęła mnie wyzywać, oświadczając przy tym, że jest już ze mną w ciąży. Zaczęła się między nami sprzeczka - relacjonował Joachim. Według jego opisu zdarzeń najpierw pchnął Hertę na łóżko i próbował wyjść. Ona jednak go zatrzymała, więc uderzył ją pięścią. Zaczęła krzyczeć, a on łaskawie ją ostrzegł, że jeśli dalej będzie krzyczała, on ją będzie nadal bił. - Jednak to nie skutkowało. Doszedłem do nerwów i posiadany młotkiem uderzyłem obywatelkę Hertę po głowie i innych częściach ciała. W czasie tego zajścia zerwał się z łóżka jej syn. Jemu też dałem parę uderzeń tak, że oboje leżeli na podłodze. Korzystając z okazji wyszedłem z domu - opisał i dodał: - Młotek często brałem ze sobą, kiedy wychodziłem na wieś. To dla własnej obrony.

Tyle podejrzany. Nie powiedział, że był przekonany, że zabił. Mętnie tłumaczył, że była awantura i że nerwy mu puściły. Prawdziwe jego motywy wyszły jednak na jaw bardzo szybko. Dzięki szybkiej i sprawnej interwencji lekarzy ze szczecineckiego szpitala udało się uratować 39-letnią Hertę i jej 7-letniego syna. Gotfried miał wieloodłamowe złamanie czaszki. Wgniecenia odłamów sięgały pół centymetra w kierunku opony twardej. Chłopiec był dzielny. Po zabiegu „skarg nie zgłaszał” - można wyczytać w jego karcie choroby. A kiedy lepiej się poczuł, dzielnie złożył też zeznania.

- Ja spałem w swoim łóżku. Obudziłem się dopiero, kiedy mamusia krzyczała. Widziałem, jak Joachim bił moją mamusię młotkiem po głowie. Parę razy uderzył. Ja wtedy zacząłem krzyczeć i wstałem z łóżka, na co Joachim uderzył młotkiem mnie parę razy. Następnie poszedł. Kiedy bił mnie po głowie lała mi się krew i bolała mnie głowa - opisał mały Gotfried.

Herta B. na oddział szpitala w Szczecinku trafiła w stanie ciężkim z ośmioma ranami głowy. Z niewyczuwalnym tętnem. Kołtun sklejonych krwią włosów lekarze musieli ścinać. Przetoczyli kobiecie krew, zajęli się ranami. Jednak za chwilę musieli wzywać położną - 39-latce odeszły wody i zaczęła rodzić. Akcja porodowa trwała tylko 20 minut. Urodziła 2,1-kilogramową dziewczynkę. Martwą. To był 8. miesiąc ciąży.

- Kiedy powiedziałam Joachimowi, że jestem w ciąży, najpierw nie mógł słowem przemówić, a potem zaczął mówić, że bym nie wspominała o tym nikomu - to początek zeznań Herty. O ciąży powiedziała młodszemu kochankowi kilka miesięcy wcześniej. - Pytał mnie, czyja nie chcę się poddać zabiegowi usunięcia ciąży. Nie zgodziłam się. Dziecko miało się urodzić w listopadzie. Poprosiłam, by

dał mi pieniądze, bym mogła przyszykować dla noworodka pieluszki. Obiecał mi 200 złotych - tłumaczyła.

W nocy z 17 na 18 października, według zeznań Herty, żadnej kłótni nie było. - W ogóle nigdy się nie kłóciliśmy - opowiadała, a spotykała się z młodym mężczyzną od ponad roku. Zaprzeczyła też, by tego dnia doszło do jakichkolwiek aktów miłosnych. - Siedzieliśmy oboje na kanapie. I nagle poczułam silne uderzenia twardym narzędziem w głowę. Zaczęłam krzyczeć, a on nie przestawał mnie bić. Złapał ręką za gardło i bił w głowę. Straciłam przytomność - zakończyła swoją relację.

Joachim K. stanowczo zaprzeczał, jakoby chciał zabić. A taki właśnie zarzut został sformułowany w akcie oskarżenia z 20 grudnia 1957 roku. „W kwietniu K. dowiedział się od Herty B., że jest ona w drugim miesiącu ciąży, której sprawcą jest on. Wiadomość ta niemile go zaskoczyła. Po ochłonięciu zalecił kategorycznie Hercie, by nikomu nie mówiła o tym, że jest w stanie odmiennym, a on ze swej strony postara się jej pomóc materialnie. Któregoś dnia zaproponował Hercie dokonanie przez lekarza zabiegu usunięcia ciąży, na co Herta jednak nie wyraziła zgody” - referendarz śledczy ze szczegółami opisał motywy oskarżonego. „K. zachodził kilkakrotnie do mieszkania Herty, a ilekroć przyszedł, tyle razy upewniał się, czy nie mówiła komuś, że jest w ciąży”.

Oskarżyciel zwrócił uwagę na fakt, że dla dodania sobie odwagi Joachim K. wypił wódkę, po którą nigdy nie sięgał. Potem zabrał żelazny młotek z drewnianym trzonkiem i poszedł do 39-latki. Kiedy zauważyła ona trzonek młotka wystający z jego marynarki, by uspić jej czujność, powiedział, że jest to kij do popędzania cieląt i jałówek. Podczas rozmowy, siedząc obok Herty na kanapie, zniemacka zadał jej cios w głowę. Potem siedem kolejnych. Małego Gotfrieda obudził krzyk matki. Zobaczył, jak Joachim trzyma kobietę za gardło i zadaje ciosy. Kolejne wymierzył płaczącemu 7-latkowi. „K. w przekonaniu, że oboje zostali zabici, wyszedł z mieszkania”.

Prokurator nie dawał wiary Joachimowi, który przyznawał się tylko do pobicia, nie do próby zabójstwa oraz jego tłumaczeniom, że zaczął bić kobietę, bo ta zmuszała go do seksu.

Joachim K. stanął przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie 7 lutego 1958 roku. Tym razem do winy się przyznał i częściowo zmienił zeznania. Wyjaśnił, że o ciąży dowiedział się właśnie 17 października wieczorem. Po tej informacji Herta miała zażądać pieniędzy na wyprawkę i między nimi miało dojść do awantury. - Chciałem iść do

domu, ona nie chciała mnie puścić. Zaczęła się sprzeczka, wówczas w nerwach uderzyłem, ją kilka razy młotkiem. Nadbiegł jej synek. Również uderzyłem go. To dlatego, że byłem bardzo nerwowo - oświadczył Joachim K.

Herta zaś dokładnie powtórzyła sędziom swoje poprzednie zeznania. Dopytywana podała też kilka szczegółów - owszem, dostała od Joachima raz 20 złotych. Ale nie były to pieniądze na wyprawkę dla dziecka, a... zapłata za pomoc przy kopaniu ziemniaków. Tak przyszył tatuś poczuwał się do odpowiedzialności.

7 lutego, po naradzie, zapadł wyrok. Za usiłowanie zabójstwa Herty B. i Gotfrieda Joachim K. usłyszał kolejno 10 i 10 lat więzienia. Sąd wymierzył mu łączną karę 15 lat za kratami.

- Fakt, że oskarżony przed pójściem do Herty wypił 200 gramów wódki oraz zabrał ze sobą młotek, że uprzednio kazał jej spędzić płód, jak również obawiał się, żeby nikt nie dowiedział się iż to on jest sprawcą ciąży świadczy dobitnie o tym, że oskarżony działał z zamiarem dokonania zabójstwa Herty B. - podkreślił w uzasadnieniu sędzia przewodniczący.

Początkowo pobicie 7-latka prokuratura kwalifikowała jako spowodowanie ciężkich, zagrażających życiu uszkodzeń ciała. Sędzia zmienił kwalifikację czynu na surowszą, zarzucając Joachimowi, że dziecko również próbował zabić - żeby pozbyć się świadka.

Sąd dopatrzył się okoliczności łagodzących w postaci młodego wieku i tego, że wreszcie na sali rozpraw 20-latek przyznał się do próby popełnienia zbrodni.

Joachim K. od wyroku się odwołał. Na czym polegała rewizja? Ano na... zwiększeniu siły argumentów. A dokładniej na dopisaniu kolejnego - że oskarżony 20-latek wcale nie chciał zabić, bo gdyby chciał - i tu dochodzimy do sedna - to biłby bezbronnych i zdanych na jego łaskę pokrzywdzonych aż do zrealizowania tego zamierzenia, a nie opuszczały ich mieszkania, gdy byli nieprzytomni.

1 kwietnia 1958 roku Sąd Najwyższy w Warszawie utrzymał zaskarżony wyrok w mocy. „Kwalifikacja czynów oskarżonego, przyjęta przez Sąd Wojewódzki, jest prawidłowa, a kara wymierzona słuszna i celowa” - uzasadnił przewodniczący składu orzekającego sędzia Dźbikowski.

W 1967 roku, po odsiedzeniu 10 lat, 30-letni już Joachim K. został warunkowo zwolniony z więzienia. Przez lata za kratami opuścił jeden dzień pracy. Skończył szkołę podstawową i zawodówkę, zdobywając

zawód ślusarza. Zakład karny w Sieradzu opuścił 27 grudnia.

MORDERCA Z DŁUGIM JEZYKIEM

Przez pół roku przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości nie mogli dotrzeć do zabójcy gajowego. Zuchwały Polikarp W. był przekonany, że nigdy nie odpowie za swą zbrodnię, ale... wygadał się żonie.

Wieś Krosino. Dziś, żeby dojechać do tej półtysięcznej osady, trzeba z krajowej „szóstki” skręcić w drogę 162 na Świdwin. 65 lat temu Krosino znajdowało się w powiecie białogardzkim. Dziś leży już w granicy powiatu świdwińskiego.

Dlaczego interesuje nas Krosino dokładnie 65 lat temu? Bowiem w roku 1951 doszło tu do zbrodni, która przez ponad sześć miesięcy owiana była woalem tajemnicy. Tyle trwało poszukiwanie sprawcy. Mieszkańcy zachodzili w głowę, kim on jest, milicjanci szukali najdrobniejszych śladów, które mogłyby go wskazać. Bezskutecznie. Aż w końcu przestępca sam się „wysypał”.

Rankiem 30 grudnia 1951 roku Kazimierz O. jechał rowerem ze Świdwina do Krosina. Nawet zimą dla wielu osób rower pozostawał jedynym dostępnym środkiem transportu. Na polnej drodze, prowadzącej do lasu, około kilometra od wsi, zobaczył leżącego człowieka. Podjechał. W zakrwawionej twarzy rozpoznał gajowego. Cóż mógł zrobić - zostawił zwłoki i najszybciej, jak tylko mógł, pojechał do domu. Opowiedział o wszystkim swej żonie Apolonii, która poinformowała o tym jedną z najważniejszych we wsi osób - Czesława K., kierownika PGR Krosino, prosząc, by powiadomił milicję. - Około godz. 11 Apolonia przybyła do mnie do biura, w którym wypłacałem miesięczne pobory pracownikom i oświadczyła, że gajowy z gromady Krosino leży zabity na polnej drodze, o czym powiedział jej mąż - Czesław K. jako pierwszy składał zeznania. - W pierwszej chwili... nie uwierzyłem. Udałem się do Kazimierza, który potwierdził, że gajowy D. leży zabity około 100 metrów od szosy. Będąc już pewnym tego faktu natychmiast zawiadomiłem telefonicznie posterunek MO Nielep.



Ale bycie szefem PGR-u najwyraźniej Czesława K. obligowało do czynów większych, więc po tym, jak zaalarmował posterunkowych w Nielepie, osobiście, w asyście dwóch robotników PGR-u, udał się na miejsce znalezienia ciała. - Na miejscu zastałem członka ORMO z Krosina, któremu poleciłem zabezpieczyć miejsce wypadku do czasu przybycia milicjantów - ot, obywatelska postawa!

Mundurowi z komendy powiatowej w Białogardzie na leśną polanę

przybyli około godz. 17. „W odległości 9 metrów od ciała w kierunku lasu leży klocek drzewa długości 60 cm i średnicy 20 cm” - milicjanci, co szczegółowo opisali w protokole, zlokalizowali narzędzie zbrodni. „Jeszcze dalej, w odległości 7 m od drewna, leży czapka denata, zgnieciona, zawałona ziemią, jak gdyby przejechało po niej koło wozu. 2 metry od zwłok w kierunku czapki leży kłębek siwych włosów denata”.

Zamordowanym był 64-letni Andrzej D., miejscowy leśniczy. Oględziny lekarza zakończyły się długą listą uszkodzeń ciała - zmiażdżona kość czaszki w okolicy prawej skroni, wielokrotne złamanie szczęki, brak prawej gałki ocznej, rany w okolicy czołowo-skroniowej prawej, oderwane lewe ucho. Według lekarza przyczyną śmierci był silny cios w głowę ciężkim i twardym przedmiotem, co spowodowało uszkodzenie mózgu i krwotok.

Jeszcze w dniu odnalezienia zwłok w aktach sprawy wyraźnie zarysował się kierunek, w którym zmierzało śledztwo. Na czerwono podkreślone są zeznania Michała K., zięcia leśniczego. - Teść mój niejednokrotnie mówił, że ludzie przyjeżdżają do lasu i kradną mu drzewo. Ostatnio mówił mi o tym przed świętami. 29 grudnia wyszedł z domu około godz. 7 i miał udać się do lasu koło Nielepu do robotników, którzy tam las wycinali. Dnia tego nie powrócił. I przez noc. Uważam, że teść mój, jak już dawniej planował, przyłapał tego, co mu kradnie drzewo. I gdy miał już sprawcę, ten go zabił - podejrzewał Michał K. Zaznaczył też, że na drodze wyraźnie widać ślady wozu, którym zapewne odjechał morderca.

Dwie furmanki z drewnem widział Stanisław D., pracownik PKP, który 29 grudnia od rana miał służbę na przejeździe kolejowym linii Świdwin - Połczyn. Ale nie znał mężczyzn, którzy je prowadzili.

Najpierw podejrzenia śledczych padły na Adolfa S., który pracował przy wycince drzew. Potem zarzuty usłyszał jego brat - Edward S. Obaj do winy się nie przyznali, a milicjanci nie mieli żadnych dowodów. Owszem, sołtys wspomniał, że leśniczy narzekał na braci S., którzy mieli mu kraść drzewo. Ale akurat tego dnia z lasu wywozili gałęzie, na co mieli pozwolenie. Ktoś we wsi pamiętał, że dokładnie przed rokiem nieznanymi sprawcami zastrzelili Edwardowi S. psa, a ten podejrzewał, że to leśniczy i powiedział mu „będziesz zabity, jak ten pies”.

Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Kolejne przesłuchania nie wносиły do sprawy nic nowego, część mieszkańców - wzorem sołtysa - wydała własne wyroki, część do sprawy wołała się nie mieszać, a część

nie wierzyła, że w tym przypadku sprawiedliwości stanie się zadość.

Przełom nastąpił po pół roku. 19 czerwca 1952 roku do punktu ewidencji ludności w Świdwinie zgłosiła się Julia W. Zrozpaczona i przerażona kobieta postanowiła wreszcie szukać pomocy. Płacząc oświadczyła, że mąż Polikarp się nad nią znęca, że chciał ją udusić. I powiedział, że zabije ją jak gajowego i nikt tego nie będzie wiedział.

28-letni Polikarp W., mieszkaniec Świdwina, jeszcze tego samego dnia został przesłuchany. Do zabójstwa 64-letniego leśniczego od razu się przyznał. - Nie miałem czym palić. Pojechałem pod Krosino do lasu po drzewo. Nabrałem raptem dziewięć kawałków. Z drewnem jechałem polną drogą w kierunku szosy z Krosina do Świdwina. Na środku drogi wskoczył mi na wóz i chwycił za lejce, a mnie zepchnął z wozu. Jak spadałem, to spadła też szczapa drzewa - wyjaśniał. Według jego relacji „napastnik” - czyli leśniczy - szybko poganiał konia, nabierając prędkości. — Wówczas uchwyciłem szczapę i uderzyłem dwa razy po głowie. Leśniczy wpadł na przód wozu - opowiadał. W ich szamotaninie Andrzej D. miał wplątać się w lejce, spaść z wozu, a Polikarp przejechał po nim. 28-latek pojechał do domu, drewno ukrył w chlewiku, a potem spalił.

Milicjanci przygotowali „charakterystykę” Polikarpa W. Miał on pracować w Państwowym Liceum Pedagogicznym w Świdwinie jako palacz. „(...) ze swej pracy nie wywiązywał się, nie przychodził do pracy z uwagi na to, że często się upijał i nie był zdolny do pracy” - tak zakończyła się próba uczciwego zarobienia na opał do domu. Młody mężczyzna nie cieszył się dobrą opinią, a to przez awantury, które urządzał i regularne pobicia żony, o których ona alarmowała milicjantów.

20 czerwca 1952 roku Polikarp mówił o zbrodni bardziej szczegółowo. Uderzył leśniczego nie dwa razy, a „zadał szereg ran”; załadował nie dziewięć kawałków drewna, a kilkanaście szczap. A kiedy poprawiał jedną z nich, miał zostać zepchnięty z wozu. I dalej wersja pozostaje podobna - było ciemno, nie rozpoznał w leśniczym leśniczego, widział tylko, że jakiś mężczyzna wsiał na jego wóz i popędza konia, wskoczył na tył wozu i szczapą wymierzył ciosy. Mężczyzna spadł z wozu. Polikarp przejechał po nim zarówno przednim, jak i tylnym kołem.

Sędziowie Bończyk i Słonina pochyłili się nad sprawą w Sądzie

Wojewódzkim w Koszalinie 13 października. Polikarp W. raz jeszcze przyznał się do winy, a prokurator zawnioskował dla niego o karę 15

lat za kratami. - Zdaję się na łaskę sądu - powiedział oskarżony w ostatnim słowie.

14 listopada zapadł wyrok. Sąd przychylił się do wniosku oskarżyciela - Polikarp W. za zabójstwo leśniczego Andrzeja D. usłyszał 15 lat. Od wymiaru kary się odwołał, zaznaczając, że po pierwsze był przekonany, że broni własnego mienia, bo ukradzione to już własne, po drugie, że był przekonany, iż jest ofiarą rozboju, po trzecie, że tak naprawdę to koń kopytem zabił leśniczego, powodując u niego tak rozległe urazy głowy.

24 stycznia Sąd Najwyższy w Warszawie uznał, że zarzuty rewizji są bezzasadne i utrzymał zaskarżony wyrok w mocy, ale jednocześnie... na mocy art. 4 Ustawy o amnestii z 22 listopada 1952 roku złagodził wymierzoną karę o jedną trzecią, czyli do 10 lat więzienia.

We wrześniu 1962 roku Polikarp W. został warunkowo zwolniony z odsiadki. Był więźniem wyróżniającym się, sumiennie pracował, stąd taka decyzja. I zdawać by się mogło, że w aktach Polikarpa W. wymiar sprawiedliwości mógłby postawić wielką pieczęć „zresocjalizowany”. Niestety, w 1969 roku do koszalińskiego Sądu Wojewódzkiego wpłynęło pismo ze Szpitala Psychiatrii Sądowej w Grodzisku Mazowieckim z prośbą o akta Polikarpa, gdyż zarządzone zostało badanie sądowo-psychiatryczne do toczącej się sprawy i dokumenty byłyby pomocne w wydaniu orzeczenia. Jakiego? O tym lekarze już nie poinformowali...

CZTERY KULE DLA MĘŻA

15 czerwca 1966 roku. 38-letnia Sabina B., strażniczka w Państwowym Przedsiębiorstwie Połowów i Usług Rybackich „Barka” w Kołobrzegu, oświadcza prokuratorowi: - Stałam na środku pokoju i mierząc w kierunku męża strzeliłam pięciokrotnie.

Cztery z tych strzałów były celne. Co skłoniło spokojną kobietę, matkę 14-letniego Zenka, do popełnienia zbrodni zabójstwa?

Oto historia, w której jest więcej niż jedna ofiara.

- Z mężem Antonim poznałam się w roku 1956 - tak rozpoczęła swoje zeznania przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie Sabina B. -W narzeczeństwie byliśmy ze sobą przez okres trzech lat. Równocześnie, kiedy przychodził do mnie mój mąż, jako jeszcze narzeczony, przychodził do mnie także pewien starszy mężczyzna. Jednakże Antoni odsunął go i powiedział, że on był pierwszy i on będzie do mnie chodził. Mówiłam Antoniemu, aby się nad tym zastanowił, bo ja jestem od niego o siedem lat starsza. Ponadto powiedziałam mu, że ja chcę mężczyzny, który będzie dla mnie dobry i dobry jako ojciec dla mojego syna. Antoniego polubiłam, bo był człowiekiem czystym i lubił porządek, potrafił mnie ująć, powiedzieć dobre słowo - opisywała.

Sielankę wkrótce jednak popsuł Antoni - w konkury zaczął stawać po pijaku. Usłyszał wtedy od Sabiny, że takiego towarzysza w życiu mieć ona nie chce. Poprawił się. W 1962 roku pobrali się. Ale... - W dniu ślubu Antoni potrafił się upić i odgrażać. Chciał mnie uderzyć - podkreśliła oskarżona.

Początkowo jej mąż pracował jako betoniarz i dekarz, później zatrudnił się na kolei, w parowozowni. - Zdradzał mnie. Donosili mi o tym ludzie. Sam też się przyznał - tłumaczyła sędziom, wskazując, że jedną z kochanek mogła nawet być jej bratowa. - Zaczął mnie bić, wyzywać. Ubliżał mi słowami „stara ku...”, „przez okno cię wyrzucę” lub „kalekę z ciebie zrobię, że cię rodzony ojciec nie pozna”. Odgrażał się użyciem noża.

Słowa te znajdują potwierdzenie w dokumentach. 5 stycznia 1966 roku Antoni B. został oskarżony o to, że od 1962 do 1965 roku znęcał się „fizycznie i moralnie nad swoją żoną Sabina, bijąc ją rękoma po głowie, kopiąc i wyzywając obelżywymi słowami”. W uzasadnieniu podprokurator powiatowy powołał się na zeznania sąsiadów, którzy widzieli, jak Antoni wypychał żonę z mieszkania, kopał ją na klatce schodowej. „Sabina B. często chodziła zapłakana i posiniaczona, wieczorami przesiadywała u sąsiadki, bojąc się wracać do domu” - dowodził. 11 lutego 1966 roku Sąd Powiatowy w Kołobrzegu skazał agresora na 8 miesięcy więzienia, warunkowo zawieszając jednak wykonanie kary na okres trzech lat próby.

Gehenna kobiety trwała. Wniosła pozew o rozwód. - Powiedział mi ordynarnie, że „pierd... mnie i mój wniosek” - oskarżona kontynuowała przed sądem swą opowieść.

Potem przeproszał. Uległa. „Kochałam go” - powtórzyła kilka razy.

13 czerwca były jego imieniny. Sabina kupiła mu... kwiaty i prezent.

14 czerwca rankiem, kilkanaście godzin przed tragedią, Antoni powiedział żonie, że musi iść do kierownika BHP załatwić sprawę - ten miał go widzieć w imieninową noc, kiedy miał dyżur, pijanego w pracy. Wyszedł na chwilę, ale nie było go przez cały dzień. - Ja poszłam do pracy o godz. 19. W domu pozostał mój syn - relacjonowała 38-latka. Od godz. 21 do 22 miała przerwę. Wsiadła na rower i przyjechała do domu. Zobaczyła, że mąż wrócił. Leżał na kanapie. - Chciałam się nachylić i sprawdzić, czy jest pijany. Wówczas uderzył mnie pięścią w głowę i kopnął aż upadłam. Poszłam do kuchni. Mówiłam, że znowu zaczął mnie bić. Wstał z łóżka, przybiegł za mną i uderzył mnie ponownie w twarz. Miałam zasiniaczony nos i oko zaczerwienione. Przyłożyłam zimny okład. Powiedziałam mężowi, by wynosił się z mieszkania, bo jutro podam go do prokuratora.

Sabina B. wróciła do pracy. Z wartowni „Barki” zabrała służbową broń - pistolet z 1947 roku. Wyjęła go z kabury i włożyła do kieszeni. W magazynku było osiem kul. - Gdybym się nad tym zastanowiła, to tego bym nie zrobiła - tłumaczyła później. Wartownikowi powiedziała, że idzie do Domu Rybaka po papierosy. Wsiadła jednak na rower i pojechała do domu. Najpierw udała się do piwnicy. Tam załadowała pistolet.



Weszła do mieszkania. Już nie odezwała się do Antoniego ani słowem. Podeszła do łóżka, w którym leżał. Wycelowała. Cztery kule trafiły w 31-latka, jedna w poduszkę. Synowi, który wtedy się obudził, poleciła zostać w domu. Sama wróciła do pracy i dowódcy warty kazała zawiadomić milicję.

- Przyszła bardzo zmieszana i zdenerwowana. Powiedziała „zastrzeliłam chłopca, dzwońcie na milicję”. Kiedy się zapytałem, czy nie

żartuje, odpowiedziała, że faktycznie zastrzeliła męża i w tym momencie wyciągnęła pistolet, który położyła na stół wartowni - zeznał Władysław D., strażnik w „Barce”.

Jeszcze tego samego wieczora, 14 czerwca 1966 roku, przed godz. 23 zeznania złożył 14-letni Zenek, syn Sabiny. - Po wyjściu mamusi do pracy poszedłem do kolegi Janusza, by obejrzeć program telewizyjny - relacjonował. - Po filmie grałem jeszcze pół godziny w piłkę. Następnie wróciłem do domu. Która to była godzina, trudno mi powiedzieć, ponieważ jedyny zegarek, jaki mamy, zabrała mamusia. Ojciec spał na tapczanie po lewej stronie pokoju. Po prawej stronie stoi moje łóżko.

Chłopiec położył się spać. Obudził go huk wystrzału. Zobaczył mamę ubraną w mundur strażnika z pistoletem wycelowanym w ojca.

- Wykonywał ruchy w prawo i lewo, jakby chciał uniknąć trafień. Po pierwszym strzale nastąpiły zaraz dalsze. W sumie cztery lub pięć - opisał.

Potwierdził, że mama kazała mu być cicho i wyszła. - Zapaliłem światło. Zobaczyłem, że obok głowy tatusia na poduszce widnieją ślady krwi. Jeszcze żył, wydawał jakieś dźwięki. Wybiegłem na korytarz, gdzie już spotkałem naszych sąsiadów. Przypuszczam, że mamusia dlatego zabiła tatusia, ponieważ on przychodził czasami do domu pijany, a wtedy bił mamusię.

Na miejscu przestępstwa milicjanci znaleźli pięć łusek amunicji kaliber 7,62, używanej między innymi do pistoletów PW wz. 33.

Akt oskarżenia w tej sprawie datowany jest na 5 grudnia 1966 roku. Sabina B. została oskarżona o to, że 14 czerwca w zamiarze pozbawienia swojego męża życia strzeliła do niego pięciokrotnie, trafiając go czterema pociskami w okolicę serca, twarzy, szyję i prawą rękę, powodując przetrzała lewego płuca z otarciem się pocisku o serce, krwotok do jamy opłucnowej i inne obrażenia, a w następstwie śmierć Antoniego B.

12 stycznia 1967 roku podczas rozprawy w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie oskarżyciel zażądał dla Sabiny B. 12 lat więzienia. Dzień później zapadł wyrok - przewodniczący składu sędzieja Józef Woźniczak powiedział „winna”, wprowadzając jednak zastrzeżenie, że oskarżona działała pod wpływem silnego wzburzenia. Sąd skazał ją na 8 lat więzienia.

Uzasadnienie wyroku jest długie i bardzo skrupulatne. Sędzia zwrócił m.in. uwagę na opinię o obu małżonkach: „Część świadków lepszą opinię wystawiło dla Antoniego niż dla oskarżonej, druga część

świadków

lepiej wyrażała się o oskarżonej. Oczywiście, prawda w tym przypadku leży gdzieś pośrodku. Świadkowie, wystawiający lepszą opinię dla Antoniego, to przeważnie jego koledzy i koleżanki od kieliszka, do których towarzystwa jakoś nie pasowała Sabina.”

Na czynniki pierwsze rozłożona jest też małżeńska relacja: „Sama oskarżona kochała swojego męża, ale miłością nazbyt zaborczą. Była szczególnie o niego zazdrosna i stąd ciągłe konflikty, kiedy mąż jej gdzieś sobie wypił albo później wrócił do domu”.

Sędzia nie miał wątpliwości - 14 czerwca Antoni „używając wybiegu, że musi rzekomo stawić się w biurze, wymknął się z mieszkania na wódkę” - co potwierdziły zeznania świadków. „Do domu wrócił, kiedy spodziewał się, że żona będzie już w pracy”. A kiedy żona niespodziewanie wróciła: „wątpić należy, ażeby zastawszy męża pod pierzyną na tapczanie była wobec niego nazbyt grzeczna. W efekcie została przez męża pobita” - rozwinął się sędzia. „U rozgoryczonej zachowaniem męża oskarżonej procesy emocjonalne zyskały przewagę nad rozumem i oskarżona subiektywnie przekonana o dziejącej się jej krzywdzie uczyniła to, czego w normalnych warunkach by się nie dopuściła”.

Od wyroku odwołał się obrońca Sabiny B. 8 czerwca 1967 roku Sąd Najwyższy w Warszawie zmienił zaskarżony wyrok, zmniejszając karę do 6 lat więzienia. Uwzględnił jako dodatkową okoliczność łagodzącą fakt, że mąż znęcał się nad żoną, za co został wcześniej prawomocnym wyrokiem skazany. „Sąd Wojewódzki, pomimo dokonania powyższych ustaleń faktycznych, nie uwzględnił tych okoliczności w dostatecznej mierze przy wymiarze kary (...) właśnie to zachowanie się pokrzywdzonego było powodem działania oskarżonej (...)” - czytamy w uzasadnieniu.

NIE MYŚL, ŻE
BĘDZIESZ
DZIS
ZYŁA

Ciężarną żonę chciał napić kwasem solnym. Ostatecznie wypił go sam. A wcześniej matce swych ośmiorga dzieci zadał ciosy bagnetem. Dlaczego? Wpadł w szal, kiedy zobaczył milicjantów.

Podczas przesłuchań oskarżeni przedstawiają przeróżne motywy swych działań. Czasem próbują w prokuratorze czy sędziach wzbudzić litość, czasem kreują się na ofiary, najczęściej umniejszając swej roli w przestępstwie. Niezależnie, czy doszło do niego 60 lat temu czy wczoraj. Tak było i w tym przypadku.

Osówka. Dziś wieś, leżąca w północnej części województwa wielkopolskiego, w powiecie złotowskim, liczy około 200 mieszkańców. W maju 1960 roku wszyscy mówili o tym, co stało się w domu małżeństwa S., właścicieli 5,5-hektarowego gospodarstwa, jednego konia, jednej owcy, trzech kur i dwóch świń. Świadków dramatycznych scen, które się tam rozegrały, było wielu. Nikt nie potrafił zrozumieć jednak, dlaczego do nich doszło. A sprawca tego nie umożliwił. Swój finał sprawa znalazła w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie, a dla Jana S. za kratami.

24 maja 1960 roku. Około godz. 14 Katarzyna R. pędziła w pole swoje krowy. - Zauważyłam szybko biegnącą żonę Jana S. W odległości 10 metrów jechał rowerem Jan. Gdy dopędził żonę, złapał ją za włosy, powalił na ziemię i kopał po całym ciele. Zauważyłam, że raz kopnął ją w brodę, na skutek czego krwawiła z ust. Widząc to poprosiłam Jana S., by zaprzestał bić żonę, jednak to nie odnosiło żadnego skutku. W czasie bicia mówił do niej: „ja ci dam meldować na posterunek!”. Żona S. głośno krzyczała „ratunku!”, co posłyszeli sąsiedzi - Piotr, Józef i jego syn Michał wyszli na ulicę - 58-letnia mieszkanka Osówki opisywała kolejne minuty zajścia, którego była naocznym świadkiem. Widziała, jak Jan S. obnażył żonę, zrywając jej spódnice i włókł ją po bruku do domu. Kobieta w te pędy pognęła do sołtysa gromady, Józefa S., by zaalarmował milicjantów.

Wieść o mężu tyranie z prędkością błyskawicy rozeszła się po wiosce. 36-letnia gospodyni domowa Genowefa C. o dramacie sąsiadki dowiedziała się od 10-letniej córki. - Wraz z matką udałam się do zabudowań Anny i Jana S. Było tam już kilka osób, przeważnie sąsiedzi. Drzwi do mieszkania były zamknięte. Uchyliłam je, a w tym czasie Jan S. wybiegł z mieszkania na podwórko, trzymając w ręku bagnet skierowany w moją stronę. Na podwórku do drugiej ręki wziął motykę i atakował sąsiadów. Motyką rzucił w moją matkę i uderzył ją silnie w rękę. Gdy odpędził nas z podwórka, wszedł do mieszkania, a ja już nie patrzyłam. Poszłam do domu - zeznała.

36-letni Jan S. trafił do aresztu. Był podejrzany o usiłowanie zabójstwa żony. O czyn szczególnie drastyczny. „(...) biciem zmuszał ją do wypicia kwasu solnego, a następnie zadał jej dwa ciosy bagnetem w okolice klatki piersiowej linii przykregowej, lecz zamierzonego celu nie osiągnął (...)” - uzasadnienie postanowienia o tymczasowym aresztowaniu mrozi krew w żyłach.

Cztery dni po zdarzeniu, jak i w toku późniejszego procesu Jan S. do winy się nie przyznał. Choć nawet nie między wierszami jego zeznań, a wprost w kolejnych wersjach można znaleźć wypowiedzi, w których sam podważa swoją tezę o niewinności. - 24 maja około godz. 8 pojechałem rowerem do Złotowa po zakup artykułów spożywczych. Po dokonaniu tych czynności wypilem w sklepie spożywczym butelkę piwa jasnego. Kiedy jechałem do domu, około godz. 13, wypilem w kiosku dwie butelki piwa, z tym że jedna była o zawartości piwa jasnego, a druga portera - drobiazgowo Jan S. wspominał wydarzenia feralnego dnia. - Do domu przyjechałem po godz. 14. Zauważyłem, że żona nie przygotowała obiadu oraz że w domu nie było dzieci. Robiłem żonie wyrzuty, że nie zajmuje się dziećmi, a w szczególności starszą córką, która ma 13 lat i ostatnio robi słabe postępy w nauce.

Według relacji 36-lątka między małżonkami doszło do kłótni. - Uderzyłem żonę ręką w twarz i powiedziałem, by opuściła mieszkanie. Wybiegła z krzykiem w pole i szła drogą przez wioskę, wyzywając mnie obelżywymi słowami - byku, ch... itp. Sąsiedzi słyszeli te wyzwiska i śmiali się - niemal skarżył się prokuratorowi. Poszedł więc po żonę (choć świadkowie zgodnie potwierdzali, że pojechał za nią rowerem), jak opisał - złapał pod pachę i przyprowadził do mieszkania. - Wówczas, na skutek nerwów i uprzedniego wypicia piwa, szumiało mi w głowie, straciłem zmysł i nie wiedziałem co czynię - podkreślił.

Był jednak świadomy, że na błagalne wezwania Anny z prośbą o ratunek odpowiedzieli sąsiedzi. - Przybiegło do mieszkania kilka osób uzbrojonych w siekiery, motyki i kołki. Nie pamiętam dokładnie, która z kobiet uderzyła mnie w klatkę piersiową. Będąc jeszcze bardziej podenerwowany wziąłem bagnet, który uprzednio przyniosłem ze strychu mojego budynku i tym bagnetem wypędziłem ludzi z mieszkania. Zamknąłem drzwi - opisał Jan S.

Za tymi drzwiami rozegrały się dramatyczne sceny. Anna trzymała na rękach 14-miesięcznego synka. Krzyczała, by wezwać milicję. - Odpowiedziałem jej, że gdy przyjdą funkcjonariusze milicji, to mnie żywego nie wezmą i ją też zabiję - powiedział, tym samym pograżając

się w kwestii swoich zamiarów. - Gdy zobaczyłem przez okno, że jadą samochodem, na ich widok dostałem szoku nerwowego - to wersja 36-latka. Pamiętał, że zadał wtedy żonie cios, może dwa bagnetem w plecy. - Gdy funkcjonariusze MO dobijali się do drzwi, wówczas chciałem pozbawić się życia i wypilem około 1/8 litra kwasu solnego. Nie miałem zamiaru pozbawić życia mojej żony, a jedynie na skutek szoku nerwowego lekko ją okaleczyłem. Gdybym ją chciał zabić, mogłem to uczynić przez zadanie silnych ciosów - wyjaśniał.

Jan S. kontynuował wątek „szoku nerwowego”. Oświadczył, że w latach 1940-1945 był na robotach przymusowych w Niemczech. W 1943 roku miał tam zostać dotkliwie pobity przez SS za to, że jechał rowerem, czego Polakom nie wolno było robić w miejscowości, w której mieszkał. - Pobili mnie kolbą od karabinu po głowie, wybili mi trzy zęby. Na skutek tego pobicia mam psychiczny uraz. W szczególności, gdy zobaczę funkcjonariuszy MO - wytłumaczył. Nad „urazem”, jaki zafundował kobiecie, z którą 15 lat wcześniej się ożenił, najwyraźniej się nie zastanawiał.

Dwie rany cięte na plecach, rana na dłoni, krwiaki na ramionach, wybroczyny - dla Anny S., która była w ósmym miesiącu ciąży, „szok nerwowym” męża skończył się poważnymi obrażeniami ciała. Mąż wszczął awanturę, bo gdy wrócił z zakupów, na stole nie było jeszcze obiadu. - Chwycił mnie za włosy, kopnął w pośladek i wyrzucił na podwórze. Powiedziałam, że zawiadomię telefonicznie MO, by go zatrzymali. Wsiadł na rower i dopędziwszy mnie, złapał za ręce, powalił na ziemię i ciągnął w kierunku naszego domu. Kopnął mnie w brodę, podniósł z ziemi i popędził. Wołałam sąsiadów na pomoc, ponieważ bałam się, że mąż mnie będzie dalej bił – opisywała.



Kiedy zamknął drzwi domu przerażona kobieta zaczęła obierać ziemniaki. Jan zobaczył zbiegowisko sąsiadów, ruszył na nich z bagnetem. - Gdy wrócił, powiedział mi: „nie myśl, że będziesz dziś żyła. Dziś koniec twojego życia. Zanim przyjadą funkcjonariusze zabiję cię, a sam się otruję” - opisała kobieta. Kiedy sięgnął po bagnet, miał powiedzieć, że wbije jej go w serce. - Ja w tym czasie siedziałam na krześle i trzymałam na lewej ręce 14-miesięcznego synka.

Przestraszona położyłam dziecko na podłodze i złapałam za ostrze bagnetu. Wtedy skaleczył mnie w dłoń lewej ręki. Następnie zadał mi dwa ciosy w plecy. Upadłam na podłogę. Powiedział, że jeszcze mi kwasu solnego do ust naleje - zeznała Anna S.

Ale do mieszkania, by ratować leżącą w kałuży krwi kobietę, wchodzili już mundurowi. Wtedy Jan sam opróżnił flaszkę z kwasem. Było go na tyle mało, że nie zrobił mu większej krzywdy. W notatce służbowej milicjanta możemy znaleźć zdanie, w którym opisuje jedynie białe usta i język Jana S., jako efekt nieudolnej próby samobójstwa przez otrucie.

Zebrany materiał dowodowy upewnił oskarżycieli z Prokuratury Powiatowej w Złotowie, że Jan S. powinien stanąć pod zarzutem usiłowania zabójstwa.

Termin rozprawy w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie został wyznaczony na 15 grudnia 1960 roku. Jan S. do winy się nie przyznał. Ale przypomniały mu się kolejne szczegóły. A to podczas jednej z kłótni powiedział żonie, by dzieci chodziły do szkoły, a nie pasły sąsiadkom krowy. - Żona mi odpowiedziała, że dzieci lepiej zrobią, jak będą paść krowy - wyjaśniał. - Powiedziała mi, że nie chce ze mną żyć i nie będzie ze mną utrzymywała stosunków fizycznych - opisywał. Zabronił żonie chodzić do sąsiadów, bo po tym, jak pracowała w burakach, miała czelność się im poskarżyć, że mąż jej nie pomaga. O ciąży już nie wspomniał. A kiedy pojechał 24 maja do Złotowa po sprawunki, nie zjadł śniadania, a po drodze wypił piwo, przecież... miał prawo zażądać obiadu. - Spytałem się żonę o obiad, a ona mi odpowiedziała: „ty skur...nu, po co się pytasz”. Kazałem jej nie krzyczeć na podwórzu i wejść do domu. To zaczęła krzyczeć, że mnie posadzi. Mnie to strasznie zdenerwowało. Do domu przyjść nie chciała, a poszła na wioskę i zaczęła krzyczeć. Wtedy w złości kopnąłem ją trzy razy - to nieco zmieniona wersja zdarzeń. Wbrew zeznaniom świadków Jan wziąć miał Annę pod rękę i zaprowadzić do domu. A ta nazwać go miała okrutnie „tchórzem”. I wtedy Jana zaatakować miała armia rozsierdzonych sąsiadek, które biły go, a wraz z nimi Anna. Wtedy dla obrony własnej miał sięgnąć po bagnet. A gdy wypędził wściekłe kobiety oświadczyć miał - i tu znów nowość - Już mam dosyć życia i tym bagnetem się przebiję”. - Chciałem się przekonać, czy żona mnie kocha i co na to powie - tłumaczył sądowi. Jak ona mogła to zrozumieć tak opatrnie, że Jan grozi jej śmiercią?

Mało tego, oskarżony brnął dalej: - Żona mi wówczas powiedziała: „ty

skur...nu zabij się”. Wtedy chwyciłem butelkę z kwasem i napiłem się kwasu - oświadczył. A co z ciosami bagnetem? I na to było wyjaśnienie. Otóż Anna miała doskoczyć do męża, by jednak nie zabijał się przez otrucie i wtedy... zranić się sama. - Czy żona była w ciąży? Nie wiem. Ona mi o tym wcale nie mówiła - zapewniał, choć 28 maja prokuratorowi oświadczył, że żona jest tuż przed rozwiązaniem.

Kiedy sędzia dopytywał, skąd tak ogromne różnice pomiędzy zeznaniami w śledztwie a tymi w sali rozpraw, Jan S. wytłumaczył, że wtedy „był w gorączce” i nie wie, co gadał.

Ale to nie koniec absurdalnych zachowań na sali rozpraw. Pojawił się bowiem wątek listu, który Jan S. miał wysłać z więzienia do żony. Listu z groźbami i nakłanianiem do fałszywych zeznań. - Wysłałem z więzienia list do żony, ale ja nie umiem pisać i podyktowałem treść jednemu więźniowi. Co on napisał, to nie wiem, bo nie umiem czytać. Ale nie groziłem jej i nie nakłaniałem do fałszywych zeznań - zapewnił. A po odczytaniu listu, który nie potwierdzał jego słów, oskarżony po chwili namysłu wyjaśnił: - Listu do żony nie pisałem i nikomu nie dyktowałem.

- Dlaczego poprzednio oskarżony wyjaśnił, że dyktował ten list jakiemuś więźniowi? - dopytywał przewodniczący składu orzekającego. Na to pytanie nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi.

15 grudnia sędzia Drewniak odczytał wyrok. Jan S. został uznany za winnego usiłowania zabójstwa i skazany na sześć lat więzienia. Wpływ na to miały zgodne zeznania naocznych świadków i pozostające w opozycji do nich, wciąż zmieniane wyjaśnienia Jana S. Sąd w uzasadnieniu podkreślił, że słowa oskarżonego, które padły podczas procesu nie zasługują na wiarę.

Od wyroku Jan S. się odwołał. Podkreślił, że Sąd Wojewódzki w Koszalinie nie wziął pod uwagę jego silnego wzburzenia, „albowiem obawiał się, iż żona jego zawiadomi milicję”, a dowodem, jak bardzo był wzburzony, była próba samobójcza.

29 marca 1961 roku Sąd Najwyższy w Warszawie podtrzymał zaskarżony wyrok w mocy. „Sąd zasadnie nie dopatrzył się silnego wzruszenia w działaniu oskarżonego, albowiem odezwanie się żony do oskarżonego, iż zawiadomi ona milicję o jego znęcaniu się nad nią nie może być uznane za tego rodzaju działanie, które doprowadziło oskarżonego do stanu silnego wzruszenia. (...) Oskarżony wypił butelkę kwasu solnego, by pozbawić się życia z obawy przed odpowiedzialnością kamą” - podkreślili sędziowie, zaznaczając

jednocześnie, że i tak koszaliński sąd wziął pod uwagę okoliczności łagodzące, dlatego wymierzył Janowi S. karę nieznacznie tylko odbiegającą od ustawowego minimum za tego rodzaju przestępstwo.

W grudniu 1964 roku, po odbyciu 2/3 orzeczonej kary, Jan S. został warunkowo zwolniony z zakładu karnego.

INSTYNYKT MACIERZYŃSKI

„Cała powierzchnia skóry pokryta nawozem końskim, który znajduje się również w jamie ustnej" - tak rozpoczyna się protokół oględzin zwłok. Jeszcze bardziej szokuje fakt, że ofiara żyła zaledwie kilkadziesiąt minut.

Niewiele jest słów, które niosą ze sobą tak wielki ładunek emocji, jak słowo „matka”. Wypowiedz je głośno. Czujesz ciepło i miłość? Jesteś zatem szczęśliwcem. Nie każdemu los równo sprzyja.

„Oskarżam Krystynę K. (...) o to, że w nocy z 19 na 20 marca 1969 r. w Starym Jarosławiu w powiecie sławieńskim, jako matka dziecka nieumyślnie spowodowała jego śmierć w ten sposób, że po urodzeniu dziecka, nie udzielając mu należytej pomocy, porzuciła je w oborze, w wyniku czego dziecko poniosło śmierć” - po czterech miesiącach prowadzonego śledztwa prokurator powiatowy sławieńskiej prokuratury J. Klimkiewicz podpisał się pod aktem oskarżenia.

21 marca 1969 roku Prokuratura Powiatowa w Sławnie została powiadomiona przez lekarzy ze sławieńskiego szpitala, iż dzień wcześniej na oddział trafiła 19-letnia Krystyna K. „(...) w wyniku badania stwierdzono, że odbyła poród, a brak jest dziecka” - uzasadnił wszczęcie śledztwa oskarżyciel.

W toku postępowania wielokrotnie przesłuchiowano tych samych świadków. Dowodzi to, że prokurator chciał mieć absolutną pewność, co do kategorii stawianego zarzutu. I tak Halina, bratowa 19-latki, podejrzana o jej „odmiennym stanie” miała już w grudniu 1968 roku. - Zauważyłam, że zmieniła się na twarzy i trochę pogrubiła. Domyśliłam się, że jest ona w ciąży i gdy jej o tym powiedziałam, ona się tego wyparła. Obserwując ją dalej, nie zauważyłam, aby się zmieniała i w końcu zwątpiłam, czy moje spostrzeżenia są słuszne. Ukrywała ten fakt przed rodziną. Nikt też nie wiedział, że ona urodziła dziecko. W dniu, kiedy to się stało, powiedziała, że miała krwotok. Jak wróciła ze szpitala, też nic nie mówiła. Dowiedzieliśmy się dopiero, gdy prokurator wezwał teściową i jej o tym powiedział - zeznała.

Bratowa dodała też, że Krystyna wreszcie przyznała, kto był ojcem dziecka. - Jan G. Chodzili ze sobą długi czas, chyba z półtora roku. On często przychodził do nas do domu i bardzo często zostawali sami w mieszkaniu - podkreśliła.

Scena narodzin, porównując otoczenie, podobna była do tej z „Pachnidła” niemieckiego pisarza Patricka Suskinda. Maluje się ona z wersji przedstawionej przez Krystynę K. - Dziecko urodziłam 20 marca o godz. 4. W oborze. Przy porodzie nikt nie był, odebrałam go sama. Łożysko wrzuciłam do gnoju. Dziecko po urodzeniu położyłam na słomie i przebywałam z nim 20 minut. Nie zauważyłam, aby dziecko

dawało jakiegokolwiek znaki życia. Wtenczas poszłam do domu, wzięłam prześcieradło, w które zawinęłam dziecko i zakopałam je w ogrodzie. Po zakopaniu dziecka poszłam do mieszkania i mamusia zauważyła, że jestem blada i zapytała co mi jest. Odpowiedziałam, że źle się czuję, lecz nie przyznałam się, że urodziłam dziecko. Mama zadzwoniła po pogotowie w Sławnie i po godz. 6 przyjechała karetka, która zabrała mnie do szpitala - krótkimi zdaniami, suchymi faktami, opisała narodziny pierworodnego dziecka. W szpitalu nie przyznała się, że urodziła dziecko, mówiła, że miała krwotok... „z obawy, że będą na mnie krzyczeć” - uzasadniła.

Pytana o ojca dziecka Krystyna K. wyjaśniła, że o ciąży swojego partnera - Jana G. - poinformowała. Najpierw miał nie uwierzyć. A potem... - Zaczął mnie namawiać, bym usunęła ciążę. W styczniu udałam się prywatnie do lekarza, lecz powiedział mi, że na to jest już za późno. Po powrocie od lekarza powiedziałam to Janowi. Wówczas zaczął mnie namawiać, abym urodziła dziecko tak, aby nikt o tym nie wiedział, a po urodzeniu je zlikwidowała, to on dopiero wówczas się ze mną ożeni. W jaki sposób miałam zlikwidować dziecko, tego mi nie powiedział - zaakcentowała.

19-latka twierdziła też, że niedoszły mąż ostrzegł ją, iż wyprze się faktu ojcostwa, więc lepiej by do tej sprawy go nie mieszała. - Puścił plotkę, że ja nie z nim byłam w ciąży, tylko z jego sąsiadem - skarżyła się. - A ja prócz Jana z nikim stosunków nie miałam - tłumaczyła.

Wezwany na przesłuchanie 28-letni Jan G. przedstawił inną wersję zdarzeń. Owszem, nie krył, że z Krystyną łączyły go zażyłe relacje. Poznali się dwa lata wcześniej, kiedy jako 17-latka odwiedzała jego siostrę. - Nieraz, gdy wracała do domu wieczorem, odprowadzałem ją. Od wiosny ubiegłego roku zacząłem chodzić z Krystyną - przyznał. - W styczniu od swojej matki dowiedziałem się, że Krystyna jest w ciąży. Matka dowiedziała się o tym od innych kobiet we wsi. Gdy się o to spytałem Krystynę, kategorycznie zaprzeczyła. Do samego końca się nie przyznała, pomimo że znać było po niej, że grubieje - zauważył.

To, czy był ojcem dziecka, Jan poddawał w wątpliwość. - Wydaje mi się, że ona musiała zajść z kimś innym w ciążę, bo jakby była ze mną, to nie było powodu, aby ten fakt ukrywała - powiedział. 28-latek zeznał też, że o porodzie dowiedział się dopiero, gdy Krystyna była w szpitalu.

I to nie od niej (miała twierdzić, że ma wrzody), a od pielęgniarki. Jan G. zapewniał też, że nigdy nie namawiał dziewczyny do usunięcia ciąży, a wręcz namawiał do kontrolnej wizyty u lekarza, bo skoro

„grubiej” to może jest w ciąży. - Gdyby mi powiedziała, to chyba bym się z nią ożenił - przyznał szlachetnie.

Podczas lipcowego przesłuchania Krystyna K. podtrzymała swą wcześniejszą wersję, jakże różną od zeznań swego chłopaka. - We wrześniu powiedziałam mu, że jestem w ciąży, na to powiedział, że da mi pieniądze, żebym poszła ją usunąć - wyjaśniała. Na zabieg było już za późno. - Powiedziałam o tym Janowi. Odparł, żebym się starała w inny sposób to załatwić, żebym na przykład dźwigała ciężkie kotły albo kupiła tabletki i wywołała poronienie. I ścisnęła się paskami. Jakie tabletki mi nie powiedział. Tabletek nie kupiłam, ale kotły po 20 kilo dźwigałam - przyznała. - Mówił, że jak wszystko się wyda, to zostanę starą panną z dzieckiem. A jak załatwię to po cichu, to on się ze mną ożeni. Jemu na ślub nie pozwalała matka, bo ja jestem biedna i bez szkoły.

Śledczy raz jeszcze chcieli, by podejrzana odtworzyła moment narodzin dziecka. Krystyna K. twierdziła, że nie była świadoma, że bóle, które odczuwała, były bólami porodowymi. - Myślałam, że to może poronienie, wywołane przez noszenie kotła. Zdążyłam wejść do obory, jeszcze stałam, jak wypadło ze mnie dziecko, a potem łożysko. Dziecku nie udzieliłam pomocy, nie zawiązałam pępowiny. W ogóle nie wiedziałam, jak się to robi. Dziecko upadło na słomę w oborze. Nie słyszałam krzyku, ale widziałam ruch rączką. Nie byłam jednak pewna, czy żyje - opowiadała. - Jak dziecko ze mnie wypadło, to wzięłam je za główkę. Była ciepła. Całe było oblepione krwią. Potem mi się zrobiło słabo, więc dziecko puściłam. Po chwili, gdy zobaczyłam rączkę dziecka, to chciałam nawet iść do domu i powiedzieć, ale byłam zbyt słaba, żeby wstać.

Lekarze, którzy przeprowadzili sekcję zwłok, uznali, że dziecko urodziło się żywe. „Należy sądzić, że w chwili urodzenia dziecko żyło i oddychało, jednak płuca nie uległy całkowitemu upowietrzeniu, co nawet bez dodatkowych czynników mogło się stać przyczyną zgonu.” - stwierdzili. Sekcja wykazała, że śmierć noworodka nastąpiła na skutek niedzielenia mu po przyjściu na świat pomocy.

9 września 1969 roku w Sądzie Powiatowym w Sławnie rozpoczął się proces 19-letniej Krystyny K. Na wniosek obrońcy oskarżonej do sprawy został powołany biegły psychiatra.

Oskarżona do winy się przyznała. Raz jeszcze powtórzyła swą niezmienną wersję zdarzeń. O ciąży wiedział Jan, namawiał do usunięcia, bała się przyznać matce, bo myślała, że skończy się to

wyrzuceniem z domu, bała się, że chłopak ją porzuci, bała się zostać panną z dzieckiem, sama na świecie. - Ukończyłam jedynie 4 klasy, gdyż nauka przychodziła mi z trudnością i wszystkie klasy powtarzałam po dwa lata. Czytałam jedynie gazety, ale z trudem - dodała na koniec zeznań.

19-latkę badał psychiatra i neurolog. Rozpoznali u niej „znaczące ograniczenie zdolności kierowania postępowaniem, jak i rozumowania w chwili popełnienia przestępstwa”. Psychiatra orzekł, że oskarżona jest osobą niedorozwiniętą umysłowo, co skutkowało bezradnością i brakiem hamulców w postępowaniu.



Sąd Powiatowy ze Sławna uznał swą niewłaściwość do orzekania w tej sprawie i przekazał ją do Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie. Uznał bowiem, że w działaniu oskarżonej mieszczą się elementy przestępstwa uprzywilejowanego z art. 226 Kodeksu karnego z 1932 r.: „Matka, która zabija dziecko w okresie porodu pod wpływem jego przebiegu, podlega

karze więzienia do lat 5”.

W grudniu 1969 roku w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie nad sprawą pochyliła się sędzia Regina Bochnia. Wypytywała o najdrobniejsze szczegóły. - W nocy z 19 na 20 marca poczułam bóle i zaczęłam krzyczeć. Mamie powiedziałam, że boli mnie chyba żołądek. Wyszłam z pokoju, w którym śpię z mamą i dwoma braćmi, i poszłam do kuchni, by się czegoś napić - wyjaśniała oskarżona. - Bóle nie ustawały, zrobiło mi się słabo, wyszłam więc na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza. W odległości 95 metrów od domu stoi obora. Ponieważ nie mogłam dojść do domu, zaszłam do obory. Podłoga jest tam zrobiona z cegieł. Była posłana słomą, ale było brudno, bo nawóz spod zwierząt nie był usunięty. Przez oborę przechodzi środkiem korytarz, po którego jednej stronie stoi koń i krowa, a po drugiej stronie znajduje się trzoda. Zdążyłam wejść, gdy poczułam, że będę rodzić. Nie mogłam dać kroku i wtedy urodziło się dziecko. Wypadło na podłogę, ja kucnęłam i przez moment na nie patrzyłam.

Gdy usłyszała, że do obory wchodzi matka, noworodka przykryła słomą z obornikiem, a matce powiedziała, że miała krwotok. Po upływie około pół godziny od porodu wróciła do obory z prześcieradłem. - Zapaliłam światło i przyglądałam się dziecku. Było brudne, całe we krwi i zimne. Zawinęłam je w prześcieradło i wyszłam do ogródka. Szpadłem wykopałam dołek, włożyłam do niego dziecko i zasypałam ziemią. Nie chciałam tego zrobić. Chciałam, by dziecko się urodziło i chowało.

Krystyna K. znów przekonywała, że Jan, jej chłopak, o ciąży wiedział i dziecka nie chciał. Dawała do zrozumienia, że to, co robiła, było podyktowane jego żądaniami, jak i strachem przed złością swej matki. Jan jednak zarzekał się, że o ciąży nie miał pojęcia.

Oskarżyciel w tej sprawie wniósł o uznanie oskarżonej za winną zarzucanego jej czynu z art. 226 i wymierzenie jej kary 2 lat pozbawienia wolności z zastosowaniem jednak ustawy o amnestii. obrońca przychylił się do tego wniosku.

12 grudnia 1969 roku w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie zapadł wyrok. Przewodnicząca składu orzekającego, powołując się na art. 5 ustawy o amnestii z lipca 1969 roku umorzyła postępowanie karné, a kosztami tej sprawy obciążyła skarb państwa. Krystyna z sali rozpraw wróciła do domu.

**PLAKAŁA,
POTEM PRZESTAŁA.
PROSIŁA:
NIE RÓBCIE MI
DZIEGKA**

Ten mechanizm działania można obserwować w wielu sprawach, kiedy sprawcy działają w grupie. W momencie popełnienia przestępstwa wzajemnie nakręcają swą agresję. Każdy chce być tym bardziej złym. Silniejszym. Dominującym. Ale już przed sądem winą jeden obarcza drugiego.

Czym może skończyć się niewinna z pozoru przejażdżka rowerem z nowymi kolegami - o tym przekonała się 18-letnia Marianna, mieszkanka Rzepowa, dzisiejszego Rzepkowa w podkoszalińskiej gminie Sianów. Wczesnym rankiem 15 kwietnia 1970 roku zgłosiła się na posterunek milicji w Sianowie, by złożyć zawiadomienie o przestępstwie, do którego doszło poprzedniego wieczora.

W Rzepowie, naprzeciwko domu dziewczyny, zebrała się grupa znajomych z wioski. Dołączyło do nich trzech chłopaków z Sianowa. Przyjechali na rowerach. Było około godz. 20. - Ja miałam zamiar pójść na przystanek PKS, który od wsi oddalony jest o około kilometr, bo mój ojciec miał wrócić autobusem. Wówczas ci nieznani chłopcy powiedzieli mi, że do przystanku mnie podwiozą - opisywała. Skusiła się na przejażdżkę. Jednak nie zatrzymali się obok przystanku. Początkowo myślała, że to żart. Szybko jednak zorientowała się, że chcą ją gdzieś wywieźć. Zaczęła krzyczeć. Usłyszała, że ma być cicho, inaczej ją zabiją. Groźba poskutkowała. Pomyślała, że uwolni się od napastników, gdy będzie nadjeżdżał autobus. - Ale oni wieźli mnie w kierunku lasu, w kierunku wsi Suchej. Na skraju lasu zaczęłam uciekać, ale mnie dogonili. Jeden powiedział, że takie sztuczki to nie z nimi. Przewrócili mnie na ziemię, porwali bieliznę i halkę, jeden zatkał mi buzię ręką i mówili, że jak będę krzyczeć, to zabiją.

Według relacji 18-letniej Marianny jeden z mężczyzn zaczął ją gwałcić, a w tym czasie dwóch pozostałych trzymało ją za ręce. Potem się zmieniali. Każdy z nich zgwałcił ją po trzy razy. - Po tym wszystkim kazali mi się ubrać, wsadzili mnie na rower i chcieli mnie odwieźć do Rzepowa. Powiedzieli: „ty bladź, jak komuś powiesz to cię zabijemy”. Jak mnie odwozili, to usłyszałam głos ojca. Wołał mnie po imieniu - wyjaśniła.

Marianna poczuła przypływ sił. Zaczęła krzyczeć, zeskoczyła z roweru i jednego z chłopaków usiłowała przytrzymać. Dobiegł do nich jej ojciec. Złapał mężczyznę, przewrócili się. - Dobiegła wtedy mama. Ten chłopak leżał na moim ojcu i go dusił. Mama uderzyła go po plecach. Puścił wtedy ojca i uciekł. Pozostali uciekli wcześniej. Na miejscu pozostał tylko rower i czapka gwałciiciela - relacjonowała.

Marianna złożyła wniosek o ściganie sprawców gwałtu. Z akt sprawy aż wylewają się emocje, w tym żal i gorycz jej ojca. - Osobiście żądam ukarania sprawców gwałtu! - podczas przesłuchania nie mógł

opanować nerwów.

16 kwietnia przed podprokuratorem Prokuratury Powiatowej w Koszalinie usiadł 18-letni Henryk B., mieszkaniec Sianowa. Przedstawiony mu został zarzut uczestnictwa w gwałcie zbiorowym. Przyznał się. - Ja zaproponowałem dziewczynie przejażdżkę, wziąłem ją na rower i pojechaliśmy w kierunku Suchej - nie krył. - Usiedliśmy w rowie na skraju lasu i zaczęliśmy rozmawiać. Marian H. zaproponował jej odbycie stosunku z nami. Dziewczyna nie chciała. On próbował ją całować, ale też nie chciała. Później powiedziała, że odda nam się sama. A potem zaczęła biec w kierunku lasu przez łączkę. Pobiegł za nią albo H., albo F. Zatrzymał i przewrócił na ziemię. Marian położył się na nią, ja z Julianem trzymałem jej ręce, a Marian ściągnął reformy. Dziewczyna początkowo płakała, a później przestała. Prosiła, aby nie zrobić jej dziecka.

18-latek opisywał, co i który po kolei robił. To wystarczyło do podjęcia natychmiastowej decyzji o tymczasowym aresztowaniu Henryka.

Tego samego dnia przed oblicze prokuratora doprowadzony został 19-letni Marian H., pracownik sianowskiej fabryki zapalek. On jednak w pierwszych słowach zaprzeczył udziałowi w gwałcie. Przyznał, że dwa dni wcześniej był z kolegami w Rzepowie, że poprosili Mariannę o wodę, że przyniosła, że Heniek posadził ją na ramę roweru i pojechali do lasu. Rozpędził się w wyjaśnieniach tak bardzo, że w którymś momencie oznajmił: - Zeszliśmy na łąkę. Ona początkowo przyspieszyła, wtedy we trzech złapaliśmy ją, aby mieć z nią stosunek. Gdy upadła na ziemię, wówczas ja i któryś z kolegów ściągnęliśmy jej do kolan reformy - podkreślił. A skoro już się tak „rozpędził”, wreszcie wyznał, że do zbiorowego gwałtu doszło. Po ponad dwóch godzinach przesłuchania Marian nie wrócił do domu. Pojechał do aresztu.

Dzień później 19-letni Julian F., również pracownik Sianowskich Zakładów Przemysłu Zapalczanego, usłyszał pytanie prokuratora, czy przyznaje się do udziału w zbiorowym gwałcie. Zaprzeczył. Zaczął umniejszać swej roli w przestępstwie. - To H. położył ją na trawie, obejmował i próbował całować. Wtedy ona zaczęła krzyczeć. Widząc to powiedziałem kolegom, aby dali jej spokój. Koledzy nie zgadzali się, żeby ją puścić. Potem puścili i dalej przekonywali, żeby to z nami zrobiła. Widocznie przekonali ją, bowiem wyraziła ona zgodę na odbycie z nami stosunku - oświadczył.

Mało tego. Julian, nawet kiedy 18-latką już się zgodziła, jak twierdził,

oddać wszystkim po kolei, uznał, że „mogą z tego wyniknąć jakieś nieprzyjemności”. Dlatego odszedł w stronę pozostawionych w zaroślach rowerów. Kątem oka miał jednak widzieć, jak Marian pomagał dziewczynie zdjąć bieliznę. Ona jednak uciekła. Dlaczego, skoro sama chciała? Nie powiedział. Doprowadzona przez innych, nie przez Juliana oczywiście, miała odmówić ułożenia się na trawie. Postawa gentlemana wyszła z chłopaków, bo dwóch ułożyło na ziemi swe marynarki.

- Powiedzieli mi, żebym odbył z nią stosunek. Ja nie chciałem. Namawiali mnie dalej. Odszedłem do rowerów, nie zgadzając się na ich propozycję - wyjaśnił Julian. Podkreślił, że dwaj jego koledzy jednak to zrobili. I to więcej niż raz.

Prokurator nie dał wiary zapewnieniom 19-latka o jego niewinności i jeszcze tego samego dnia trafił on do aresztu. Po trzech dniach Julian złożył zażalenie na tę decyzję, podkreślając w skreślonym ołówkiem piśmie do Sądu Wojewódzkiego, że jest świadkiem w sprawie. Bynajmniej nie oskarżonym. Sąd nad wnioskiem oczywiście się pochylił, jednak argumenty prokuratury i zgromadzone dowody przemawiały przeciwko słowom młodego mężczyzny.

Sprawnie przeprowadzone śledztwo zakończyło się szczegółowym aktem oskarżenia, datowanym na 10 czerwca 1970 roku. Henryk B., Julian F. i Marian H. zostali oskarżeni o to, że działając wspólnie przy użyciu przemocy, polegającej na obezwładnieniu 18-letniej Marianny odbyli z nią kilkakrotnie stosunki płciowe, czyli o czyn z art. 168 paragraf 2 Kodeksu karnego z 1969 roku. Groziło im od 3 do 10 lat więzienia.

10 lipca 1970 roku rozprawie przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie przewodniczył sędzia Stanisław Ramotowski. Jako pierwszy zeznawał Henryk B. Do zarzutów częściowo się przyznał. Ale w kolejnych już swoich wyjaśnieniach znacznie umniejszył swą rolę w przestępstwie. I już z pierwszych zdań można wnioskować, że chciał udowodnić, iż to 18-latka wszystko zaczęła.

- Prosiła, żebym dał jej się przejechać na rowerze. Dałem jej rower, ale ona powiedziała, że sama nie pojedzie. Powiedziałem, że może się z nami udać na przejażdżkę. Zgodziła się. Zabrałem ją na rower, ale potem zmęczyłem się i na rower wziął ją F. Dojechaliśmy do lasu i zaczęliśmy tam rozmawiać. Usiedliśmy w rowie, H. chciał ją pocałować, ale ona powiedział „nie tak ostro, wolniej, oddam się sama” - tłumaczył.

Tym razem twierdził, że to Marian przewrócił dziewczynę na ziemię

i on namawiał ją do seksu. - Początkowo mówiła, że „nie, nie”, a potem uległa jemu, to znaczy chciała mu się oddać. Ale do niczego nie doszło - opisywał. Z Julianem mieli wtedy pójść w stronę rowerów, a Marian, słysząc kroki miał wystraszyć się, że ktoś nadchodzi i pobiec do kolegów. Według słów Henryka wtedy Marianna zaczęła uciekać. - Pobiegliśmy za nią. Żeby tylko ją dogonić. Chwyciliśmy ją pod rękę, żeby wróciła z nami na łąkę, gdyż początkowo stawiała opór. Julian i ja zdjęliśmy marynarki i położyliśmy na ziemi, żeby Marianna się nie pobrudziła - tłumaczył. - Dziewczyna stawiała opór i żeby umożliwić H. stosunek, trzymałem ją za rękę. F. też ją trzymał. Ona opierała się, jednak tylko... słownie. Zachowywała się tak, że zmuszeni byliśmy przytrzymać ją za rękę - Henryk zdawał się niemal skarżyć na pokrzywdzoną.

I dodał okrutne słowa: - Odniosłem wrażenie, że Marianna była zadowolona z przebiegu tego zdarzenia. I teraz kolejny dowód na to, jak przed sądem oskarżeni sami umniejszają swą rolę w grupowym działaniu: - Podszedłem i spytałem, czy chce mieć ze mną stosunek. Powiedziała, że jak miała z tamtymi, to może mieć i ze mną.

Sąd zwrócił uwagę na ewidentne rozbieżności między wcześniejszymi zeznaniami B. a tymi z rozprawy. - Nikt jej nie groził. Było tak, jak dziś zeznałem - odparł.

Julian F. twierdził, że dziewczyna nie opierała się kiedy Marian H. - bo jego zdaniem on zaczął - ją najpierw całował, a potem „wziął”. Potem oni „zapropozowali”, ona się zgodziła. Znaczący „tamci oni”, bo on nie skorzystał. - Śledczy chciał, żebym tak zeznał i tak zeznałem - skwitował jakże inne, wcześniejsze wyjaśnienia. - Po prostu wtedy zeznawałem nieprawdę, a przed sądem chcę zeznać prawdę. Mówiłem, że H. i B. odbyli stosunki, a nie zgwałcili ją. Nie zwróciłem uwagi, że jest taka różnica między tymi określeniami.

Marian H. do winy częściowo się przyznał. Częściowo, bo... - Nie namawialiśmy Marianny do odbycia stosunków, a mimo to powiedziała ona, że w tym miejscu (w lesie) odbywać ich z nami nie będzie i żeby odejść gdzieś na pobocze. Odniosłem wrażenie, że sama nam to zaproponowała - oświadczył i dodał, wbrew temu co chwilę wcześniej mówili koledzy, że nikt 18-latkę nie musiał przytrzymać.

- Byłam zdenerwowana i przestraszona, zaczęłam płakać - w opozycji do zeznań oskarżonych stoją słowa ofiary. - Zdjęli marynarki, rozłożyli na ziemi i pchnęli mnie na nie. H. zaczął ściągać mi płaszcz, reformy. Nie krzyczałam, ponieważ bałam się spełnienia groźby, że mnie zabiją -

mówiła dziewczyna. - Trzymali mnie za ręce. Każdy zgwałcił mnie trzy razy. Jak H. to robił, to pozostali poganiali go, żeby szybciej, bo im też się spieszy. Płakałam. Byłam już zmęczona i nie mogłam się bronić. Bałam się, że zrobią mi coś jeszcze gorszego. Potem kazali mi się szybko ubierać. Wsadzili na rower i powiedzieli, że jeśli komuś powiem, to mnie ukatrupią. Kiedy usłyszałam głos mojego ojca, zaczęłam krzyczeć. Jeden z oskarżonych mi powiedział wtedy: „Odsiedzę to, odsiedzę, ale cię zabiję”.

Wyrok w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie zapadł 10 lipca 1970 roku. Sędzia Ramotowski uznał trzech oskarżonych winnych popełnienia zarzucanych czynów i wymierzył Henrykowi B. karę 5,5 roku więzienia, a Julianowi F. i Marianowi H. po 5 lat za kratami.

„To, że Marianna nie odbywała z oskarżonymi stosunków dobrowolnie, wypływa pośrednio z faktów uszkodzenia garderoby, stanowiącej dowody rzeczowe, z jej wyglądu zewnętrznego, który określiła matka pokrzywdzonej po jej odnalezieniu. Z karalności ich działania oskarżeni zdawali sobie sprawę, bo jak wynika z zeznań oskarżeni grozili pokrzywdzonej, że jeśli komuś o tym powie, to ją ukatrupią” - oprócz zeznań świadków, ofiary gwałtu, grypsu (grypsy zostały znalezione u Henryka B.), wzajemnych oskarżeń sędzia zwrócił w uzasadnieniu wyroku uwagę na i te szczegóły.

Obrońcy oskarżonych zaskarżyli wyrok. Wnioskowali o nadzwyczajne złagodzenie kary. 16 listopada 1970 roku Sąd Najwyższy w Warszawie utrzymał w mocy decyzję Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie. „(...) część winy za to, co się stało, usiłują przenieść na pokrzywdzoną, wywodząc, że początkowo jej zachowanie mogło być potraktowane przez oskarżonych jako zachęta i milcząca aprobata ich postępowania. Rewizja obrońcy B. posuwa się nawet do zarzucenia pokrzywdzonej prowokacji” - to fragment uzasadnienia decyzji. Sędziowie podkreślili też, że wymierzone kary należy uznać za raczej łagodne. „Należało mieć na uwadze, że zbiorowe gwałty, jako nowe zjawisko kryminalne, wykazują tendencję zwykłą i przez swój ilościowy wzrost i brutalne formy działania stają się na tyle groźne, że w pierwszej kolejności powinny być w zakresie kary spełnione wymogi prewencji generalnej. Gwałtu dokonano na osobie 18-letniej dziewczyny i to w sposób wyjątkowo brutalny, co z reguły pozostawia mniej lub więcej trwałe ślady w psychice ofiary gwałtu.”

PROMILE KARNIA BESTIE

Sąsiedzka sprzeczka. Błahy powód. Syn stanął w obronie ojca. Dwa ciosy nożem do obcinania końskich kopyt skończyły jego 22-letnie życie. A zabójcy nie ułaskawił nawet prezydent Bierut.

Jest 1 czerwca 1946 roku. Dzisiejsze Wełdówko, osada w gminie Tychowo, nosiło nazwę przetłumaczoną dosłownie z języka niemieckiego Klein Voldekow - Małe Włodkowo. W domu Józefa H. doszło do sprzeczki, później do bójki, której skutkiem był zarzut zabójstwa. Próżno doszukiwać się tu motywu. To historia, w której widać,

że bezsensownej śmierci towarzyszą niezmiernie często promile. To one wyzwalają w niektórych agresję i zło, którego istnienia zapewne nawet nie podejrzewają...

W przepastnych zasobach Archiwum Państwowego w Koszalinie znajdują się akta sprawy Bolesława C., 29-letniego kawalera, właściciela poniemieckiego gospodarstwa.

To była sobota, 1 czerwca 1946 roku. Sołtys Józef Z. odwiedził swego imiennika Józefa H., by poinformować go o wiecu politycznym, który planowany był w gminie Tychowo. - Gdyśmy rozmawiali, przyszedł obywatel Bolesław C. - opisywał później sołtys. - Józef częstował nas galaretką. W tym czasie przyszedł Franciszek Ł. z Izydorem W. Przyszli z wesela w stanie podchmielonym. W. zaczął robić wymówki, że jemu zostały zabrane narzędzia rolnicze.

Od słowa do słowa i zaczęły się krzyki: „Precz z PGR!”. Według relacji sołtysa nakłonił on Izydora W., by opuścił gospodarstwo. I tak też się stało. Ale na podwórku doszło do szarpaniny. Sołtys oglądał ją z bezpiecznej odległości. Zza domu. Wołanie o ratunek usłyszał Zygmunt W, syn Izydora, który nie poszedł na wesele. - Usłyszał też mój brat, Marian. Pospieszaliśmy do nich. Marian podszedł do Bolesława C., mówiąc „Bolek, coś ty ojcu memu zrobił?”. Bolesław krzycząc „wy skurw..., ja was powyrzynam” uderzył brata mego w krtań dwukrotnie. Brat zaczął uciekać. Zauważył siekierę, porwał ją i dopędziliśmy C., który schował się do piwnicy w gospodarstwie Józefa H.

To były ostatnie kroki Mariana W. W ferworze walki nie poczuł nawet, że cały jest we krwi. Upadł. Stracił przytomność.

A co w tej sprawie miał do powiedzenia posterunkowemu gospodarz H.? - Przyszedł do mnie Józef Z. i Bolesław C. w stanie podpitym, który prosił ażeby dać coś zjeść. Postawiłem podwieczorek. Po pewnej chwili przyszedł Franciszek Ł. i Izydor W., których poprosiłem do stołu.

Izydor W. zaczął się ze mną sprzeczać na temat sprzętu rolniczego. Ł. go uciszył. C. zapytał, kto się chce bić. Izydor, żeby uniknąć bójki wyszedł. Za nim C. Obawiając się bójki, wyszedłem za nimi. Zobaczyłem, jak Izydor uciekał w stronę domu. Bolek zaczął wywijać nożem nad głową Franciszka. Zapytałem, co robi, a on schował nóż do kieszeni i zaczął Franciszka całować.



Według opisu Józefa H. po chwili Izydor wrócił w asyście dwóch synów. Sam w zakrwawionej koszuli. Gospodarz miał pobiec w kierunku wioski po wsparcie, by rozdzielić awanturników. „(...) widząc zamieszanie i że mogą nastąpić następstwa” - tłumaczył. Nie zdążył. Gdy wrócił, zakrwawiony Marian leżał na jego podwórku. Posłał po wózek, by nieprzytomnego odwieźć jego ojcu.

Franciszek Ł. dokładnie opisał moment zadania śmiertelnych ciosów.
- Marian doszedł do Bolesława C. i zapytał się, za co pobił jego ojca. C.

bez słowa odpowiedzi błyskawicznie wyjął nóż i uderzył Mariana. Ja, nie chcąc się wtajemniczać w bijatykę, poszedłem do domu weselnego - wyjaśnił milicjantowi.

49-letni Izydor W. był przesłuchiwany przez mundurowych trzy dni po zdarzeniu. Zapewne żałował, że wyszedł z wesela, które trwało w najlepsze i poszedł dyskutować o narzędziach rolniczych, które ktoś rzekomo zabrał z jego gospodarstwa. Tym bardziej, że jak sam przyznał, Józef H., słysząc jego zarzuty, obraził się. - Widząc wtedy, że Bolesław C. ma złe zamiary, wyszedłem z mieszkania, kierując się do domu - opisywał ciąg zdarzeń po tym, jak upomniał się o sprzęt. - Będąc u wyjścia na schodkach C., który wyszedł za mną, uderzył mnie jakimś narzędziem raz w rękę powyżej łokcia. Obróciłem się do niego w celu obronnym, on natomiast uderzył mnie raz pod szyję i w lewą rękę. Uciekłem do domu. Krzycząc „ratunku!”. Usłyszeli mnie moi synowie, przybiegli do mnie, pytając kto mnie pobił. Odpowiedziałem. Starszy syn Marian skierował się w stronę Bolesława z zapytaniem, za co mnie pobił, lecz C. bez słowa ugodził go sztyletem. C. widząc, że syn leży, zaczął mnie gonić. Młodszy syn też zaczął uciekać. Bolesław C. zawrócił do mieszkania Józefa H. Z domu zostałem zabrany do opatrunku. Jak wróciłem, syn leżał na łóżku bez przytomności.

Bolesław C. od początku o sprawie mówił krótko. Podczas przesłuchania podkreślił, że on również został zaproszony na wesele. Nie poszedł, bo wiedział, że będzie tam też Izydor W. - Którego znałem, jako awanturkarnik - tłumaczył. Przyznał, że do Józefa H. poszedł pijany. - Około szóstej przyszedł Izydor W. i to w stanie gorszym, gdyż przyszedł z wesela. Gdy przyszedł, powiedział do H.: „ty skurw... zabrałeś mi wszystkie maszyny”. H. go uspokajał. I razem wszyscy wyszliśmy na podwórze - mówił. Twierdził też, że pierwszy bójkę rozpoczął Izydor W. Mało tego, jego syn Marian dobiegł do nich z pałąką w dłoni. - To wyjąłem sztylet i uderzyłem. Ja to zrobiłem w obronie własnej. Marian W. uderzył mnie tak, że się wywróciłem - podkreślił.

Bolesław C. został tymczasowo aresztowany. Zdaniem śledczych zachodziła bowiem obawa, że będzie się ukrywał. A sprawa była poważna.

2 czerwca do Szpitala Powiatowego w Białogardzie trafił 22-letni Marian W. Miał głęboką, trzycentymetrową ranę po lewej stronie szyi. Po czterogodzinnym pobycie w szpitalu młody mężczyzna dostał napadu kaszlu. W efekcie nastąpił silny krwotok z rany. „Natychniastowa pomoc okazała się bezskuteczna z powodu wielkiego

upływu krwi wskutek pęknięcia tętniaka tętnicy szyjnej. O godz. 12.45 nastąpiło zejście śmiertelne” - to informacja ze świadectwa zgonu.

6 sierpnia 1946 roku prokurator podpisał się pod aktem oskarżenia przeciwko Bolesławowi C. Mężczyzna został oskarżony o to, że „1 czerwca 1946 roku w Małym Włodkowie, ugodziwszy dwukrotnie sztyletem Mariana W. w szyję w zamiarze zadania mu uszkodzenia ciała, na skutek czego Marian W. otrzymał ranę cięto-klutą szyi i w dniu 2 czerwca 1946 roku w szpitalu z powodu upływu krwi wskutek pęknięcia tętniaka tętnicy szyjnej wewnętrznej zmarł - nieumyślnie spowodował śmierć Mariana W.”.

7 października 1946 roku Bolesław C. zasiadł na ławie oskarżonych w Sądzie Okręgowym w Koszalinie. Rozprawa była krótka - oskarżony do winy się nie przyznał, a oskarżyciel wniósł o przekazanie sprawy koszalińskiej prokuraturze, co uzasadniał potrzebą zmiany kwalifikacji czynu z nieumyślnego spowodowania śmierci na zabójstwo. Tak też się stało i kolejny akt oskarżenia ujrzał światło dzienne 15 października.

5 grudnia 1946 roku Sąd Okręgowy w Koszalinie na sesji wyjazdowej w Białogardzie zajął się sprawą. Bolesław C. zmienił zdanie i do winy się przyznał. Ale wciąż twierdził, że się bronił.

Zeznania poszczególnych świadków w szczególach się różniły. To pojawiał się wątek z siekierą, to znów poszczególni uczestnicy awantury byli tymi bardziej agresywnymi. Co do najważniejszych jednak wydarzeń feralnego wieczora wszyscy się zgadzali. Sędziowie Kukła, Przybys i Stankiewicz nie mieli więc dylematów. Uznali Bolesława C. winnym zbrodni opisanej w akcie oskarżenia i skazali go na sześć lat więzienia.

„Oskarżony na rozprawie przyznał się do winy i wyjaśnił, że wieczorem, 1 czerwca 1946 r., gdy był u Józefa H. w sprawie konia, przyszedł tam sołtys Z., a następnie Izydor W., powracający z wesela. Zaraz po swym wejściu W. wszczął sprzeczkę z H. o maszyny. Gdy rozpoczęła się sprzeczka przybyli synowie Izydora - Marian i Zygmunt, i zaczęła się bójka. Izydor i Zygmunt uderzyli oskarżonego, a Marian zamierzył się na niego siekierą. Wówczas on w obronie swego życia wyjął z kieszeni nóż do obcinania końskich kopyt i uderzył nim Mariana W., a gdy ten upadł - uciekł do domu” - tak sędziowie opisali wersję oskarżonego. I nie dali jej wiary: „Na podstawie całokształtu przewodu sądowego, w szczególności zeznań świadka Józefa Z., Izydora W., Franciszka Ł. i Zygmunta W., sąd ustalił,

że gdy po sprzeczce w domu H. Izydor W. wyszedł na podwórko,

wybiegł za nim oskarżony i uderzył go dwukrotnie nożem w szyję i rękę. Izydor W. począł uciekać w stronę domu i wołać synów na pomoc. Na krzyk ojca przybiegli Marian i Zygmunt, przy czym Marian biegł z gołymi rękami, a Zygmunt ze sztchetą. Marian W. zapytał oskarżonego, za co zranił ojca, w odpowiedzi na to oskarżony uderzył go dwukrotnie nożem w szyję, na skutek czego ten upadł na ziemię, a oskarżony pobiegł za Izydorem i Zygmuntem W. Marian W. wówczas podniósł się z ziemi i chwyciwszy leżącą w pobliżu siekierę chciał biec za oskarżonym, lecz zrobiwszy kilka kroków ponownie upadł na ziemię” - tę wersję w uzasadnieniu wyroku przyjęto za prawdziwą.

Sędziowie byli przekonani, że Bolesław C. chciał zabić. Dlaczego? Użył niebezpiecznego narzędzia i zadał cios w newralgiczne miejsce. Przy wymiarze kary sąd miał na uwadze z jednej strony złą wolę oskarżonego, a z drugiej strony jego „młody wiek, niski poziom umysłowy, stan podniecenia wywołany alkoholem i kłótnią”.

Od wyroku apelację złożyły obie strony postępowania - zarówno obrona, jak i oskarżenie. Prokurator domagał się uchylenia wyroku i surowszej kary m.in. dlatego, że oskarżony nie wykazał skruchy, starając się przerzucić odpowiedzialność za wywołanie zajścia na rodzinę W. „Popelniając powyższy czyn oskarżony wykazał szczególne natężenie złej woli i zaciełość, gdyż uprzednie zranienie Izydora W. i krew ciekącą w miejscu zranienia nie opamiętały i nie zreflektowały oskarżonego, ale go pobudziły do dalszych działań, których ukoronowaniem był morderczy cios, zadany Marianowi W. w szyję” - argumentował prokurator J. Kulicki.

14 lutego 1947 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku utrzymał zaskarżony wyrok w mocy.

Bolesława C. objęła amnestia z 22 lutego 1947 roku. Zamiast 6 lat miał odsiedzieć 3. Po 2 latach odsiadki z więzienia w Goleniowie napisał do prezydenta Bolesława Bieruta list z prośbą o ułaskawienie, którego odręcznie pisany oryginał znajduje się w aktach sprawy. „Gorąco i uprzejmie” prosił o zwolnienie z reszty kary za „lekkomyślnie” spowodowaną zbrodnię. Był to jego zdaniem „nieszczęśliwy wypadek”, bo przecież sam nie przejawiał „przestępczych skłonności”. Deklarował szczerą chęć uczestnictwa w „odbudowie Demokratycznej Polski Ludowej razem z Narodem” zaznaczając, że ma gospodarstwo na Ziemiach Odzyskanych, które „nie może być racjonalnie uprawiane z uwagi na brak sił fachowych”.

I choć Bolesław C. zapewniał „Obywatela Prezydenta, jako Ojca

Narodu, że po raz wtóry nie wejdzie w kolizję z prawem”, wnioski o ułaskawienie zostały pozostawione bez biegu.

JEDEN
CIOS ZA
MATKĘ

- Wicek, czy wiesz o co chodzi? O wodę! - po wypowiedzeniu tych słów Stanisław K., ugodzony nożem w głowę, padł na ziemię.

Choć adwokat walczył o niego jak lew, Wincenty S. trafił za kraty. Sędziów nie przekonał, że była to obrona konieczna. Za zabójstwo sąsiada odsiedział... dwa lata.

Wieś Sława. Dziś leży ona w granicach administracyjnych powiatu świdwińskiego, w gminie Świdwin. W latach 1946-1954 była gromadą gminy Biały Zdrój, położonej w województwie szczecińskim i koszalińskim. W 1946 roku mieszkały tam dwie rodziny - K. i M., których losy zostały na zawsze połączone zbrodnią. Był alkohol, sporo przypadkowości i kłótnia o błahą sprawę - o wodę ze studni.

23 czerwca 1946 roku po godz. 22 Maria K. poszła wraz z siostrą do zagrody sąsiadki Darii M. po wodę. Kiedy czerpały ją ze studni do blaszanego naczynia, z gospodarstwa wybiegła Daria M. Wylała kobietom wodę, zabroniła korzystania ze studni, a wiadrem uderzyła jeszcze ciężarną siostrę Marii. Między trzema kobietami wywiązała się regularna bójka. Bójka na tyle poważna, że doszło do rozlewu krwi, a Daria M. pobiegła pokazać efekty starcia swemu synowi.

- Wody nie chciałam im dać, bo byłam na nich zła - 5 5-letnia gospodyni Daria M. tłumaczyła śledczemu Milicji Obywatelskiej trzy dni po awanturze. Na krzyki bijących się kobiet zareagowali mężczyźni - w tym brat dwóch pań, które przyszły do studni i ich mężowie. - Poczęli mnie bić i wybili trzy szyby. Ja uciekłam i dałam znać synowi Wincentemu S., który zszedł z łóżka i poszedł na podwórze. Co się działo dalej, nie wiem - tłumaczyła, a pod zeznaniami podpisała się trzema krzyżkami.

Świadków zdarzeń było jednak wielu. Mąż Marii K. - Tadeusz: - Ze szwagrem nie daliśmy im się bić. Żona moja poszła do domu, jak również i Daria M. Po jakiejś chwili nadszedł Wincenty S. i zaczął bić 23-letniego Józefa K., brata Marii. Na to nadszedł drugi brat - Stanisław, który zbliżył się do Wincentego, celem dowiedzenia się, o co mu się rozchodzi. W tym czasie Wincenty uderzył czymś w głowę Stanisława, który upadł na ziemię, zalewając się krwią.



33-letnia Maria K. w efekcie sprzeczki o wodę straciła brata. Przyznała, że doszło do awantury i do rękoczynów przy studni. - Nadszedł wtedy mój brat Józef i szwagier, którzy nas rozdzielali. Po jakimś czasie nadszedł i Wincenty S., który uderzył mojego brata Józefa. Widząc to drugi mój brat Stanisław podszedł do S., zapytując o co mu się rozchodzi. S. nic nie odpowiedział, tylko uderzył brata mego

Stanisława w głowę. Stanisław natychmiast upadł na ziemię, zalewając się krwią. Czemu uderzył Wincenty mojego brata, tego nie wiem. Moja rodzina zawsze żyła w zgodzie z jego rodziną - zwięźle opisała.

26-letni Wincenty S., rolnik, mąż i ojciec dwojga dzieci - 5-letniego i 3-tygodniowego szkraba, nie wypierał się, że zadał cios. - 23 czerwca do mojego mieszkania weszła matka Daria M., która pokazując mi zakrwawione ręce i twarz powiedziała, że napadli na jej dom. Napadli Józef G., Józef K. i Tadeusz K. I pobili ją. Ja, będąc w stanie pijanym, wyleciałem z łóżka i pobiegłem do domu matki. Wtedy wszyscy napastnicy z niego wychodzili. Zapytałem się ich: „co robicie za awantury o takiej późnej godzinie?”. Józef K. doszedł do mnie i uderzył mnie - relacjonował. „Stan pijany” potwierdził jeden z kolegów Wincentego. Otóż tego wieczora wypili we dwóch przeszło... litr spirytusu!

Według opisu zdarzeń podejrzanego, mężczyźni zaczęli się bić. - W tym czasie nadbiegł Stanisław K. i uderzył mnie w ucho. Mając przed sobą wielu napastników i widząc, że nie dam im rady, wyjąłem z kieszeni nóż, którym uderzyłem Stanisława - przyznał. Obawiając się zemsty, noc spędził na polu, pod gołym niebem.

27 czerwca Sąd Grodzki w Białogardzie postanowił aresztować Wincentego S. Błyskawicznie do akcji wkroczył koszaliński adwokat Józef Piechowicz. To postać, która w historii tej zdecydowanie wysuwa się na pierwszy plan. Akta sprawy pełne są pism, zażaleń i wniosków - nie będzie przesadą stwierdzenie, że klienta bronił, jak lew. Pierwsze zażalenie dotyczy właśnie postanowienia Sądu Grodzkiego o tymczasowym aresztowaniu Wincentego S. I już w nim adwokat nie kryje przyszej linii obrony, podnosząc, że matka podejrzanego została napadnięta „przez denata i jego rodzinę, którzy naszli dom jego rodziców i demolowali, urządziła i gdy ten przyszedł na ratunek wezwany przez matkę, wszczęli z nim bójkę i potłukli go dotkliwie, bijąc go w kilkoro sztachetami i innymi drągami” - pisał adwokat. „Działając w stanie wyższej konieczności miał prawo użyć wszelkiej obrony, celem ratowania swego życia i swych najbliższych. Był on właściwie bezbronnym, gdy przybiegł na miejsce ratować rodziców, bo trudno nazwać bronią mały scyzoryk (...). Los pokierował jego ręką, inaczej sam przypłaciłby życiem (...)”. Adwokat Piechowicz uwypuklił też trudną sytuację rodzinną Wincentego S. 26-letni rolnik miał pod opieką dwoje dzieci, w tym trzytygodniowe maleństwo. „Gospodarke całą zabrali mu siłą miejscowy wójt, sołtys zaraz po jego aresztowaniu.

Poza tym on niezbędnie potrzebny jest dla akcji zniwnej na swej gospodarce i rodziców” - przekonywał. Jednak bezskutecznie, bo decyzja o aresztowaniu została utrzymana w mocy.

Data 30 sierpnia 1946 roku opatrzony jest akt oskarżenia przeciwko Wincentemu S. Samo tragiczne w skutkach wydarzenie opisane jest w zaledwie kilku zdaniach - kobiety poszły po wodę, doszło do kłótni, bójki, oskarżony zaczął się szamotać z jednym z mężczyzn, a kiedy drugi podszedł i zapytał o przyczynę zajścia, dostał śmiertelny cios. „Oskarżony ugodził wtenczas Stanisława K. nożem w głowę, na skutek czego Stanisław K. z powodu uszkodzenia jamy czaszkowej i mózgu zmarł. Oskarżony przyznaje się do zadania uderzenia scyzorykiem w głowę, tłumacząc się tym, że sam został napadnięty i uderzony, i że działając w obronie własnej nie wiedział, gdzie uderza oraz że był w stanie podchmielonym” - streścił wiceprokurator W. Kaczkowski.

Na to adwokat Józef Piechowicz wystosował sprzeciw. Domagał się umorzenia postępowania z powodu braku znamion przestępstwa w zarzucanym czynie. Uzasadniał, że Daria M., matka oskarżonego, została napadnięta, zakrwawiona przybiegła do syna z prośbą o ratunek, ten pobiegł do jej domu, gdzie napastnicy wszczęli z nim bójkę. A on działał w obronie koniecznej.

Do sądu wpłynęło też zaświadczenie, wystosowane przez mieszkańców gminy. „Zaświadczają” oni, że Wincenty S. „był wzorowym i pracowitym gospodarzem”, prowadził kuźnię i „pomagał w reperacji maszyn i urządzeń rolniczych”, a w „czasie swego pobytu podczas zabaw publicznych, czy to prywatnych, zachowywał się wzorowo, świecąc niejednemu przykładem”.

28 października 1946 roku sprawa Wincentego S. trafiła na wokandę Sądu Okręgowego w Koszalinie. 26-letni mężczyzna podtrzymał swoje wcześniejsze wyjaśnienia - przyznał, że uderzył, ale zapewniał, że nie miał zamiaru zabić. Tłumaczył, że niemiłosiernie bity, zasłaniając rękami głowę, wyciągnął scyzoryk i zaczął nim wymachiwać we wszystkich kierunkach. A jeden z ciosów trafił Stanisława K. - sąsiada, z którym żył w zgodzie - w głowę.

Po krótkiej rozprawie sędziowie zadecydowali o zakwalifikowaniu czynu z artykułu 225 paragraf 2 ówczesnego Kodeksu karnego, który stanowił: kto zabija pod wpływem silnego wzruszenia podlega karze więzienia do lat 10. Skazali Wincentego S. na 4 lata za kratami.

Sąd nie miał wątpliwości, że za wszczęcie drugiej - tej „męskiej” - bójki odpowiedzialny był oskarżony. „Pobiegł w kierunku mieszkania

swej matki, po drodze spotkał Józefa K., wracającego z matką do domu i nie wiele myśląc począł ich bić. Kobieta upadła na ziemię. Bójkę tę zauważył Stanisław K., który podbiegł do bijących, chcąc ich rozpedzić, wołając do oskarżonego „Wicek, czy wiesz o co chodzi? O wodę!”. Po wypowiedzeniu tych słów padł na ziemię, ugodzony nożem przez oskarżonego.” - uzasadniał wyrok sędziego. W jego ocenie fakt użycia noża w bójce dał podstawę do przyjęcia, że sprawca nawet jeśli nie miał bezpośredniego zamiaru zabicia, musiał się liczyć z tym, że zadane rany mogą spowodować śmierć człowieka. Sąd uznał, że skoro napastnikiem był Wincenty S. o obronie koniecznej nie może być nawet mowy.

Jako okoliczność łagodzącą sędzia Kukła przyjął przyznanie się do winy, dotychczasową niekaralność i młody wiek. „Z drugiej jednak strony oskarżony swym czynem pozbawił życia człowieka niewinnego i młodego, przed którym życie stało otworem i na którego pracę tu, na Ziemiach Odzyskanych, czekało społeczeństwo polskie, wyniszczone i przetrzebione okrutną okupacją niemiecką” - w uzasadnieniu wyroku wybrzmiewają echa zakończonej w poprzednim roku II wojny światowej.

Obrońca Wincentego S. apelował od wyroku koszalińskiego sądu. 30 grudnia 1946 roku w Wydziale Karnym Sądu Apelacyjnego w Gdańsku wyrok został jednak podtrzymany.

W lutym 1947 roku ustawa o amnestii objęła 76 tys. 774 osoby, w tym Wincentego S. Kara 4 lat więzienia została mu zmniejszona do lat 2.

O łaskę prezydenta błagała żona osadzonego w goleniowskim więzieniu mężczyzny. Jej prośba została pozostawiona bez biegu.

BUNTOWNIK ZZA KRAT

- Wychodźcie, jesteście wolni! - wołał, otwierając kolejne cele. Chwilę wcześniej zaatakował strażnika, który cudem wyszedł z życiem. Więźniowie nie uciekli. Stanęli w obronie mundurowego.

Brutalny napad na strażnika. Kradzież pęku kluczy, próba wywołania buntu wśród współosadzonych i ucieczki zza krat. Takie rzeczy tylko w filmie? Nie tylko, bo iście filmowe scenariusze pisze samo życie. A czasem można wręcz rzec, że... lepiej tego scenarzysta by nie wymyślił. W roku 1946 takie właśnie sceny rozegrały się w areszcie przy ul. Młyńskiej w Koszalinie. Zakończyły się zarzutem usiłowania zabójstwa i surową karą.

Jak długo 26-letni Wincenty S. planował próbę ucieczki - tego nie dowiemy się już nigdy. Do zarzucanego mu usiłowania popełnienia zbrodni w toku postępowania się nie przyznał. Ale to, czego wspólnie z dwoma kolegami z celi się dopuścił, widzieli inni. Widzieli i zrelacjonowali. Wincenty zaprzeczał, a to tylko zadziało na jego niekorzyść.

16 maja 1946 roku. Po godz. 20 strażnik więzienny Tadeusz F. rozpoczął wieczorny obchód po korytarzach aresztu przy ul. Młyńskiej w Koszalinie. Zaszedł do celi nr 95, w której osadzeni byli tzw. kalifaktorzy, czyli więźniowie funkcyjni. Pełnili oni służbę porządkowych na terenie zakładu. Podczas rozmowy strażnik usłyszał pukanie, dobiegające z celi nr 109. Więźniowie krzyczeli, że chcą opróżnić nocniki. Strażnik poszedł otworzyć im drzwi. Na szczęście zapomniał zamknąć kalifaktorów. - Gdy otworzyłem drzwi do celi nr 109, wyszli z niej Wincenty S. i Stanisław Z. z pełnymi nocnikami - zeznawał 21-letni funkcjonariusz ówczesnej Straży Więziennej. - Udali się do ustępu, a po chwili wrócili z opróżnionymi nocnikami. Najpierw do celi wszedł Z., a po nim S., który - kiedy chciałem zatrzasnąć drzwi, rzucił się na mnie, chwycił mnie pod gardło i zaczął mnie dusić. Dосkoczył do mnie wtedy Z. oraz Feliks P. i przewrócili mnie na korytarzu. Wyrwali mi z ręki klucze. Stanisław Z. chwycił mnie za gardło i dusił, a Wincenty S. wepchnął mi rękę do ust. Udało mi się na chwilę tę rękę wyrwać i zawołać o pomoc. Gdyby nie pomoc, na pewno by mnie udusił - podsumował.

I słowa te nie były przesadzone. Kiedy krzyk usłyszeli więźniowie z celi nr 95, rzucili się mundurowemu na ratunek. Zalany był krwią. Płynęła z nosa i z ust, do których całą dłoń wepchnął Wincenty S. Pięciu kalifaktorów rzuciło się na ratunek Tadeuszowi F. Jeden z nich stoczył bójkę z Feliksem P. Kolejny pomógł strażnikowi skryć się w więziennej

fryzjami, oddzielonej kratą od pozostałej części aresztu, skąd wszczęto alarm. Trzeba było działać szybko, bo Wincenty S. pootwierał inne cele, namawiając więźniów do ucieczki.

W „czystowojskowej” - jak sam określił - celi nr 96 siedział Mieczysław N. - Usłyszałem na korytarzu jakieś hałasy i krzyki - zeznawał. - Po chwili ktoś otworzył drzwi do naszej celi i zawołał „wychodźcie”. Pozostali więźniowie zwrócili ku mnie twarze, jako najstarszemu, i oczekiwali, co ja powiem. Wtedy domyśliłem się, że to napad na służbę więzienną i zawołałem „zamknąć drzwi”. Jeden z więźniów z naszej celi je przymknął. Po chwili ktoś ponownie od korytarza je otworzył i zawołał: „dlaczego nie wychodzicie?”, na co ja krzyknąłem do niego „zamknąć drzwi”.

Pierwszy na pomoc Tadeuszowi F. rzucił się 19-letni Stanisław G., więzień funkcyjny z celi nr 95. - Kiedy wybiegłem na korytarz, zauważyłem rozkrzyżowanego na podłodze Tadeusza F. Wincenty S. leżał na nim i dusił go. Stanisław Z. klęczał na jego prawej ręce, Feliks P. na lewej. Kiedy oderwałem S. od funkcjonariusza, rzuciłem się na P., a Z. odskoczył sam. Wtedy dobiegli pozostali więźniowie z mojej celi. Jeden zabrał strażnika do fryzjami, skąd zaalarmowali wartowników, znajdujących się na podwórzu więzienia. Ci nadbiegli, oznajmiając swoją obecność wystrzałem z broni. Szybko opanowali sytuację.

Przeciwno współnikom napadu - Stanisławowi Z. i Feliksowi P. toczyły się osobne postępowania. Z. - w Sądzie Wojskowym OW II w Koszalinie, P. - w Sądzie Wojskowym 18. Dywizji Piechoty w Białymstoku. Protokół doniesienia w sprawie Wincentego S. trafił do Prokuratury Sądu Okręgowego w Koszalinie.

Protokół dochodzenia w sprawie usiłowania ucieczki więźniów w dniu 16 maja 1946 r. opatrzony jest adnotacją „do wyciągnięcia jak najdalej idących konsekwencji”. Ówczesny naczelnik więzienia ppor. St. Rydlewski podpisał się pod słowami: „(...) więzień śledczy S. Wincenty chciał popełnić zabójstwo, chcąc zamordować funkcjonariusza straży więziennej oddz. Tadeusza F. przez uduszenie i wypuścić wszystkich więźniów, znajdujących się w więzieniu kar.- śled. w Koszalinie. Oddziałowy F. Tadeusz usiłował ratować się przed mordercą z pomocą kalifaktorów: Adolfa K., Stanisława G., Stefana G. i Bolesława K. (...) morderca został ukarany trzydniowym aresztem ścisłym, jednotygodniowym pozbawieniem spaceru i pozbawieniem otrzymywania czterech paczek żywnościowych. (...)”

Akt oskarżenia do Sądu Okręgowego w Koszalinie wpłynął 17 lipca

1946 roku. Zarzut - usiłowanie zabójstwa. Oskarżony do winy się nie przyznał. Z wersją świadków i pokrzywdzonego zgadzał się jedynie fakt, że... nocniki były przepełnione. - Zapukałem w drzwi, aby nam pozwolono je opróżnić - wyjaśniał. - Oddziałowy F. otworzył drzwi i dwóch więźniów z mojej celi - P. i Z. - wyniosło kubły do ustępu. Ja wyszedłem z nimi po wodę do mycia naczyń. Pierwszy wróciłem z wodą. Gdy zająłem się myciem naczyń, zauważyłem, że P. i Z. szarpią się na korytarzu z Tadeuszem F. Po chwili usłyszałem strzał. Kto strzelał, nie wiem. Wyrząłem na korytarz i wszedłem znów do celi, gdyż nikogo tam nie zauważyłem. P. i Z. po powrocie z nocnikami mówili, że oddziałowy F. uderzył ich, na co oni mu oddali. Po pewnej chwili weszła do celi komisja więzienna i pytała się, kto dusił oddziałowego. Z. i P. przyznali się prawdopodobnie ponieważ nie chcieli zostać zamknięci w karczerze - opisywał.

16 sierpnia 1946 roku wiceprezes Sądu Okręgowego M. Kukła przewodniczył rozprawie, podczas której na ławie oskarżonych zasiadł 26-letni Wincenty S. Do winy się nie przyznał. Podtrzymał wcześniejsze zeznania. W ostatnim słowie oświadczył, że... nie ma nic do powiedzenia.

Ponieważ wszyscy świadkowie, w tym pokrzywdzony oddziałowy, podtrzymali wcześniejsze zeznania, spójne, malujące jedną tylko wersję zdarzeń, prokurator śmiało wniósł o jak najsurowszy wymiar kary.



Sąd uznał Wincentego S. za winnego usiłowania zabójstwa funkcjonariusza i wymierzył mu karę 12 lat więzienia oraz odebrał mu prawa publiczne i obywatelskie na lat osiem. „(...) Sąd, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności towarzyszące zajściu i zajście to poprzedzające, uznał, że oskarżony S. niewątpliwie działał w zмовie z innymi więźniami, szczególnie z Z. i P, z którymi dokładnie plan działania i sposób usunięcia głównej przeszkody na wolność omówił. Usunięcie strażnika więziennego nie mogło wywołać hałasu, unicestwienie tego w danych okolicznościach musiało nastąpić niespodziewanie, cicho, więc przez uduszenie” - czytamy w uzasadnieniu wyroku. Dlatego sąd przyjął, że S. zaplanował zabójstwo strażnika, a nie zrobił tego, bo z pomocą ofierze przyszli inni więźniowie. Za okoliczność łagodzącą sędziowie przyjęli młody wiek oskarżonego, a obciążającą - brak skruchy, „uporczywe zaprzeczanie oczywistym faktom, wreszcie potworny sposób próby pozbawienia

życia pełniącego ciężki obowiązek strażnika więziennego, mordowanego ściskaniem mu gardła i wpychaniem ręki do ust aż do ukazania się krwi. (...) Zarazem wobec tego, że oskarżony dopuścił się tej zbrodni z najniższych pobudek, mających swe źródło w najgorszych instynktach, którymi kierowany zamierzał dokonać mordu na człowieku w stosunku do niego całkowicie niewinnym i to tylko w celu wydostania się na wolność, decydując się poświęcić za cenę jej uzyskania życie ludzkie” sędziowie orzekli o utracie praw publicznych oskarżonego. Niespełna dwa tygodnie po rozprawie Wincenty S. sporządził prośbę o zastosowanie prawa łaski do Prezydenta Krajowej Rady Nadzorczej. Już nie twierdził, że jest niewinny. Zarzekał się za to, że działał „w stanie najwyższego załamania psychicznego po przebytej chorobie i uwięzieniu”. Przyrzekł w owym piśmie, że więcej już zbrodni się nie dopuści i zapewnił, że pragnie konstruktywnie pracować dla dobra Polski Demokratycznej. Takie prośby więźniów były dość szczegółowo rozpatrywane. W związku z tym o opinię na temat Wincentego

S. poproszony został burmistrz Tuczna, miejscowości, z której za koszalińskie kraty za kradzież trafił. „Przez cały czas przebywania w Tucznie ob. Wincenty S. dał siebie poznać jako awanturnika, szabrownika i był wykonawcą zleceń swego ojca Stanisława, który w tym czasie pełnił funkcję wiceburmistrza (zabierał rzeczy od Niemców, kozy, zegary, prowadził handel tymi rzeczami i z tego pił wódkę)” - to fragment oświadczenia burmistrza.

Kolejne prośby o ulaskawienie pozostawały jednak bez biegu. Również te, pod którymi podpisała się matka Wincentego, przekonując prezydenta Bolesława Bieruta, że syn był dla niej i jej głuchoniemej córki „podporą i nadzieją”. Pisała też głuchoniema siostra, argumentując, że brat był jej żywicielem, bo sama ze szkół skorzystać nie mogła i zawodu żadnego się nie wyuczyła.

Wreszcie pismo do Bolesława Bieruta popełnił i Wincenty S. „Dwa lata mija, jak ja zostałem skazany wyrokiem Sądu Okręgowego w trybie doraźnym na 12 lat więzienia. Z tego wyroku amnestia z lutego 1947 r. zdjęła mi 4 lata. Od chwili tej, kiedy chciałem popełnić ten czyn i który mi co dzień prawie staje przed oczyma, i który budzi we mnie wspomnienia bardzo smutne i bardzo bolesne, życie moje stało się dla mnie ciężarem większym niż kiedykolwiek, albowiem z chwilą tą stałem się wyrzutkiem społeczeństwa, ściągnąłem na życiodawców moich wstyd i hańbę, smutki i cierpienia, na mnie zaś długoletnie

więzienie. Życie to bezradosne i męczące, które doprowadziło mnie nieraz do zwątpienia i rozpaczony nie zdawałoby mi się może tak ciężkim i przygnębiającym, gdyby nie nasuwający mi się wciąż obraz, przedstawiający mi moich biednych, zrozpaczonych rodziców i dręcząca mnie myśl, że może ich nigdy już nie zobaczę (...)” - pisał. Pisał wprost do, jak to ujął, „ojcowskiego serca Obywatela Prezydenta o danie możności do szczerego udziału w odbudowie wolnej Ojczyzny”.

Słowa z pewnością piękne, ale czy do końca szczerze? W opozycji z nimi stoi opinia na temat więźnia Wincentego S. z 1950 roku. „Więzień S. Wincenty (...) wykazał wrogą działalność wobec Polski Ludowej i jej Rządu. Zatrudniony jest na kopalni węgla, gdzie pracę swą wykonuje z musu. W stosunku do wymierzonej kary przyznaje się do winy i uważa wyrok za słuszny, jest więźniem niezdyscyplinowanym i nieposłusznym, wobec przełożonych odnosi się arogancko, jest zarozumiały i uparty, za czas odbywania kary dyscyplinarnie karany był kilkakrotnie za awantury i pobicie, i rozsiewanie wrogiej propagandy wobec Polski i odchylanie się od pracy itp.” - podsumował w grudniu 1950 roku naczelnik więzienia w Bytomiu, gdzie trafił Wincenty S. Więzienia, z którego nie uciekł.

SZEŚCIOLETNI ŚWIADEK ZBRODNI

Przez niemal rok Wiktoria P. ukrywała prawdę o losach swego dwutygodniowego maleństwa. Dopiero zeznania sześciolatniej córki ukazały mroczną historię dzieciobójczyni.

W piątym dniu listopada 1947 roku, kierownik referatu śledczego komendy powiatowej milicji Marian Trzcński pojechał do gminy Będzino (pow. koszaliński) na oględziny miejsca, w którym zostało odnalezione ciało noworodka. Była to miejscowość Bast (dzisiejsze Łekno). W zaroślach olszynowych, w odległości czterech metrów od rowu odwadniającego, pod drzewem odnalazł zwłoki dziecka w pełnym rozkładzie, „rozsypane się za dotknięciem” - napisał w protokole. „Odległość od drogi wiodącej z Będzina do jeziora, do zarośli olszynowych około 800 metrów” - ocenił milicjant.

Sprawa ta wyszła na jaw dzięki podejrzliwości gospodarza, Bolesława T., u którego od maja 1947 roku pracowała 39-letnia Wiktoria P. Kobieta była w ciąży, w lipcu 1947 roku urodziła dziecko. Dziewczynkę. - Przyjmując ją do pracy nie wiedziałem, że jest w ciąży. Ukryła ten fakt przede mną - zeznawał gospodarz podczas rozprawy w Sądzie Okręgowym w Koszalinie. - Z początku pracowała chętnie, potem zaczęła się skarżyć, że jest chora. W końcu okazało się, że jest w ciąży. Żona moja spytała, kiedy spodziewa się rozwiązania. Powiedziała, że na jesień. Tymczasem w nocy, 7 lipca, dostała bólu porodowego - opisywał.

Gospodarz przywiózł akuszerkę. Poród przebiegł normalnie. Bolesław T. przez tydzień zabronił Wiktorii wychodzić z łóżka, a później polecił jej zameldować dziecko w gminie. - Odpowiedziała, że meldować nie będzie, gdyż dziecko odwiezie do brata do Bydgoszczy i tam dopełnią już formalności - tłumaczył sądowi gospodarz. Mężczyzna dał swojej pracownicy 500 złotych na podróż. Wyjechała 18 lipca, wróciła dwa dni później. - Powiedziała, że brat i bratowa byli zadowoleni, że im zostawiła dziecko, a ona sama, nie chcąc tracić czasu, wróciła - opisywał Bolesław T.

Niepokój jego i jego żony wzbudziło zachowanie Helenki, 6-letniej córki Wiktorii P. Dziewczynka towarzyszyła mamie i małej siostrze w rzekomej wyprawie do Bydgoszczy, ale nie chciała o niej opowiadać.

Podpytywana o wrażenia z podróży milczała i patrzyła pytająco na mamę.

Pewnej nocy, według relacji gospodarza, jego pracownica uciekła. We wsi już się mówiło, że dziecka do Bydgoszczy wcale nie zawiozła. Widziana była bowiem we wsi Bast. Ktoś zauważył ją z dzieckiem. Ktoś inny już bez dziecka. Mnożyły się plotki.

Na 24 października 1947 roku datowany jest pierwszy protokół przesłuchania, które przeprowadził milicjant. Wiktoria P. przedstawiła wersję, jakoby z noworodkiem pojechała do brata do Bydgoszczy, ale na stacji Krzyż dziecko zmarło. - Wysłałam wtedy z pociągu i chciałam dziecko pochować. Poszłam na cmentarz, tam był grobowy, który mi nie pozwolił tego dziecka pochować, bo nie było chrzczone. Powiedział, że trzeba je pochować za cmentarzem. Więc ja mu powiedziałam, żeby ze mną poszedł i to zrobił. Za to dałam mu 10 złotych. Gdy dziecko było już pochowane, do brata niejechałam, tylko wróciłam do Będzina pracować, do gospodarza Bolesława T. Tam długo już nie pracowałam, bo bił moją córkę, a mnie poniewierał, jak najgorszego psa - wyjaśniała 39-letnia kobieta.

Dzień później Wiktoria P. została przesłuchana już w charakterze podejrzanej. Do „rozmyślnego uśmiercenia dziecka” się nie przyznała. - Natomiast przyznaję się, że zwłoki dziecka bez zgłoszenia w Urzędzie Stanu Cywilnego pochowałam w lesie koło Będzina - powiedziała. Tym razem przedstawiła inną wersję zdarzeń. Córeczkę chciała oddać na wychowanie bratu, ale... - W Białogardzie na stacji kolejowej pozostawiłam dziecko pod opieką drugiej córki, sama natomiast poszłam do bufetu zagrzać mleko na pokarm. Kiedy wróciłam, noworodek krwawił silnie z ust i po kilku minutach zmarł. Co było powodem śmierci dziecka, nie wiem. Ja w każdym razie do popełnienia zbrodni się nie przyznaję - oświadczyła.

Tym razem tłumaczyła, że zabrała zwłoki dziecka w drogę powrotną, zakopała je w lesie, w dole, który „wygrzebała rękami”, wróciła do gospodarza T., któremu powiedziała, że córkę oddała na wychowanie bratu.

27 października 1947 roku komendant powiatowy MO podpisał wniosek o tymczasowe aresztowanie Wiktorii P., podejrzanej o dokonanie dzieciobójstwa.

Sędzia śledczy Sądu Okręgowego w Koszalinie przesłuchał Wiktorię R dzień później. Maleńka dziewczynka była jej czwartym dzieckiem. 39-letnia kobieta była zamężna, wychowywała tylko 6-letnią Helenę.

Z mężem nie żyła od roku. Pozostałą dwójką dzieci - 15- i 12-letnim, opiekował się mąż. I tym razem Wiktoria nie przyznała się do zabójstwa dziecka. Utrzymywała, że maleństwo zmarło w Białogardzie. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nie zawiadomiła o tym odpowiednich władz, tylko zakopała ciało w lesie.

Po przesłuchaniu kobieta została aresztowana.

11 listopada 1947 roku prokurator J. Kulicki podpisał się pod zwięzłym aktem oskarżenia. Wiktorii P. zarzucił popełnienie zbrodni z art. 225 par. 1 ówczesnego Kodeksu karnego, czyli zabójstwa, za które groziło jej od 5 lat pozbawienia wolności nawet do kary śmierci. „W zamiarze pozbawienia życia swego dziecka wywiozła je z Będzina i w miejscu oraz w sposób bliżej nieustalony pozbawiła je życia” - pisał prokurator. Zauważył też, że sprawa ujrzała światło dzienne na skutek podejrzliwości Bolesława T., a podejrzana w toku śledztwa dwukrotnie zmieniła zeznania.

Rozprawa przed Sądem Okręgowym w Koszalinie odbyła się 6 lutego 1948 roku. Wiktorii P. znów nie przyznała się do winy.

- Ojcem nieżyjącego dziecka był mój mąż. Ja z nim już nie żyję. Miał kochankę, zbił mnie i wypędził z domu. Wypędził, kiedy byłam w ciąży - rozpoczęła historię. - Dziecka nie meldowałam, dlatego że brat mój, który jest bezdzietny i mieszka w Bydgoszczy chciał je wziąć za swoje. Pojechałam do niego pociągiem. Wsiadłam na stacji w Będzinie i jechałam w kierunku na Koszalin. Tam przesiadłam się na pociąg do Białogardu, gdzie czekałam na pociąg w kierunku na Krzyż. W Krzyżu na stacji dziecko mi umarło. Spadło z ławki w poczekalni, gdy poszłam do bufetu zagrzać mleko. Jakaś kobieta je podniosła. Gdy przyszłam, już nie żyło - po raz trzeci zmieniła zeznania.

Świadców w sprawie było tylko dwóch - pracodawca oskarżonej

- Bolesław T. oraz milicjant, który prowadził śledztwo. Słowa tego drugiego miały dla sądu ogromne znaczenie. Przepytał on bowiem 6-letnią Helenkę, córkę oskarżonej. Dziewczynka powiedziała mundurowemu, że matka zabrała ją i maleństwo na spacer, szły wzdłuż torów kolejowych, w pobliżu lasu mama kazała córce zatrzymać się i poczekać, a sama poszła z noworodkiem w kierunku zarośli. - Dziecko było wtedy żywe, a po jakimś czasie matka wróciła z płaczem, ale już bez dziecka - opisał milicjant. Dziewczynka wskazała też dokładnie miejsce ukrycia zwłok w Bast (Łekno), co uwiarygodniło jej wersję.

Oskarżyciel publiczny wniósł o surowy wymiar kary, a oskarżona oświadczyła, że poddaje się ocenie sądu.

Sąd uznał Wiktorię P. winną zbrodni zabójstwa i wymierzył jej karę 8 lat pozbawienia wolności. Pozbawił ją też praw rodzicielskich w stosunku do pozostałych dzieci.

„Sąd nie dał wiary wyjaśnieniom oskarżonej odnośnie wypadku z dzieckiem w czasie podróży i uznał je za usiłujące wprowadzić w błąd,

a to dlatego, że świadek Jan K., który przeprowadzał dochodzenie w sprawie zabójstwa dziecka zeznał, że córka Helena dokładnie wskazała drogę, którą szła oskarżona z dzieckiem żywym do lasu. (...) Sąd wziął pod uwagę jako okoliczność łagodzącą tylko dotychczasową niekaralność oskarżonej oraz to, że była pozbawiona opieki mężowskiej. Jako okoliczność obciążającą - sposób dokonania zabójstwa, zwyrodnienie kobiety matki, brak czynnego żalu za popełnione zabójstwo (...)”- w ślad za aktem oskarżenia uzasadnienie wyroku jest konkretne i związane.

Wiktoria P. 11 dni po rozprawie odwołała się od wyroku do Sądu Apelacyjnego w Gdańsku. W odręcznie sporządzonym piśmie podniosła argument, że wskutek rozkładu zwłok dziecka nie można było ustalić przyczyny śmierci, a skoro ona do winy się nie przyznała, to sędziowie kierowali się „wyłącznie domniemaniem”.

„Wysoki wymiar kary sąd motywuje również „momentem odstraszenia osób postronnych”. Dlaczego ja mam być ofiarą przykładu? Przecież i tak jestem ofiarą tragicznego losu, mąż mnie opuścił, pozostałam sama, życie mam złamane i jeszcze mam być ofiarą odstraszonego przykładu” - wylewała swe żale. Podkreśliła też, że nie miała obrońcy, który mógłby dowieść, że jej jedyna wina polegała na tym, iż nie zameldowała dziecka i nie zgłosiła faktu jego zgonu.

20 maja 1948 roku doszło do przełomowego momentu w tej historii. Sędziowie zdecydowali się przesłuchać 6-letnią Helenkę P. Dziecko opisało wydarzenia sprzed kilku miesięcy.

- Zeszłego roku latem jechałam z matką i nowo narodzoną siostrzyczką do Bydgoszczy. Tak mi mama powiedziała. Z Będzina wyszliśmy pieszo i po drodze koło wody w zaroślach matka udusiła dziecko, po czym zakopała je przy drodze. Później razem z matką wyjechałyśmy do Koszalina, a następnego dnia wykopała dziecko i zakopała głębiej w lesie, na koniec jeszcze przykryła gałęziami. Widziałam, jak matka dusiła dziecko ściskając rękami za szyję. Na stacji kolejowej Krzyż nie byliśmy. Nie jest prawdą, że siostrzyczka spadła z ławki na główkę. Milicjantowi nie mówiłam, że matka udusiła dziecko. Nie chciałam tego powiedzieć - opisała.

Pod protokołem, w którym znajdu je się też adnotacja, że dziecko „robi wrażenie prawdomównego” Helenka podpisała się trzema koślawymi krzyżykami.

2 lipca 1948 roku w Sądzie Apelacyjnym w Gdańsku odbyła się rozprawa odwoławcza. Wiktorii P. odczytane zostały zeznania jej 6-

letniej córki. W kobiecie coś pękło. Uznała, że nie ma sensu dłużej kłamać. Przyznała się do winy. - Dziecko udusiłam z rozpacz, gdyż mąż mnie porzucił i znalazł sobie kochankę. Mieszka w Szczecinku i jest rolnikiem. Miałam zarobek u gospodarza T., ale on mną poniewierał i bił, mnie i córkę - to jedyne zdania, które wypowiedziała na sali rozpraw.

Gdańska apelacja zatwierdziła wyrok koszalińskiego sądu orzekającego.

**BO OJCIEC
BYŁ
PORYWCZY**

Do wyroku skazującego wystarczyły poszlaki i kiepska opinia, jaka o Walentym G. krążyła we wsi. Kiedy zamordowany został jego syn, Józef, winę przypisano ojcu. Słusznie?

Od 28 lipca do 4 sierpnia 1948 roku milicjanci z posterunku w Czaplunku prowadzili dochodzenie w sprawie zabójstwa 16-letniego Józefa G., do którego doszło we wsi Stare Drawsko.

Funkcjonariuszy o przestępstwie zawiadomił Władysław K., sąsiad zamordowanego. „Udałem się natychmiast z dwoma milicjantami na miejsce wypadku i stwierdziłem, że zabójstwo zostało dokonane, lecz zwłoki nie znajdują się na miejscu rzekomego morderstwa, lecz zostały przez rodziców przeniesione do mieszkania, złożone na łóżku, a nawet już umyta twarz i nogi zabitego. Po obejrzeniu zwłok skonstatowałem, że zabity został uderzony tępym narzędziem w czoło nad prawym okiem i w prawą rękę oraz ma w czubie głowy ciętą ranę zadaną nożem czy też bagnietem” - w sprawozdaniu z dochodzenia pisał komendant posterunku MO w Czaplunku. Zaznaczył, że wszystkie ślady na miejscu zbrodni - w oborze, należącej do zabudowań gospodarstwa G. - zostały zatarte przez mieszkańców wsi, którzy przybiegli zobaczyć, co się wydarzyło. Nie były to czasy taśm zabezpieczających czy techników, pracujących niczym Lincoln Rhyme i Amelia Sachs na kartach „Kolekcjonera kości” i innych powieści kryminalnych Deavera. Skrupulatny mundurowy zaznaczył też, że stwierdzenie śladów usunięcia zwłok było niemożliwe, bo znajdujące się w oborze „dwie jałówki, trzy owce i trzy kozy stratowały nawóz na całej jej powierzchni”.

W mieszkaniu ofiary milicjant znalazł zakrwawioną koszulę i spodnie robocze z „plamą krwi na prawej nogawicy”, które należały do Walentego G., ojca 16-latka. To było podstawą do zatrzymania i przewiezienia mężczyzny na posterunek w Czaplunku oraz osadzenia w areszcie.

Przeprowadzona sekcja zwłok wykazała, że 16-letni Józef nie zginął od ciosów w głowę. Został uduszony. To zostanie jednak po kilku miesiącach podważone.

Brakowało narzędzia zbrodni, naocznych świadków, miejsce odnalezienia zwłok było zdeptane, ciało umyte, a jedyną poszlaką były zakrwawione ubrania ojca ofiary. Śledztwo musiało się oprzeć na wnikliwych przesłuchaniach. Na ich podstawie udało się odtworzyć przebieg dnia, który dla nastolatka zakończył się tragicznie.

27 lipca 1948 roku Józek woził z ojcem zboże z pola do stodoły. Około godz. 22, kiedy rozładowali ostatni ładunek żyta, Walenty sprowokował

kłótnię. Według zeznań jego żony, Franciszki, miał do niej i do syna pretensje, że zbyt późno i za mało pomogli mu w pracy. - Burczał na mnie mówiąc, że mi przywali widłami - relacjonowała kobieta. Wyznała, że życie z Wincentym było pasmem cierpień i upokorzeń.

- Był taki moment, że chciałam dzieci zabrać i wyjechać do Polski centralnej, do pracy w fabryce - zeznała sędziemu śledczemu. Dlaczego?

- Jako mąż i ojciec dzieciom oskarżony odnosił się stale ordynarnie do nich i do mnie. Były wypadki częstego bicia mnie, dzieci rzadziej. Mnie bił z byłego powodu, od razu trzasnął w twarz czy po karku. Pierwszy raz uderzył mnie dwa tygodnie po weselu, a później od czasu do czasu - zeznania te dowodzą, że o dochodzeniu swoich praw wiele kobiet kilkadziesiąt lat temu nawet nie myślało. Ratunkiem dla nich bywał co najwyżej zrealizowany plan ucieczki.

27 lipca 1948 roku skończyło się na kłótni. Po rozładowaniu zboża Walenty - jak zapewniła żona - poszedł spać. Józef pozostał na podwórzu, by nakarmić jeszcze zwierzęta. Poprosił matkę, by pozwoliła mu jeszcze odwiedzić harcerzy, którzy mieli obóz nieopodal ich zabudowań. Było to około godz. 23. 40-letnia Franciszka zeznała, że więcej syna już nie widziała.

46-letni Walenty do zabicia syna od początku się nie przyznawał. Również, kiedy składał wyjaśnienia sędziemu śledczemu. - O godzinie 23.30 żona zbudziła mnie na kolację, a po niej udałem się do stajni, by sprawdzić, czy jest zamknięta. Noc była jasna. Około godziny 24 wypuściłem psa z obory. Zawsze to robiłem po kolacji - tłumaczył. Na koniec zamknął oborę, w której to 28 lipca o godz. 5.30 znalazł ciało syna. Wcześniej zwłok - jak twierdził - nie zauważył, co w wątpliwość poddali śledczy: „Nie polega to na prawdzie, ponieważ nogi trupa leżały w odległości od progu tylko 70 centymetrów i gdy widział leżące cielecia, to na pewno, gdyby leżał wówczas trup jego syna, to z całą pewnością by go widział” - stwierdził milicjant, badający sprawę. Wyjaśnił też pochodzenie śladów krwi na koszuli i spodniach - powstały, kiedy prznosił ciało chłopaka z obory do domu.

Szczekające psy - ten wątek był szczególnie wnikliwie badany w tej sprawie. Sąsiad, który wezwał milicję, Władysław K.: - Oskarżony stale wychodzi na podwórze, kiedy w nocy psy szczekają, a w tę noc, mimo że psy mocno szczekały, nikt nie wychodził z mieszkania - zauważył. - Psy oskarżonego są złe i nie dopuszczają nikogo do mieszkania w nocy. Jest rzeczą wykluczoną, żeby kto obcy mógł wejść na podwórze, bo by

go psy rozszarpały. W tę noc oba były na podwórzu i czekały. Moim zdaniem nikt obcy wejść tam nie mógł.

Nie mógł, ale... od której godziny? Bo zdaniem Franciszki psy na podwórzu wypuszczone były już o 22, a nie przed północą.

Sąsiad zeznał też, że jego żona widziała sam moment otwarcia rano drzwi do obory. - G. otworzył, zajrzał i spokojnie zawołał żonę Franję: „Chodź tu coś ci pokażę!”. Ona załamała ręce i zaczęła krzyczeć. Wtedy wyszło ciele i Walenty tylko krzyczał do żony, żeby zapędziła ciele do obory - opisał. Dodał też, że nie wie, jaki cel mógłby mieć G., zabijając syna. - Najwyżej mógł to zrobić niechcąc, ze złości - zakończył zeznania sąsiad.

Komendant posterunku MO w Czaplinku zwrócił też uwagę na zeznania jednego z harcerzy, który stał na warcie obozowiska. Nocą usłyszał on przeraźliwy krzyk, pobudził kompanów, przeszukali najbliższą okolicę, jednak nie zauważyli nic podejrzanego.

W toku postępowania wyraźnie zaznaczyła się jeszcze jedna tragedia, która dotknęła rodzinę G. Dwa lata wcześniej na życie targnęła się Janina, córka Walentego. Walenty G. był porywczy i nieopanowany. Nikt mu w niczym nie dogodził, bił i maltretował nie tylko żonę i dzieci, lecz nawet zwierzęta domowe. Skutkiem tego maltretowania w 1946 roku pozbawiła się życia jego 18-letnia córka. Dziewczyna utopiła się w jeziorze.

Prokurator sformułował akt oskarżenia 8 listopada 1948 roku. Oskarżył Walentego G. o zabójstwo, o to, że w nocy z 27 na 28 lipca w zamiarze pozbawienia życia swego syna uderzył go tępym narzędziem w głowę, potem udusił. „Świadek (żona oskarżonego) oświadcza, iż przed dokonaniem zabójstwa, to jest około godz. 23, denat znajdował się jeszcze w obejściu gospodarstwa, a godzinę później Walenty G. sam zamykał oborę, w której rano znaleziono zwłoki. Świadek wyklucza, aby przed godz. 24, to jest przed zamknięciem obory, ktokolwiek z osób obcych mógł zwłoki w oborze umieścić (...)” - podkreślił w uzasadnieniu prokurator. „G. nie przyznał się do zabójstwa syna i wyjaśnił, że zamykając oborę nie zauważył znajdujących się tam zwłok, lecz jakim sposobem znalazły się one w zamkniętej oborze - tego wyjaśnić nie mógł”.

Rozprawę w Sądzie Okręgowym w Koszalinie wyznaczono na 17 grudnia 1948 roku. Oskarżony został na nią doprowadzony z koszalińskiego aresztu. Do winy się nie przyznał. A zeznania rozpoczął od... wyjaśnienia, dlaczego dwa lata wcześniej jego córka popełniła

samobójstwo. - Powodem była nieszczęśliwa miłość, zakochała się bowiem w żonatym człowieku, co wynika z listu, który mi zostawiła - stwierdził. Od razu dodał, że nad dziećmi się nie zęcał. W istotnej dla sprawy części podtrzymał swe zeznania. Spał, po godz. 23 zjadł kolację, wyszedł zamknąć oborę, która zamykała się tylko od zewnątrz, wtedy - a nie wcześniej - wypuścił psy. Popełnił jednak błąd - relacjonując zdarzenia poranka powiedział, że zaalarmował żonę słowami: „chodź zobacz, synowi się coś stało!”. Dopytywany, skąd wiedział, że „coś się stało”, skoro sam mówił, że śladów walki widać nie było - długo milczał. Wreszcie oświadczył: - Syn miał sine ręce i dlatego myślałem, że jest zabity. Lub zemdlony. Zakończył też, że o zabójstwo podejrzewa sąsiada, który się synowi często „odgrażał”.

Czy na pewno nie było cienia wątpliwości, że Walenty zabił? Wnikliwa analiza zeznań jego żony pozwala zauważyć pewne nieścisłości. Otóż przed sądem przyznała, że to ona chciała, by przenieść zwłoki syna z obory do domu i umyć ciało z gnoju. To podważa argument o zacieraniu śladów. Pojawił się też wątek dwóch obcych osób, które drugi syn - mały Zygmunt G. - tego wieczora widział przy obejściu. - Józka na kolacji nie było. Po kolacji psy zaszczekały. Jeden był na łańcuchu, drugi na lince - zeznał. - Wyszedłem popatrzeć. Widziałem dwóch uciekających, którzy wybiegli z podwórza koło piwnicy. Uciekali w kierunku szosy.

O ojcu synek powiedział jedno: - Tatuś nie bił mnie bardzo. Bił tylko wtedy, jak zasłużyłem.

Sędziowie zmienili kwalifikację czynu i uznali Walentego G. za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci, skazując go na osiem lat więzienia.

Pełnomocnik Walentego G. od wyroku złożył apelację. „Sprawa niniejsza jest wybitnie poszlakowa i wniosek o winie sąd oparł jedynie na rozumowaniu, że nikt inny, jak oskarżony, nie mógł zabić” - koszaliński adwokat Stanisław Żukowski rozpoczął długą listę zażaleń. Zauważył, że Sąd Okręgowy pominął wątek dwóch uciekających osób, które widział mały Zygmunt. „Mogli to być złodzieje, którzy spotkali się z powracającym Józefem i z obawy poznania zadali cios w głowę i przydusili go” - rozważał.

Nad sprawą pochylili się sędziowie Sądu Apelacyjnego w Gdańsku. Walenty G. wciąż nie przyznawał się do winy. Powołany biegły medyk sądowy stwierdził inną przyczynę zgonu - nie uduszenie, ale wstrząs mózgu w wyniku kilkukrotnego uderzenia tępym narzędziem w głowę,

który to doprowadził do śmierci.

3 czerwca 1949 roku wyrok koszalińskiego sądu został uchylony - gdański skład również uznał Walentego G. za winnego nieumyślnego spowodowania śmierci syna, ale skrócił czas odsiadki - z ośmiu do pięciu lat. Czy słusznie? To wiedział już tylko więzień.

URĄŻONA DUMA

Przekonany, że wraz z otrzymaną pepeszą posiadł potężną władzę,
żądał bezgranicznego posłuszeństwa. Sprzeciw? To jak plama na
autorytecie.

Nie, to nie wchodziło w grę...

Obywatel C. dokonał zabójstwa rozmyślnie i z całą świadomością, gdyż od samego rana w dniu zabójstwa chodził i szukał śp. Józefa L. po domach w Grzybowie. A spotykając L., idącego drogą, przystąpił do niego i po krótkiej wymianie słów wystrzelił, jak zeznają naoczni świadkowie, dwukrotnie z automatu. Jeden strzał był trafny. Ugodził denata, przeszywając głowę na wylot, i śmierć nastąpiła natychmiast” - wywiadowca referatu służby śledczej w Karlinie Józef Zlat po przeprowadzonym dochodzeniu nie miał wątpliwości - Mieczysław C. popełnił morderstwo z premedytacją.

Pozornie motywem zabójstwa była kłótnia o... trawę, którą Józef L. bezprawnie kosił z pola należącego do rodziny Mieczysława C. Pozornie, bo 19-letni zabójca, członek Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, który ukończył zaledwie cztery klasy szkoły podstawowej i jako swój zawód podawał do akt „rolnik przy ojcu” w momencie, gdy dostał broń, poczuł, że ma władzę. Uznał, że ma również władzę nad życiem innych. Nie uszło mu to bezkarnie.

Przenieśmy się w czasie i przestrzeni. Grzybowo (pow. kołobrzeski). Jest ciepłe lato 1947 roku. Popołudniem, 17 lipca, Józef C. został wezwany na przesłuchanie. Musiał zeznawać w sprawie jednego ze swoich siedmiorga dzieci - Mieczysława. Dzień wcześniej udał się z nim do szkoły, gdzie miał grać na zabawie. - Przechodząc drogą zauważyłem jakiegoś osobnika, który kosił trawę na mojej łące. Zwróciłem się do niego, żeby zaniechał dalszego koszenia, o co ten się oburzył, mówiąc, że następnego dnia też przyjedzie na moje pole i będzie kosił, a bać się mnie nie będzie, bo gdy zbliżę się do niego, to mnie zastrzeli jak psa - zeznawał. - Syn mój spytał, skąd ma broń, na to osobnik odpowiedział, że niech go to nie obchodzi, bo on ma prawo do posiadania broni.



Na to Mieczysław C. chciał nieznajomego wylegitymować. Ten nic sobie nie robił z rozkazu nieopierzonego ORMOWCA. Józef C. wspomniał, że już ta wymiana zdań zdenerwowała jego 19-letniego syna na tyle, że chciał uderzyć złodzieja trawy. Powstrzymał Mieczysława, a wtedy nieznajomy z kosą w dłoni sam się oddalił. - W szkole, podczas zabawy, syn powiedział mi po cichu, że on jako ORMOWIEC pójdzie do komendanta w Grzybowie i zamelduje, że ów osobnik

posiada na pewno nieprawnie karabin - opisywał milicjantowi ojciec.

17 lipca Mieczysław C. wczesnym rankiem wziął swoją broń automatyczną i zapowiedział, że idzie do komendanta. Jak się okazało, wcale nie do niego zamierzał pójść, co potwierdził 17-letni Feliks O.

- C. zaproponował mi, jako również członkowi ORMÓ, abym wziął broń i poszedł z nim przeprowadzić rewizję u Ukraińca, który rzekomo miał mieć broń. Ja broni nie wziąłem, ale poszedłem jako świadek. C. najpierw szukał L. w domu, a potem - nie znalazłszy - po okolicznych chałupach. Spotkał go na drodze - chłopak opisywał prokuratorowi szczegółowo kolejne minuty. Powiedział wtedy koledze, że to jakaś pomyłka, bo rzekomy Ukrainiec to nie kto inny, jak kuzyn jego znajomego z Grzybowa. Mieczysław nie zareagował na te słowa. Feliks O. widział, że to jego kolega wszczął awanturę. O co - tego już nie wiedział. - Nie mówili długo. Pół minuty do minuty. Potem C. odskoczył od L. na odległość dwóch, trzech kroków i krzyknął: „odsuń się”. Odciągnąwszy zamek od automatu strzelił w górę, potem znów krzyknął „odsuń się” i strzelił L. w głowę. L. stał cały czas w miejscu, nie ruszając się. Powiedział zdaje się: „idź, bo cię pieprznę”. Ręce miał w kieszeni. Żadnych gestów zaczepnych rękami nie robił - zeznał 17-latek.

Całe zajście widziała 59-letnia Ewa O. - Stali naprzeciw siebie w odległości jakiś trzech, może czterech metrów - mówiła później prokuratorowi. - Klócili się, a w pewnej chwili C. wyciągnął automat i strzelił. L. nie robił żadnych agresywnych gestów w kierunku C. Nie łąpał za karabin. Jedną rękę miał w kieszeni, drugą luźno opuszczoną - zapewniła, a zeznania swe poświadczyła trzema krzyżykami.

Mieczysław strzelał z radzieckiego pistoletu maszynowego PPSz, potocznie nazywanego pepeszą. Trafił Józefa L. w głowę, w okolicy lewego ucha. Rana wylotowa była z tyłu czaszki. W akcie oskarżenia znajdujemy informację, że pole, które było zarzewiem sporu, nie miało właściciela. Było to poniemieckie gospodarstwo, ziemia stała odłogiem i rosnącą na niczyich łąkach trawą Józef L. chciał nakarmić swe konie. To nie spodobało się Józefowi C., byłemu sołtysowi gromady Grzybowa, i jego porywczemu synowi Mieczysławowi.

Mieczysław C. nie przyznał się do winy i wyjaśnił, że strzelał działając w obronie koniecznej, gdyż L. zbliżał się do niego grożąc, że wybiję mu zęby. Wtedy miał strzelić ostrzegawczo w górę, a później „przypadkowo” trafić Józefa L. w głowę. Przypadkowo, bo chciał postrzelić go w nogi.

Już z aresztu Mieczysław C. napisał list, który zaadresował do głównego komendanta milicji w Warszawie. Twierdził w nim, że przyznał się do popełnienia zarzucanego mu przestępstwa, ale... Jakkolwiek tragiczny ten wypadek pociągnął za sobą śmierć człowieka, ja jednak winy nie ponoszę. Członkiem ORMO jestem od chwili powstania tej organizacji. Broń posiadałem od samego początku, przechowując ją w domu. W ostatnim czasie otrzymałem automat. Nie używałem jej nigdy samowolnie i inaczej, jak to przewidywał regulamin ORMO”. Przekonywał, że został nauczony, iż każdy ORMO-wiec miał prawo działać tam, gdzie zachodzi groźba naruszenia spokoju czy porządku publicznego. Miał prawo wylegitymować obywatela, a ten, który skończył tak tragicznie... rzucił się na niego z obelżywymi wyrazami. „A gdy zbliżał się do mnie mimo wezwania z mojej strony do zatrzymania się, oddałem dwa strzały w górę, on jednak nie zatrzymał się i zbliżał się nadal. Ja cofnąłem się, trzymając broń w pogotowiu. Raptem z automatu poszła seria i jeden strzał ugodził denata w głowę” - umniejszał swą winę. Dodał, że spust musiał nacisnąć przypadkowo, zahaczając nim zapewne o guzik marynarki, czemu zresztą winna była nieznanomość broni. „Tak więc niechcąc stałem się zabójcą” - podkreślił, prosząc o pomoc.

Rozprawa przed Sądem Okręgowym w Koszalinie rozpoczęła się 1 września 1947 roku. Mieczysław C. przyznał się do popełnienia zarzucanej mu zbrodni, lecz, jak nietrudno się domyślić, „nie w takich okolicznościach, jak w akcie oskarżenia”. W ostatnim słowie prosił jedynie o łagodny wymiar kary.

Tego samego dnia po naradzie zapadł wyrok. Mieczysław C. został uznany za winnego zabójstwa i skazany na osiem lat pozbawienia wolności. Sędziowie nie mieli wątpliwości - „celem wzięcia odwetu za porażkę przy awanturze o trawę, pomszczenia swej urażonej dumy ORMO-wca, któremu śmiał się przeciwstawić jakiś tam L. i nie okazał dokumentów” - tak opisali w krótkim uzasadnieniu wyroku motyw zabójstwa. Linia obrony oskarżonego, próba przekonania, że działał w warunkach obrony koniecznej, że ostatecznie strzelił przez przypadek, bo nie umiał posługiwać się automatem, nie przekonała sędziego, który dał wiarę naocznym świadkom zdarzenia.

„Oskarżony, oddając strzał z automatu z tak bliskiej odległości, o ile nawet nie chciał spowodować śmierci denata, musiał ją przewidywać i się na nią godzić” - czytamy w uzasadnieniu.

Dlaczego 8 lat za kratami? Okolicznością łagodzącą był wiek

oskarżonego, jego „niewyrobieńie życiowe, niski stopień rozwoju umysłowego (...) oraz dotychczasowa niekaralność”. Od wyroku apelację złożył J. Kulicki, pełniący obowiązki Prokuratora Sądu Okręgowego. Uznał bowiem, że sąd decydując o wymiarze kary nie uwzględnił braku skruchy ze strony oskarżonego. Przekonywał, że od ORMO-wca, który przeszedł odpowiednie szkolenie, społeczeństwo ma prawo wymagać więcej. Zwrócił też uwagę na motyw: „garść skoszonej trawy i urażona ambicja C., iż denat nie chciał się przed nim wylegitymować, kwestionując jego uprawnienia do legitymowania (...) doprowadziły do zabójstwa”.

7 października 1947 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku zadecydował, że 8 lat to słuszna kara i zatwierdził zaskarżony wyrok. „Dłuższa kara więzienia mogłaby w zupełności złamać oskarżonego tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym” - kończy się uzasadnienie wyroku.

SMIERĆ NA TORACH

Maria była sierotą. Sierotą bez grosza. Aleksander pokochał ją właśnie taką. I za nic miał fakt, że rodzina tego związku nie akceptowała. Ale kiedy rodzice sprzedali majątek, o którym marzył, winą obarczył ukochaną.

O godz. 6.30 2 kwietnia 1947 roku maszynista zaalarmował milicjantów z posterunku w Połczynie Zdroju, że na torach kolejowych zauważył zwłoki kobiety. Pociąg relacji Połczyn

- Kołacz zatrzymał się w porę, by nie najechać na ciało, które leżało pomiędzy szynami.

Mundurowi znaleźli zwłoki około 1,5 kilometra od stacji kolejowej w Połczynie, w kierunku stacji Grzmiąca. W torebce denatka miała dokumenty - potwierdzono tożsamość Marii K., zanim ktokolwiek zdążył zgłosić jej zaginięcie. Chociaż... zaginięcie zgłaszają zazwyczaj najbliżsi, a w tym przypadku najbliższy jej sercu mężczyzna okazał się być oprawcą. Kobieta osierociła 2,5-letnie dziecko.

Pierwsze ustalenia śledczych wskazywały jednak na samobójstwo 27-letniej Marii K., mieszkanki Połczyna. Biegły medyk sądowy stwierdził, że przed śmiercią kobieta wypła sporo alkoholu. Milicjanci ustalili, że kilka tygodni wcześniej mieszkanka Połczyna dostała list z informacją, iż jej teść sprzedał gospodarstwo w centralnej Polsce. Wiadomość ta miała załamać kobietę i miała targnąć się na swe życie - ta wersja utrzymała się jednak tylko do szczegółowych oględzin lekarskich.

Rana cięta koło lewego oka, zdarty naskórek na szczęcie, sińce oraz wybroczyny na szyi i karku „prawdopodobnie powstałe przez ucisk ręką lub taśmą” - nie było już wątpliwości, że na śmierć drobnej, bo mierzącej zaledwie 160 centymetrów wzrostu kobiety, miała wpływ osoba trzecia.



Jako pierwszy na przesłuchanie wezwany został Aleksander K., 26-letni mąż ofiary. Robotnik, ukończone 4 klasy szkoły podstawowej. Zeznał, iż 1 kwietnia po godz. 19 odwiedzili go dwaj koledzy - Piotr i Henryk. Wypili „trzy ćwiartki wódki”, a do kieliszka dołączyła Maria. Około godz. 21 znajomi mieli wyjść z domu. - Ja natomiast położyłem się spać. Kiedy żona wyszła z domu - tego nie wiem. Dopiero rano, wstając, zauważyłem, że jej nie ma. Zaraz przeczułem, że jest jakies

nieszczęście, dlatego że żona była bardzo przejęta listem od rodziny, że ojciec mój sprzedał gospodarstwo, a my jesteśmy na wyrobku i z czego będziemy żyć? - sugerował jej załamanie nerwowe. Zapewnił, że są zgodnym małżeństwem, a jedyny problem... - Moja żona miała skłonności do picia wódki i w dniu tragicznym była w stanie nietrzeźwym - zaakcentował.

Henryk K., kolega Aleksandra, o samym spotkaniu powiedział mundurowym niewiele. Tyle że na stole było nieco więcej wódki, niż pamiętał gospodarz. Podważył też wiarygodność Aleksandra K. w kwestii małżeńskiej idylli. Słyszał bowiem, że Maria podejrzewała swego męża o... zamordowanie ich najmłodszego dziecka. - Dlatego, że zawsze mówił, że to dziecko nie jest jego - podkreślił.

Franciszka K., znajoma Marii, słyszała o tych podejrzaniach: - To było w lutym. Zostawiła wtedy dwumiesięczne nakarmione i zdrowe dziecko w domu i wyszła do miasta. Kiedy wróciła, dziecko miało buzie pełną piany, zwłoki już były zimne, a mąż jej spał na łóżku - opisywała.

Sąsiad Marii i Aleksandra nie krył, że awantury były u nich na porządku dziennym. - Ona lubiła pić wódkę i gościć się, lubiła mężczyzn obcych, za co ją mąż bił i wymawiał jej to, że utrzymuje stosunki z innymi mężczyznami - zaznaczył.

Dwa dni po znalezieniu zwłok Aleksander K. stał się głównym podejrzanym w sprawie. I dość szybko zmienił swoje zeznania. Przyznał się, że udusił żonę. Udusił, bo... próbował ją ratować. Ale od początku.

Nie była to szczęśliwa miłość. Do Połczyna przyjechali, kiedy Aleksander dostał pracę na kolei. Jego rodzice i bracia twierdzili, że wyjazd nie jest dobrym pomysłem. Nie akceptowali Marii. - Ubóstwo mojej żony sieroty było powodem wielkich kłótni z moją rodziną - przyznał. I faktycznie, wątek listu od rodziny i informacji o sprzedaży ziemi nie był bez znaczenia. Smutki małżonkowie topili w alkoholu. 1 kwietnia 1947 roku koledzy od kieliszka towarzyszyli im do godz. 21.

- Żona na propozycję udania się na spoczynek oświadczyła, że wychodzi. Spytałem dokąd. Powiedziała, że nie powinno mnie to obchodzić - opisywał Aleksander K.

Wybiegła z mieszkania. On za nią. Dobiegli do torów. - Zrozumiałem, że chce rzucić się pod pociąg. Wezwałem, by poszła ze mną do domu. Odmówiła. Byłem mocno pijany i zdenerwowany. Silnie ją pchnąłem. Upadła, uderzając głową o szyny. Straciła widocznie przytomność, gdyż wstać nie próbowała. Skoczyłem do niej, chwyciłem rękami za gardło.

Gdy przekonałem się, że jest martwa, porzuciłem zwłoki i wróciłem do domu. Z rana oprzytomniałem i zrozumiałem, że dopuściłem się mordu - zakończył wyjaśnienia.

Akt oskarżenia powstał błyskawicznie - 18 kwietnia 1947 roku. Wiceprokurator Władysław Kaczkowski szczegółowo opisał, na podstawie zeznań świadków, relacje między małżonkami. „K. lubiła pić wódkę i przyjmowała nieraz obcych mężczyzn - na skutek czego (...) podejrzany nieraz ją bił i czynił wymówki za złe prowadzenie się. (...) K. podejrzewała męża o przyczynienie się do śmierci dwumiesięcznego dziecka, które zmarło z przyczyn dotąd nieustalonych (...). Niewątpliwym jest więc, że współżycie podejrzanego z żoną nie było zgodne i doprowadziło do szeregu nieporozumień, które zaostrzyły się ostatnio na skutek otrzymanego przez podejrzanego od swych krewnych z Łukowa listu, że rodzice sprzedali tam dom i pole, do czego podejrzanym miał może uzasadnione pretensje. (...)”

Proces przed Sądem Okręgowym w Koszalinie rozpoczął się 2 czerwca 1947 roku. Oskarżony Aleksander K. przyznał się do zabójstwa żony. Znowu podkreślił, że „złe się prowadziła”, nie krył, że nieżyjącej dwumiesięcznej dziewczynki nie uważał za swe dziecko. - Nie umiem powiedzieć, co skłoniło mnie do zabójstwa, bo kochałem żonę. Myślę, że przyczyną była wódka i przekonanie, że żona poszła na tory, by odebrać sobie życie - tłumaczył. - Z żoną sprzecaliśmy się często, właśnie o nadmierne przestawanie z innymi mężczyznami i zdradę - dodał.

Świadkowie podtrzymali swe zeznania. Oskarżony bił żonę, ona uciekała w romans z trunkami, on wtedy bił mocniej, uciekała do innych, bił.

Wyrok zapadł tego samego dnia. Sąd uznał Aleksandra K. winnym zabójstwa pod wpływem silnego wzburzenia i wymierzył mu karę dożywotniego więzienia. Na zawsze pozbawił go też praw publicznych i obywatelskich praw honorowych.

Sąd przyjął, że przy torach oskarżony uderzył żonę w twarz, a gdy ta upadła na szyny, raniąc się, doskoczył do niej i nieprzytomną udusił. Położył zwłoki między szynami, by przejeżdżający pociąg najechał na ciało, przez co śledczy uznaliby, że doszło do samobójstwa. Jednak maszynista odpowiednio wcześniej zauważył ciało, zatrzymał pociąg, a w denatce rozpoznał żonę swego kolegi.

„W dniu 23 marca oskarżony otrzymał od swego szwagra zawiadomienie, że rodzice jego sprzedali swą gospodarkę. (...) Jego

plany i zamiary na przyszłość runęły. Zrozpaczony usiłował natychmiast pojechać do rodziców, by - o ile to możliwe - uchylić dokonany akt sprzedaży ziemi. Jednak denatka, obawiając się panicznie rodziców męża, usiłowała go odwieść od powziętego zamiaru. Wówczas oskarżony począł sobie tłumaczyć krok swych rodziców jako wyraz ich niechęci do denatki i na tym tle poczuł urazę do swej żony, która wkrótce zamieniła się w nienawiść, wzbudziło się pragnienie zemsty na tej, którą zaczął uważać za przyczynę swych niepowodzeń życiowych i biedy. Nieskomplikowany i prosty umysł oskarżonego coraz gwałtowniej zaczęły opanowywać momenty emocjonalne, usuwając kontrolę rozumu nad działaniem. Powstał zamiar usunięcia żony, która przyczyniła się do wyrządzenia mu tak wielkiej krzywdy i utraty ziemi, którą uważał już za swą własność, na której w myślach może już nieraz gospodarzył” - w uzasadnieniu wyroku sędziowie pochylili się nad motywem oskarżonego. Byli przekonani, że zabójstwo zaplanował już wcześniej, o czym świadczyć miały opowieści, którymi dzielił się ze znajomymi i urządzenie 1 kwietnia libacji. Czekał tylko na właściwy moment, by plan wcielić w życie.

WÓDKA, NUDA i MUNDUR

Miał z karabinem w dłoniach pilnować, by nikt z domowników nie przeszkodził rabusiom w plądrowaniu domu. Nie wiedział tylko, że spust jego broni jest uszkodzony.

Po raz pierwszy Mieczysław S. stanął przed obliczem koszalińskiej Temidy w lipcu 1946 roku. Wtedy nie sam, ale z kolegą - Władysławem K. Oskarżeni wspólnie z podporucznikiem Wojska Polskiego Józefem W. zaplanowali napad, który zakończył się śmiercią. Jak zapewniali, przypadkową śmiercią.

W nocy z 18 na 19 kwietnia 1946 roku w Broniewicach trzech kolegów w przypiływie pijackiej fantazji postanowiło w ekspresowym tempie, oczywiście nielegalnie, wzbogacić się. Na szatański pomysł wpadli podczas libacji u Władysława K. Uznali, że celem napadu będzie mieszkanie w sąsiedniej wiosce, w zagrodzie polskiego osadnika Czesława O. Zaznaczmy, mężczyzny, którego doskonale znali. Mieszkały tam dwie Niemki.

Józek był na tyle trzeźwy, że postanowił zdjąć mundur żołnierza Wojska Polskiego. Pożyczył od Włodka cywilne ubranie, zabrał pistolet. Gospodarz zza szafy wyciągnął zaś rosyjski karabin i amunicję. Mieczysław zaprzągnął konia do bryczki i tak przygotowani „gangsterzy”, bez kominiarek, za to przekonani o swej przyszłej bezkarności, pomknęli przed zagrodę swego znajomego. Konia przywiązali do drzewa, sami weszli na podwórze i wzywając Niemki S. w języku rosyjskim do otworzenia drzwi, zaczęli strzelać w powietrze. Kobiety nie otworzyły. Zaczęli więc dobijać się do Czesława O., krzycząc, job twoja mać, otwórz!”.

Oba mieszkania oddzielone były wspólnym korytarzem. Przerażony mężczyzna nie zareagował. Wtedy podporucznik W. strzelił w okno. Gospodarz wiedział już, że nie ma szans. Otworzył. Napastnicy wbiegli do środka, grożąc bronią, kazali Czesławowi O. i jego siostrze, 40-letniej Janinie położyć się na ziemię. Kiedy chcieli przejść do mieszkania Niemek, Czesław próbował uciec przez okno. Nie udało mu się. Do pilnowania rodzeństwa wyznaczony został Mieczysław S., a Władysław i Józef poszli do sąsiedniego lokum. Zabierającą maleńkie dziecko Friedę S. uderzyli tak silnie, że upadła na kant łóżka. Jej matka za pytanie, czego napastnicy od nich chcą, została uderzona w twarz.

Wszystkich lokatorów napastnicy zgromadzili w jednej izbie. Zaczęli plądrować dom. Zauważyli walizki Niemek. Kobiety wkrótce miały wyjechać za Odrę. Elementy garderoby i bielizna pofrunęły za okno. Przestępcy szukali czegoś kosztownego. Do siebie zwracali się tylko w języku rosyjskim - w pijanych głowach zaświtała myśl, że może wtedy

ich ofiary pomyślą, iż mają do czynienia z sowietami. Choć ich mundury wskazywały na rodzimą armię. Choć twarzy przecież nie zakryli.

Mieczysław S. zaczął bawić się karabinem. Manipulował przy zamku. Janina O. zapytała go, co zamierza zrobić. On zwrócił lufę w jej kierunku i w tym momencie padł strzał. Kula trafiła Janinę O. w dolną część brzucha. Kobieta spadła z krzesła.

- Wtedy przyłożył mi karabin do piersi. Chwyciłem za lufę. Powiedzieli, że mam dać spokój. Wtedy jeden strzelił z pistoletu. Padłem na ziemię - dramatyczne minuty opisywał sędziom 37-letni Czesław O.

- Nie wiem, czy on umyślnie trzymał ten karabin w kierunku Janiny, czy też przypadkowo - szczerze przyznała Hilda S.

Mieczysław S. wyszedł z domu i zaczął łądować zrabowane przedmioty na bryczkę. Po kilku minutach wrócił do pokoju i podszedł do rannej. Żyła. Mógł jej pomóc, ale tego nie zrobił. Dalej wrzucał na bryczkę łup. I tak, beznamiętnie, bez emocji, jeszcze przez około pół godziny. Po tym czasie napastnicy wyszli na podwórze, strzelili raz jeszcze w powietrze i pojechali do mieszkania Władysława K., w którym podzielili się łupem.

Pokrzywdzeni zaalarmowali milicję. Choć ranną Janinę O. jak najszybciej próbowano przewieźć do szpitala w Trzebiatowie, na skutek utraty dużej ilości krwi kobieta zmarła w drodze. Przed koszalińskim sądem Władysław K. przyznał się do udziału w rabunku. - Byłem do tego zmuszony - oświadczył jednak. Zaprzeczył, by wziął z domu karabin i naboje. Zarzekał się też, że „mózgiem” napadu był nieobecny na sali rozpraw, sądzony przez inny sąd, podporucznik W. Podobnie żołnierza obciążał Mieczysław S.

Sędziowie uznali ich wyjaśnienie za wykrętne i sprzeczne. Oskarżeni nie potrafili też w żaden sposób wytłumaczyć, dlaczego po przypadkowym postrzale nie udzielili rannej kobiecie pomocy. Czy można w ogóle coś takiego próbować wyjaśnić? Sąd zauważył okoliczności łagodzące - zasługi podczas działań wojennych. Mieczysław S. został ranny na froncie. Za to został łagodniej potraktowany. Obaj mężczyźni usłyszeli wyroki po pięć lat pozbawienia wolności. Zostali skazani z artykułu 259 tzw. Kodeksu Makarewicza, wprowadzonego rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z 11 lipca 1932 r. („kto zabiera innej osobie cudze mienie ruchome w celu przywłaszczenia, używając przemocy albo

grożąc użyciem natychmiastowego gwałtu na osobie, albo doprowadzając człowieka do stanu nieprzytomności lub bezbronności podlega karze więzienia”). Motyw? Chęć zysku.

Jednocześnie sędziowie uznali, że brak jest podstaw, by uznać Mieczysława S. za winnego zabójstwa Janiny O. Biegły potwierdził bowiem, że karabin miał uszkodzony mechanizm spustowy. Sąd przekazał jednak akta sprawy Prokuratorowi Sądu Okręgowego w Koszalinie, by rozpoczął kolejne postępowanie - pod kątem artykułu 230 paragraf 1, czyli nieumyślnego pozbawienia życia, czynu, który zagrożony był karą do 5 lat więzienia.

Prokurator wzbogacił akta o kolejne zeznania. Można w nich znaleźć jednoznaczne opinie: „(...) żołnierzom sprzykrzyła się beczynność. Wyszli pobiegać i wyładować nagromadzoną energię”. „Żołnierze spodziewali się, że ich przyjmą wódką, ugoszczą i obdarują. Tymczasem przyjęli ich z krzykiem i hałasem” - czytamy.

Do Sądu Okręgowego w Koszalinie 31-letni Mieczysław S. został dowieziony z więzienia w Sztumie 21 stycznia 1948 roku. Przyznał się do winy, ale przedstawił... zupełnie nową wersję zdarzeń. - Udałem się z K. i W. na napad rabunkowy. Gdy weszliśmy do mieszkania K. wystrzelił z karabinu w górę, a ja, chcąc odebrać mu karabin, żeby nie strzelał, chwyciłem broń. Nieostrożnie. Naładowany karabin był zepsuty i w tym czasie padł strzał, trafiając Janinę O. - przedstawiał siebie niemal w roli bohatera, który próbował ratować niewinne ofiary napadu.

Wyrok zapadł tego samego dnia. Mieczysław S. został uznany za winnego nieumyślnego zabójstwa i za to skazany na cztery lata odsiadki. Jednocześnie na mocy ustawy o amnestii z 1947 roku kara została złagodzona do dwóch lat. W sierpniu 1948 roku Sąd Okręgowy w Koszalinie orzekł dla Mieczysława S. karę łączną - za osądzony wcześniej rozbój oraz za nieumyślne spowodowanie śmierci - 6 lat odsiadki i utratę praw obywatelskich. Akta tej sprawy zamykają dwa dokumenty. Pierwszy to prośba Mieczysława S., której adresatem był prezydent RP. S. pisał ją już po odbyciu kary. Pisał, że jest repatriantem z Wołynia. 12 marca 1944 r. w Łucku jako jeden z pierwszych wstąpił w szeregi Armii Polskiej. „Przebyłem całą kampanię wojny z Niemcami i zostałem zdemobilizowany dnia 18 sierpnia 1945 roku. Za branie udziału w walkach z Niemcami zostałem pięciokrotnie odznaczony” - pisał. „W obronie Ojczyzny nie szczędziłem swego życia i zdrowia, byłem prawdziwym obywatelem Ludowej Rzeczypospolitej (...).”

Podkreślił, że pozbawiony praw obywatelskich stał się wyrzutkiem społeczeństwa i nie może znaleźć pracy. „Znajduję się w skrajnej nędzy, pogardzany przez otoczenie, lecz pragnę uniknąć zupełnego upadku moralnego, a stać się wzorowym obywatelem, lecz na przeszkodzie skutki skazania mego”.

Prosił, by prezydent w drodze łaski przywrócił mu prawa obywatelskie. Wniosek ten nie spotkał się ze zrozumieniem i został odrzucony.

NIE GRADJCIE JUŻ WALCĄ

ORMO swe niechlubne miano wypracowywała rękami członków sukcesywnie już od momentu jej powołania. Broń i namiastka władzy nad innym człowiekiem - to niektórym przewracało w głowach.

Niezależnie od tego, czy członkowie Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej mieszkali w większym mieście czy też na wsi.

ORMO, czyli paramilitarna organizacja ochotnicza, która wspierać miała Milicję Obywatelską, powołana została uchwałą Rady Ministrów w lutym 1946 roku. Sejm rozwiązał ją w listopadzie 1989 roku. Dziś kojarzona jest głównie z prześladowaniem antykomunistycznego podziemia, z pałowaniem studentów w 1968 roku, czy rozbijaniem manifestacji w czasach stanu wojennego. Przez lata Polski Ludowej wyśmiewana. ORMOWCY, często ślepo służący systemowi, byli obiektem kpin. Swym zachowaniem do najgorszej oceny często sami prowokowali. Jak Witold B., 28-letni rolnik, który ukończył sześć klas szkoły powszechnej, mąż i ojciec.

Rankiem 6 września do Komendy Powiatowej MO w Koszalinie wpłynęło zawiadomienie z posterunku w Sianowie. Komendant Rolecki meldował, że 30 minut po północy w Węgorzewie w gm. Wyszewo postrzelony w nogę został Mieczysław C., mieszkaniec tej właśnie wsi. Postrzelony trafił do szpitala w Koszalinie, a sprawca - członek ORMOWICZY WITOLD B. został zatrzymany na posterunku. Mundurowi uznali bowiem, że dopuścił się on usiłowania zabójstwa. A jako że „cieszył się złą opinią i był postrachem ludności gromady” zastosowano środek zapobiegawczy - dzień po zdarzeniu B. trafił do aresztu.

Jak doszło do postrzelenia? 5 września 1948 roku we wsi zorganizowano zabawę. „Oskarżony B. podpiał sobie, ale nie był pijany” - tak ocenią później stan upojenia Witolda B. sędziowie. Nieco zatem podchmielony mężczyzna zaczął zachowywać się cokolwiek niestosownie. Kiedy poprzewracał na stole kieliszki, znajomi zaczęli go strofować, że jako ORMOWIEC powinien swym zachowaniem dawać dobry przykład i przestrzegać porządku. B. po uwadze tej wyszedł obrażony, a po chwili powrócił na zabawę... z karabinem. Na ramię założył opaskę ORMOWICZY, szybkim krokiem podszedł do 21-letniego Mieczysława C., szarpnął go za rękaw, wycelował w niego lufę broni i kazał wyjść z sali na zewnątrz. - Było już po północy. W stanie podchmielonym podszedł do mnie i z niewiadomej przyczyny skierował karabin w moim kierunku i pod groźbą użycia broni zmusił mnie do opuszczenia sali - opisywał pokrzywdzony.

Uczestnicy zabawy zobaczyli całe zajście i wybiegli na podwórze. Korzystając z zamieszania C. zaczął uciekać grożącemu mu

mężczyźnie. Zdążył jednak przebiec zaledwie sto metrów i padły dwa strzały. Jeden celny - kula trafiła Mieczysława C. w lewą nogę. - Nie mogłem już dalej biec, gdyż poczułem wielki ból - mówił później milicjantom C. Doczołgał się do domu znajomej, błagając o pomoc.

28-letni Witold B. nie zauważył, że postrzelił C. Postanowił go odnaleźć. Pobiegł do domu rodziny K. Od Mieczysława K. zażądał wydania jego siostrzeńca - Mieczysława C. Zaatakowany gorliwie zapewniał, że nikogo pod swym dachem nie ukrywa. Wtedy, grożąc K. bronią, B. kazał mu towarzyszyć w drodze do mieszkania Mieczysława C. Nie pozwolił K. nawet się ubrać - pognął mężczyznę przez wieś w samej tylko bieliźnie.

Dotarli do mieszkania Mieczysława C. Otworzyła jego matka. Witold przeszukał dom, choć kobieta zapewniała, że syna nie ma. Na odchodne rzucił, że dziś zabije jej dziecko, a że dwa strzały już oddał, więc ona za te dwa ładunki musi oddać mu jeszcze pieniądze. - Oświadczył mi: matko, masz karabin, palnij mi w łeb, jeśli ja syna nie znajdę i nie zabiję dzisiaj - zeznała 46-letnia Antonina C.

Witold B. wrócił do sali, w której wiejska zabawajeszcze trwała. Wciąż szukał Mieczysława C. Stał nawet z bronią na drodze, przepytując osoby, które wracały już do domów. W tym czasie C., którego ukryła u siebie w domu jedna z mieszkanki Węgorzewa, był już jednak w drodze do szpitala.

Witold B., przesłuchiwany przez milicjantów, przyznał się do postrzelenia Mieczysława C. Ale podał inny przebieg zdarzenia. - Zostałem powiadomiony przez obywatela, którego nazwiska nie pamiętam, że Mieczysław C. wszczął awanturę z uczestnikami zabawy tanecznej. Jako członek ORMÓ, widząc nieporozumienie wywołane przez C., zabrałem go z sali celem odprowadzenia do domu. Podczas wyprowadzania zostałem uderzony ręką w czoło i C. zaczął mi uciekać. Po trzykrotnym upomnieniu „stój” oddałem dwa strzały - jeden w górę, zaś drugi w niego, celując niżej pasa - zapewnił. - Czynu powyższego dokonałem, ponieważ nie posłuchał mego rozkazu - oświadczył. 28-letni ORMÓ-wiec zaprzeczył temu, że odwiedził matkę postrzelonego, że groził komukolwiek śmiercią. Przeciwnie do zeznań licznych świadków. Jego słowa zaś znalazły niewielkie wsparcie w materiale dowodowym. 27-letni Józef N. potwierdził jedynie, że między nim a postrzelonym później Mieczysławem C. doszło podczas zabawy do sporu. C. miał zabronić... grajkom wykonywania walca, co kilku osobom się nie spodobało. - Aby uniknąć awantury odszedłem jednak

w inny kąt sali - tak świadek opisał całe zdarzenie. Po nim na salę wpadł ORMO-wiec z karabinem.



Na czas dochodzenia 28-letni B. trafił do aresztu. Do prokuratora Sądu Okręgowego w Koszalinie zażalenie na tę decyzję złożyła Maria B. „Podejrzany jest z zawodu rolnikiem i posiada gospodarstwo 6 ha. (...) należy ukończyć żniwa, dokonać zbiorów okopowych i przygotować ziemię pod zasiew zimowy. Jako kobieta sama prac tych załatwić nie

mogę, gdyż mam jednoroczne dziecko i siostrę lat 4 na utrzymaniu (...)” - przekonywała żona zatrzymanego. Ponieważ mężczyźni za usiłowanie zabójstwa groziła surowa kara, pozostał w izolacji.

Po kilku dniach sam podjął kolejną próbę przekonania prokuratora do zmiany zdania. Argumenty o ziemi leżącej odłogiem i płatności podatku gruntowego poskutkowały - 26 października B. wyszedł z aresztu. Przed sądem miał odpowiadać z wolnej stopy.

Niespełna miesiąc później gotowy był akt oskarżenia. Prokurator zarzucił 28-letniemu rolnikowi usiłowanie zabójstwa Mieczysława C.

Rozprawa przed Sądem Okręgowym w Koszalinie została wyznaczona na 31 stycznia 1949 roku. Oskarżony Witold B. zmienił swoje zeznania. Do usiłowania zabójstwa się nie przyznał, ale przekonywał, że nic z nocy z 5 na 6 września nie pamięta, bo był absolutnie pijany. Pamiętali zaś świadkowie, którzy potwierdzili swe zeznania.

Proces nie zakończył się na jednym posiedzeniu. Ciąg dalszy miał miejsce w kwietniu. I w kwietniu B. usłyszał wyrok - został uznany winnym usiłowania zabójstwa i skazany na siedem lat więzienia.

„Oskarżony nie przyznał się do winy i bronił się tym, że nie miał zamiaru zabić C. Przyznał jednakże, że C. wyprowadził z sali i że strzelił w górę, a kiedy C. nie stanął - strzelił do uciekającego. Oskarżony tłumaczył się tym, że C. wywołał na sali awanturę, którą on jako ORMO-wiec chciał zlikwidować i dlatego wyprowadził go. Temu tłumaczeniu sąd nie dał wiary. Świadkowie oraz pokrzywdzony zeznali wiarygodnie, że w trakcie zabawy nie było żadnej awantury. (...) Niewiarygodne jest również wyjaśnienie oskarżonego, że jego zamiarem było zaprowadzenie C. do domu. Wyjaśnienie to sprzeczne jest z postępowaniem samego oskarżonego, który widział, że C. ucieka w stronę swego domu, a mimo to do niego strzelił.”

Przy wymiarze kary sąd uwzględnił jako okoliczność łagodzącą dotychczasową niekaralność Witolda B., natomiast obciążającym był fakt, iż jako ORMO-wiec „miał szczególny obowiązek dbania o porządek i ład”.

Od wyroku apelację złożył obrońca oskarżonego, argumentując, że popełniony przez jego klienta czyn powinien być zakwalifikowany jako uszkodzenie ciała. Przekonywał, że Witold B. i Mieczysław C. to koledzy, którzy w 1945 roku przyjechali z za Buga, by osiedlić się w Węgorzewie i wreszcie, że gdyby B. chciał zabić, zrobiłby to tuż po wyjściu z sali, w której odbywała się zabawa.

W grudniu 1949 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku zatwierdził zaskarżony wyrok. „Oskarżony B., strzelając dwukrotnie do C. z odległości 100 metrów, niewątpliwie przewidywał, iż skutkiem jego strzałów może być śmierć C. i na to się godził” - uzasadniali decyzję sędziowie. Podkreślili też, iż o zamiarze zabójstwa świadczy uporczywe poszukiwanie Mieczysława C. we wsi oraz fakt, że oskarżony sam powiedział, iż musi go zabić.

W sierpniu 1950 roku Witold B. napisał do prezydenta pismo z prośbą o darowanie reszty kary. Opisał w nim niewolę hitlerowską do roku 1945 „do chwili wyzwolenia zawdzięczanego zwycięskiemu pochodowi Armii Czerwonej”. I dalej: „Po powrocie do kraju oddałem się z zapalem młodych sił do pracy, oddając się bez reszty do zaprowadzenia porządku, do ugruntowania władzy ludowej. Wstąpiłem do milicji, ażeby tu na ziemiach odzyskanych zaprowadzić ład i porządek. Pracowałem nie szczędząc sił, wytępując resztki pozostałych wrogich ustrojowi Polski Ludowej elementów.”. Opisał noc zabawy wiejskiej. Tym razem pojawiła się awantura, sprawca miał nóż, a ORMO-wiec musiał bronić niewinnych istnień. Więzienny przyływ fantazji nie zyskał uznania władzy - prośba o ułaskawienie pozostawiona została bez dalszego biegu.

WOJNA RÓWNIEŻ UCZUĆ

Samotność. Trudno ją było znieść, szczególnie, kiedy kolejnym dniom towarzyszył huk wystrzałów. To ona popchnęła Józefę w ramiona Antoniego. Przekonana, że jej mąż już nie wróci do domu, nie chciała być sama. Ale mąż wrócił. Kochanek wolał zabić, niż przełknąć gorycz odrzucenia...

Był rok 1943. W Węgrzycach Wielkich, niewielkiej wsi niedaleko Krakowa, Antoni K. poznał Józefę S. Kobieta od trzech lat żyła sama. Jej mąż - Józef wraz z synem Bogdanem w 1940 roku wyjechał na przymusowe roboty do Niemiec. Przez pierwsze miesiące przychodziły od nich listy, ba, nawet paczki. Od kilkunastu była zaś cisza. Józefa była przekonana, że mąż i syn nie żyją.

- Przez cały czas okupacji, do roku 1944, pisałem i wysyłałem listy do żony. W roku 1944, kiedy przez wojska radzieckie tereny, gdzie żona mieszkała, były zajęte, listy już nie dochodziły. Po przyjeździe Amerykanów jeszcze pracowałem w Niemczech. W czerwcu 1946 roku wróciłem na wieś rodzinną. Tam dowiedziałem się, że żona moja mieszka w Kleczewie - przesłuchiwany przez milicjanta 45-letni Józef S. streścił powód zerwania kontaktu.

Ale ona nie wiedziała... W targanym niepokojami kraju Józefa S. nie chciała być sama. Wsparcie znalazła w ramionach Antoniego. Jednak mężczyzna miał żonę i dwoje dzieci - roczne i ośmioletnie. Nie mógł ot tak w małej osadzie porzucić rodziny i założyć nowej. Kochankowie wyjechali do Moglina, a po niespełna dwóch latach pojawiła się propozycja - Józefa S. mogła objąć gospodarstwo rolne wraz z budynkami w Kleczewie w powiecie gryfickim. Para zdecydowała się zacząć wszystko od nowa i przeprowadzić się na tzw. ziemię odzyskane. Żyli w zgodzie i miłości do lipca 1946 roku. Pod koniec miesiąca do drzwi gospodarstwa zapukali Józef i Bogdan - mąż i syn Józefy S. - Wiedziałem już wcześniej, że żona moja mieszka z kochankiem. Lecz nie wierzyłem. Po przyjeździe do Kleczewa najpierw zameldowałem o tym, że idę do żony, na posterunku milicji - zeznawał podczas przesłuchania Józef S. Chciał zobaczyć żonę, chciał też zobaczyć swoją córeczkę, którą ukochana urodziła krótko po jego wyjeździe do Niemiec.

26 lipca świat 41 -letniego Antoniego K. się zawalił. Wybiegł z domu. Pobiegł do Mariana S., brata swej wybranki. U niego spędził noc. Rankiem przyszła do niego Józefa. Próbowwała uspokoić mężczyznę, przekonywała, że to z nim chce spędzić życie, że nie wróci już do męża, że teraz jest szczęśliwa i nie chce tego zmieniać. W zeznaniach męża znajdziemy potwierdzenie: - Usłyszałem od żony te słowa: ja już żyję z innym. Ja jej mówiłem, że źle zrobiła, a ona, że nie miała wyjścia i musiała kogoś innego zapoznać - mówił milicjantowi Józef S.

Antoni nie mógł się uspokoić. Kazał przynieść kobiecie swoje rzeczy, histeryzował, oświadczył, że wyjeżdża. Zdawał się nie słyszeć próśb Józefy. Ominął ją i poszedł do ich gospodarstwa. Zażądał od Józefa S. wydania mu swoich rzeczy. Tak się stało. Oprócz tego mąż oddał kochankowi 4,5 tys. złotych tytułem poniesionych przez niego kosztów rozruchu gospodarstwa. Dał mu też krowę - wszystko, byle tylko 41 - latek wyjechał z Kleczewa.

Antoni z dobytkiem w skórzanej walizce, gotówką i krową postanowił jeszcze przed podróżą przenocować u sąsiada - Jana S. Tam nocą przyszła do niego Józefa. Kochanka przyniosła pościel, bieliznę i raz jeszcze potwierdziła, że to jego kocha i z nim spędzi życie. Rankiem para podjęła radykalne kroki - zawiadomili Milicję Obywatelską o powrocie do kraju Józefa S. Chcieli potwierdzenia, że mężczyzna nie ma żadnych praw do ich gospodarstwa. Że musi się stamtąd wyprowadzić. 1 sierpnia milicjanci przyjechali do gospodarstwa, w którym urzędował Józef S. wraz z synem. Powiedzieli mu, że do budynków, ziemi i zwierząt prawo ma jego żona.

Formalności się przeciągały. 2 sierpnia 1946 roku Józefa S. poszła do męża, przekonać go, by sam jak najszybciej wyprowadził się z kleczewskiej gospodarki. Sprawy przybrały jednak nieoczekiwany obrót. To on - mąż - przekonał bowiem żonę, by wróciła do niego. By zaczęli wszystko od nowa. Kobieta wraz z synem poszła do Antoniego, przekazać mu złe wieści. Mało tego, chciała odebrać mu wszystkie rzeczy, łącznie z walizką ze skóry. Gdy Bogdan z częścią dobytku wracał do gospodarstwa, Antoni chwycił kochankę w pól, przewrócił na łóżko, wyjął brzytwę i jednym ruchem podciął Józefie gardło. Uciekł do lasu, gdzie spędził kilka dni.

Sąsiadka, w której domu doszło do morderstwa, pobiegła po Józefa S. Gdy wszedł do izby, jego żona już nie żyła. Leżała w kałuży krwi.

6 sierpnia 1946 roku Antoni K. wyszedł z lasu. Chciał uciec w kierunku Trzebiatowa. Został zatrzymany przez milicję. Nie kłamał, nie zwodził, nie wymyślał. Od początku przyznawał się do zabójstwa ukochanej. Ze szczegółami opowiadał o ich wspólnym życiu. - Mówiła, że mąż nie żyje.



A kiedy wrócił, dobrowolnie wyszedłem z domu, prosiłem, by przyniosła mi rzeczy i chciałem wyjechać. Na drugi dzień dobrowolnie zgodziłem się na podział majątku - dostałem krowę, cztery tysiące pięćset złotych i szykowałem się do odejścia. Przyszła. Obiecała. Mieliliśmy żyć razem. Ale wróciła do męża. Napilem się wódki. Kiedy wróciła po rzeczy powiedziałem, że jeśli pójdzie ode mnie, to albo ja będę żył, albo ona. Wziąłem ją przez pół i chciałem pocałować, po czym

przewróciłem na łóżko, wyjąłem brzytwę z kieszeni, pociągnąłem i przerznąłem jej gardło. Obsunęła się na podłogę, a ja uciekłem - opisywał. - Zdenerwowałem się, że po tylu latach mam pójść z niczym.

W tej sprawie nie było żadnych wątpliwości. Prokurator Kulicki podpisał akt oskarżenia 20 sierpnia. „(...) przygotowawszy brzytwę ujął ją w pól pod pretekstem pocałunku i zadał jej ranę szyi od jednego mięśnia mostkowo-obojczykowego do drugiego, drążącą w głąb aż do kręgosłupa i przecinając główne naczynia szyjne w wyniku czego nastąpiła śmierć Józefy S. (...)” - czytamy w nim.

Proces przed Sądem Okręgowym w Koszalinie rozpoczął się 12 września. Porzucony kochanek przyznał się do winy i podtrzymał wcześniejsze zeznania. - Denatkę kochałem. Byliśmy do siebie dobrze usposobieni. Popełniając tę zbrodnię byłem zły, że ona odchodzi, bo ją kochałem... - dodał.

Wyrok zapadł tego samego dnia. Antoni K. został uznany za winnego zabójstwa pod wpływem silnego wzruszenia. Został skazany na sześć lat więzienia.

„Wszyscy wymienieni świadkowie (...) zeznali, że oskarżony wraz z denatką żyli zawsze w jak najlepszej zgodzie i harmonii, i że oskarżony dbał o gospodarstwo denatki, jak o swe własne. Ponadto świadek Zofia S. zeznała, że gdy mąż denatki powrócił do niej z Niemiec, to oskarżony dwa razy z rzędu wysyłał ją rano do ich mieszkania dla przekonania się, czy śpią razem, aby się upewnić, którego więcej kocha denatka i z kim chce żyć, czy z nim, czy z mężem. Denatka mówiła do świadka, że woli oskarżonego, jak męża (...)” - w uzasadnieniu wyroku wybrzmiewa przekonanie składu sędziowskiego o ogromnym uczuciu, które połączyło kochanków. „Przechodząc do wymiaru kary i biorąc pod uwagę z jednej strony sam fakt zabicia przez oskarżonego człowieka, z drugiej zaś strony dotychczasową jego niekaralność, stosunkowo niski stopień rozwoju umysłowego, przyznanie się do winy, skruchę, jaką okazał oraz pobudki, jakimi się kierował przy dokonywaniu zarzucanego czynu, sąd uznał za słuszne wymierzyć Antoniemu K. jako karę sześć lat więzienia, uważając, że wymierzona mu kara odpowiada w zupełności stopniowi jego zawinienia (...)” - czytamy dalej.

Wyrok się uprawomocnił.

ALKOHOLOWA AMNEZJA

Przez wiele miesięcy Temida ważyła losy Jakuba M. Czy zabił? Czy z morderstwem nie miał nic wspólnego? Dzięki zwinności i nieprzeciętnym zdolnościom adwokata w sprawie tej zapadły dwa, diametralnie różne wyroki.

Jakub M. został oskarżony o zabójstwo. Miał wtedy 52 lata.

31 lipca 1946 roku w Szczecinku przy ul. Emilii Plater, miał strzałem z pistoletu w głowę zabić Edwarda K., zdemobilizowanego oficera Wojska Polskiego. Śledztwo w tej sprawie trwało pół roku i pełniąc obowiązki podprokuratora H. Branecka pewna była, że nie ma już żadnych znaków zapytania. „(...) Edward K. wyszedł ze swojego mieszkania, zabierając od żony 5-6 tys. złotych, aby na rynku okazji coś kupić. Krótko po jego odejściu przyszedł Jakub M., pytając żonę K., gdzie jest mąż (...)” - szczegółowo odtwarzała przebieg zdarzeń.

- Byliśmy małżeństwem od pięciu lat. Do Szczecinka przyjechaliśmy w marcu 1946 roku. Do dnia śmierci mąż nigdzie nie pracował - opisywała milicjantom młoda, bo 22-letnia wdowa, Janina K.

Według aktu oskarżenia Jakub M. znalazł Edwarda K. w herbaciarni przy ul. Marszałka Żukowa 39. Herbaciarni głównie z nazwy - koledzy wypili tam tego popołudnia sporo wódki. - Nadmieniam, że wchodząc tam byłem już podpity. Przedtem piłem wódkę na pl. Winnicznym ze znajomym mi z widzenia, który ma owocarnię przy ul. Stalina - 52-letni M. przyznał podczas przesłuchania milicjantowi.

Po wypiciu kilku głębszych Edward i Jakub wyszli z herbaciarni. Po pewnym czasie M. wrócił do lokalu sam i oznajmił: „Edek leży”. Zaprowadził właściciela herbaciarni na ulicę Plater, gdzie oparty o płot siedział Edward K. Jeszcze żył. Przez kilka minut. Zmarł w mundurze Wojska Polskiego. Na sercu nosił Krzyż Walecznych.

Milicjanci i medycy po oględzinach uznali, że strzał musiał paść ze znacznej odległości. To stwierdzenie było kluczowe dla pierwszych rozstrzygnięć w sprawie. Ponad metr od ciała znaleziono pistolet - rosyjską T.T. Jakub M. od początku był podejrzanym i od początku konsekwentnie zaklinał, że nie pamięta, co się wydarzyło. Tak był pijany.

Rozprawa przed Sądem Okręgowym w Koszalinie odbyła się

23 kwietnia 1947 roku. Jakub M. do winy się nie przyznał. Przekonywał, że Edward był jego dobrym kolegą. Feralnego dnia, gdy siedzieli przy stoliku w herbaciarni, dołączyło do nich trzech sowietów. - Major, sierżant i szofer. Major usiadł przy stole, a dwaj pozostali stali z tyłu za mną. Wyciągnął 900 zł i dał Edwardowi - wyjaśniał.

Po przekazaniu pieniędzy mężczyźni mieli odjechać, a Jakub i Edward po chwili mieli opuścić lokal. - Dokąd my poszli, nie pamiętam.

Nie pamiętam, co było dalej. Ja pistoletu nie miałem. K. miał i pokazywał go w herbaciarni - zeznania oskarżonego nie wnosiły wiele do sprawy. Pistolet widziała kelnerka, Leonarda J.

- Wyjmował go z tylnej kieszeni spodni, po czym chował - pamiętała.

Inni świadkowie? Józef W., 55-letni właściciel herbaciarni, 31 lipca około godz. 13 kupił od Edwarda K. za 600 złotych 200 sztuk papierosów. Pamiętał, że mężczyzna pił przy stoliku z rosyjskimi żołnierzami, później dołączył Jakub M. Rozmowy szły na tyle gładko, że do kolejnej flaszki dosiadł się i on. Oraz kelnerka. - Po wypiciu K. zapłacił rachunek - 360 złotych. Wraz z M. z lokalu wyszli, a było to około godz. 15 - opisywał Józef W. Po kilkunastu minutach Jakub M. wrócił do lokalu sam. - Powiedział tylko, że K. leży. Myślałem, że pijany gdzieś leży. Poszliśmy jeszcze z Łukaszem W. we wskazane miejsce. Ale nikogo tam nie było. Szukaliśmy - relacjonował. Wreszcie odnaleźli konającego mężczyznę.

24-letnia Halina K. widziała, jak Edward i Jakub w drodze na ul. Plater spotkali się z jakimś kolejarzem. Potem tylko usłyszała strzał. Naocznych świadków tragedii nie było.

Motywy zabójstwa mogły być pieniądze - 5-6 tys. złotych od żony na okazyjne zakupy. Mogły być, ale przy oskarżonym, który z Edwardem K. zajmował się handlem tytoniem, takich pieniędzy nie znaleziono. Na jego niekorzyść przemawiały zeznania świadków - twierdzili, że owszem, był lekko wstawiony, ale ich zdaniem nie tak, by stracić pamięć i świadomość.

W sprawie na sesji wyjazdowej w Szczecinku wyrokował wiceprezes Sądu Okręgowego dr Kukła. Jakub M. został uznany za winnego zastrzelenia Edwarda K. Zdaniem sędziów działał pod wpływem „silnego wzruszenia”. Został skazany na siedem i pół roku więzienia, ale na mocy ustawy amnestyjnej kara została złagodzona do pięciu lat.

W uzasadnieniu wyroku sędziowie na podstawie zeznań świadków podnoszą m.in. fakt, iż oskarżony, wbrew temu co twierdził, wcale dużo

nie wypił. Raczej udawał, a dolewał ciągle swemu kompanowi. Winę M. potwierdzić miała też jego zakrwawiona czapka, którą odnaleziono na miejscu zabójstwa. Jedna ze świadków widziała też mężczyzn, słyszała ich kłótnię i zauważyła, że jeden przekładał z ręki do ręki pistolet.

Sędziowie alkoholową amnezję przyjęli za próbę nieudolnej obrony.

Wyrok za niesłuszny uznał wiceprokurator Sądu Okręgowego w

Koszalinie Władysław Kaczkowski. Wniósł o wymierzenie surowszej kary. „Ustalenia sądu, że oskarżony działał pod wpływem silnego wzruszenia są oparte jedynie na wniosku, iż w uniesieniu spowodowanym poprzednią kłótnią z K. strzelił do niego z pistoletu. (...) przewód sądowy wykazał, iż nastrój systemu nerwowego u oskarżonego nie odbiegał od równowagi duchowej” - przekonywał oskarżyciel, akcentując, że z zamiarem zabójstwa Jakub M. nosił się już wcześniej, bowiem wcześniej między mężczyznami miało dojść do sporu o pieniądze.

Apelację od wyroku złożył też znany koszaliński adwokat J. Łabęcki, o którym mało by rzecz szczegółowy. Zwrócił uwagę na nieścisłości pomiędzy zeznaniami świadków i protokołem. Zaznaczył, że nie tylko jego klient i Edward K. nie byli skonfliktowani, ale też śmiało można było nazwać ich przyjaciółmi. »K. odnosząc się do oskarżonego używał słowa „ojcze” i no nawet, gdy oskarżony pierwszy wychodził z restauracji - K. płacąc przy bufecie prosił go słowami, „niech ojciec zaczeka”.

Obrońca zaznaczył też, że zeznając pod przysięgą żona właściciela herbaciarni nie podtrzymała już twierdzenia, jakoby 52-letni oskarżony miał dolewać wódki ponad 20 lat młodszemu Edwardowi, chcąc go w ten sposób upić. Mecenas podważył też dowód z zakrwawionej czapki - po pierwsze, gdyby była to krew ofiary, Jakub M. musiałby stać z jego prawej strony - od strony rany wylotowej. Tylko wtedy mogłaby bryzgnąć na niego krew. A jeśli tak - nie mógł zabić. Po drugie - ekspertyza lekarska nie potwierdziła, że to krew denata.

Kolejną wątpliwość rodziła różnica wzrostu - strzał był oddany w lewą część czaszki, nad uchem pod kątem 45 stopni w dół. K. mierzył 170 cm, a oskarżony był wiele niższy. „Gdyby strzelał, to rana wlotowa umiejscowiona by była niżej, a wylotowa wyżej” - wskazywał Łabęcki. Zauważył, że K. mógł zginąć od zabłąkanej kuli, bowiem wielu sowieckich żołnierzy urządzało sobie poligon w różnych częściach Szczecinka.

Rozprawa odwoławcza toczyła się przed Sądem Apelacyjnym w Gdańsku. Wezwany na rozprawę lekarz zeznał, że plama na czapce... nie była krwią. Do tego, że oględziny zwłok wykonane były - jak określił - „wadliwie”. Prokurator wniósł więc o ekshumację zwłok i ponowne badanie przez biegłego lekarza. Sąd wyraził na to zgodę.

Do Sądu Grodzkiego w Szczecinku wpłynęło postanowienie o wysłaniu głowy Edwarda K. do Zakładu Medycyny Sądowej przy

Akademii Lekarskiej w Gdańsku. „Głowę do przesłania należy tak zabezpieczyć, by nie zostały zatarte ślady sadzy na czaszce, o ile strzał został oddany z przystawienia (...)” - przestrzega przewodniczący wydziału.

20 stycznia 1948 roku sędzia Sądu Grodzkiego udał się na cmentarz w Szczecinku. W asyście milicjanta i protokolanta nadzorował ekshumację. „Po otwarciu trumny ze zwłokami śp. K. Edwarda przystąpiono do oddzielenia głowy od tułowia cięciem okrężnym, przecięto skórę zmumifikowaną i przy pomocy ruchów obrotowych oddzielono głowę od kręgosłupa. Głowę umieszczono w pudełku blaszanym (...)” - czytamy w protokole.

Sprawozdanie sądowo-lekarskie było zaskakujące. „Na podstawie przeprowadzonych oględzin głowy dochodzę do wniosku, że uszkodzenia tej głowy powstały w następstwie przestrzahu. Strzał ten był dany w prawą okolicę skroniowo-ciemieniową, tuż nad prawym uchem, w kierunku od strony prawej do lewej (...). Strzał ten był oddany z broni palnej średniego kalibru (7,65, względnie 7,62 mm). Brak cech strzału z pobliza, względnie z przystawienia uniemożliwia ściśle wypowiedzenie się co do odległości strzału, ponieważ cechy strzału z pobliza w związku z daleko posuniętym rozkładem mogły ulec zatarciu. Umiejscowienie i kierunek postrzału nie są typowe dla strzału samobójczego, aczkolwiek na podstawie umiejscowienia i kierunku nie można wykluczyć możliwości oddania strzału przez samego denata” - to są główne wnioski.

Wezwany na rozprawę przed Sądem Apelacyjnym w Gdańsku biegły lekarz powiedział: - Na podstawie dokonanych oględzin głowy denata i przestudiowaniu kart doszedłem do nowych wniosków. Rodzaj ran wskazuje na to, że wlot kuli musiał nastąpić nad prawym uchem, zaś wylot nad guzem czołowym. Strzał zaś nastąpił z przystawienia broni, w którym to wypadku wlotowa rana zwykle jest większa. To prawdopodobieństwo graniczy z pewnością, że umiejscowienie rany przemawia za samobójstwem. Strzał mógł pochodzić z broni 7,62 mm - wyjaśnił profesor. Odniósł się też do ewentualnych powodów targnięcia się na życie. - Jeśli chodzi o motywy samobójstwa, swego czasu specjalnie tą kwestią nie interesowałem się, przeprowadzając badania. Nikły jest procent samobójstw z przyczyn wyraźnych elementów, jak pozostawienie listu o zawodzie miłosnym itp. Przyczyną większości jest niezrównoważenie psychiczne, przyczyną bywa też upojenie alkoholowe - powiedział. Lekarz dodał też, odnosząc

się do miejsca znalezienia pistoletu, że przy postrzale denat traci przytomność, następuje „zwolnienie mięśni”, ale „mógł jeszcze uczynić krok i odrzucić broń w taki sposób, jak w tym przypadku” - zakończył.

27 lutego 1948 roku w gdańskim Sądzie Apelacyjnym uchylony został wyrok skazujący Jakuba M. na więzienie. Został on uniewinniony od zarzutu zabójstwa. Dzień później, w południe, został zwolniony z więzienia w Koszalinie do domu. Po ponad 1,5 roku za kratami wrócił do Szczecinka.

STRZELAK,
BO NIE
BYŁA MU
POSŁUSZNA

Zginęła z ręki brata we własnym domu. Tuż przed śmiercią chciała 20-letniego mężczyznę uratować przed karą. Kłamała, że sama się postrzeliła. Wszystko widzieli jednak świadkowie. Kara była więc nieuchronna.

W drugą rocznicę powstania ORMO urządzono wielką fetę. Przedstawiciele najwyższych władz krajowych zgromadzili się w sali Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Były uroczyste przemowy, uściski rąk, gratulacje. Wszystko pod sporych rozmiarów ilustracją. Na niej gałązka pokoju spleciona była z sowiecką pepeszą. Jak dziś nazwać pomysł artysty na kontrowersyjne w swej wymowie dzieło? Nadużyciem? Co najmniej. Z pistoletu maszynowego PPSza zginęło wiele osób. Nie tylko na polu walki. Również pod dachem bezpiecznego domu. Jak rok przed tą nadętą imprezą w ministerstwie - w domu przy ul. Kasprowicza w Koszalinie. Przenieśmy się do roku 1947. Mamy styczniowe, mroźne popołudnie...

31 stycznia. Pościg trwał trzy godziny. Około godz. 17 Marian W., 20-letni ORMO-wiec, został zatrzymany. Sam wyszedł z ukrycia. Po 1,5 godziny od momentu, kiedy na jego nadgarstkach zatrzasnęły się kajdanki, w koszalińskim Szpitalu Powiatowym w Koszalinie, do którego sam przyszedł, umarła jego rok starsza siostra. Jadwiga została zastrzelona. Strzelał jej brat. Strzelał, bo nie była mu posłuszną.

Skończył trzy klasy szkoły powszechnej, ale do rubryki zawodów podczas pierwszego przesłuchania dumnie podał „militant ORMO”. - Około godz. 14 przyszedłem do mieszkania, gdzie zamieszkuję przy rodzicach i zażądałem od swej siostry Jadwigi pasa, który schowała. Kategorycznie go zażądałem, bo potrzebowałem go do służby - wyjaśnił przesłuchującemu go śledczemu. - Ponieważ pasa siostra oddać mi nie chciała, zaczęła się awantura. Siostra złapała za PPSzę i trzymając ją za lufę uderzyła mnie po prawym ramieniu - skarżył się 20-letni koszalinianin. - W momencie uderzenia mnie padł strzał, który ugodził siostrę w prawy bok. Z obawy położyłem automat w kuchni i zbiegłem, pozostawiając siostrę w domu.

Młody mężczyzna zdecydował sprawdzić w szpitalu, czy siostra żyje. Tam został zatrzymany. Trafił do aresztu.

Po sekcji zwłok 21-letniej Jadwigi W. za przyczynę śmierci uznano „obfity wylew krwi do jamy brzusznej na skutek rany postrzałowej z broni palnej w brzuch ze strony lewej.” Rany były dwie, co stoi w opozycji do wersji Mariana W. - twierdził, że siostra postrzeliła się raz, że nie na serię, a na pojedyncze strzały pistolet był ustawiony. A przecież ciało młodej kobiety przeszły dwie kule.

5 lutego Marian W. został wezwany przed oblicze asesora S.

Kozłowski, sędziego śledczego rejonu Sądu Okręgowego w Koszalinie. Nie przyznał się do zabójstwa siostry. Znow powtórzył, że rodzeństwo poróżnił... pas. - Miałem wyjechać służbowo jako konwojent. O godz. 14 miałem się zgłosić na Komendę Powiatową MO po rozkaz wyjazdu. W tym celu udałem się do domu, żeby zabrać broń i pas - wyjaśniał. A, że siostra pasa nie chciała dać... - Załadowałem PPSzę na pojedyncze strzały i położyłem na kanapę. Siostra chwyciła broń, odciągnęła zamek do tyłu i kolbą uderzyła mnie w ramię. W tym momencie padł strzał - forsował mało prawdopodobną wersję zdarzeń.

- Siostra moja była nerwowa i często dochodziło do kłótni czy to z matką, czy to z innymi członkami rodziny - zaakcentował na koniec wyjaśnień.

W tym czasie w domu była matka Mariana i Jadwigi, dwie ich siostry i sąsiadka Wanda. 43-letnia Bronisława W., osierocona matka, pierwsze zeznania złożyła już kilkanaście godzin po tragedii. - Syn Marian prosił córkę Jadwigę o pożyczenie pasa. Pas był jej własnością, gdyż uprzednio on jej go sprzedał. Jadwiga pasa dać nie chciała, twierdząc, że jest jej potrzebny. Wówczas nastąpiła sprzeczka, która trwała około pół godziny. Bardzo rozgniewany Marian raz jeszcze zażądał pasa od Jadwigi, która i tym razem dać go nie chciała - opisywała ze szczegółami kolejne minuty awantury. Matka nie miała wątpliwości - to Marian miał w rękach PPSzę gotową do strzału. -1 w tej chwili padł strzał, który trafił córkę w bok. Syn zaczął płakać i wybiegł. Córkę w stanie bardzo ciężkim zabrano pogotowie. Lekarz powiedział, że stan jej jest beznadziejny... - mówiła Bronisława.

Jadwiga do ostatniej chwili nie straciła przytomności. - Do wywiadowców z komisariatu, którzy mieli ją przesłuchać powiedziała, że zastrzeliła się sama. Jednak czy tak było nie jestem w stanie określić, a to dlatego, że wszyscy byliśmy w stanie silnie podnieconym - z kolejnymi minutami przesłuchania matka coraz bardziej gubiła się w zeznaniach. Na tym więc je skończyła, podpisując trzema koślawymi krzyżykami.

Nieco jaśniej i konkretniej mówiła 34-letnia Sabina W., sąsiadka, która pomagała przy pracach domowych. Gdy padł strzał, za ścianą prała bieliznę. Wbiegła do pokoju. - Zobaczyłam leżącą na kanapie Jadwigę, która powiedziała, że została zastrzelona. Marian postawił PPSzę i wyszedł - zrelacjonowała.

16-letnia Zofia, siostra Mariana i Jadwigi, widziała jeszcze więcej. Widziała, jak w trakcie kłótni o sprzedany wcześniej za 100 złotych pas,

brat zaczął bić siostrę kolbą pistoletu maszynowego po biodrze. - Odstąpił od niej kilka kroków, trzymając PPSzę w ręku. Gotową do strzału. W momencie tym padł strzał, który ugodził siostrę w bok. Po wypadku brat zostawił PPSzę w kuchni i udał się w niewiadomym kierunku - zeznała Zofia.

Milicjanci dochodzenie zakończyli po pięciu dniach. Nie mieli wątpliwości, że Marian W. zabił. Nie ustalili, czy miał zamiar odebrać jej życie, ale że taki był efekt jego czynów.

17 lutego 1947 roku, po zaledwie kilkunastu dniach od tragedii, gotowy był już akt oskarżenia. Koszaliński Sąd Doraźny zebrał się 4 marca. Marian W. do winy nie przyznał się. Powtórzył mało prawdopodobną wersję o tym, że siostra sama się postrzeliła. Ubarwił swą opowieść o ewolucje z pogranicza cyrkowych: - Padł strzał i siostra upadła na kanapę. Ja złapałem w powietrzu automat i postawiłem go w kuchni - opisał swą zwinność. - Nie żyliśmy z siostrą w zgodzie, ale nie miałem zamiaru jej zabić. Nadmieniam, że siostry nienawidziłem - przyznał. O swych umiejętnościach strzeleckich powiedział tyle: - W ORMO służyłem trzy miesiące i miałem broń. Uczyłem się strzelać co niedzielę.

Świadków nie było wielu. Matka, siostra, sąsiadka. Po upływie kilku tygodni Bronisława zeznawała już spokojniej. Przyznała, że zaniepokoiło ją to, że podczas kłótni z siostrą Marian, który jej zdaniem nie umiał się jeszcze obchodzić z bronią, nie wypuszczał swej PPSzy z rąk. Z jej zeznań wynika jasno, że on strzelił, a w szpitalu, konająca Jadwiga postanowiła bronić brata i skłamać, kryjąc go, że sama się postrzeliła.

- Leżąc na kanapie krzyczała tylko: jestem zabita - dodała sąsiadka.

Marian W. najprawdopodobniej wiedział już, że jego wersja legła w gruzach wobec relacji świadków i opinii lekarza, który wskazał, iż strzały padły z boku, a nie - jak twierdził oskarżony - z przodu. W ostatnim słowie prosił więc sąd o łagodny wymiar kary.

Sąd uznał 20-letniego koszalinianina winnym tego, że wystrzelał z PPSzy „zabił pod wpływem silnego wzruszenia” siostrę Jadwigę, czyli wyczerpał znamiona czynu opisanego w artykule 225 par. 2 ówczesnego Kodeksu karnego. Kara - 6 lat więzienia. Przy wymiarze kary sąd wziął pod uwagę młody wiek sprawcy, dotychczasową niekaralność i niski stopień rozwoju umysłowego oraz silne wzburzenie w chwili zabójstwa.

Skazany skorzystał z amnestii, na mocy której zmniejszono mu karę

o połowę. Po dwóch latach zaczął starać się o ułaskawienie. Starania te pozostały bezowocne.

WYBUCHOWA PRZESYLKA

29 października 1946 roku na posterunek milicji w Dzegowie, dzisiejszym Dygowie, w granicy powiatu kołobrzeskiego wkroczyła przerażona i wściekła jednocześnie 24-letnia Helena T. Przerazona, bo miała już nie żyć. Wściekła, bo nie wiedziała, kto ją chciał zabić.

Lucja R., pracownica Urzędu Pocztowego w Kołobrzegu, dobrze zapamiętała tego klienta. - Do okienka podszedł osobnik, który w języku niemieckim zażądał dziesięciozłotowych znaczków pocztowych. Nie przypominam sobie, żebym ja pierwsza odezwała się do niego po niemiecku, tym bardziej że język ten znam słabo - opisywała prokuratorowi. - Ponieważ nieznany mi osobnik mówił po niemiecku nieporadnie, zorientowałam się, że jest on Polakiem. Zdenerwowało mnie to - podkreśliła. No bo przecież, po co udawać Niemca? Szczególnie tuż po wojnie.

Otóż był powód. Mężczyzna nadał kilogramową paczkę, z którą wolał nie być później kojarzony. - Ubrany w letni płaszcz, średniego wzrostu, szczupły i młody, włosy jasny blond - opisała urzędniczka.

Tajemniczy blondyn zaadresował paczkę do Heleny T., zamieszkałej we wsi, która nosiła nazwę Tramno. Paczka dotarła na pocztę w Dzegowie. - Ja nie mając nikogo znajomego, kto mógłby mi taką paczkę przesłać, z ciekawości tylko postanowiłam ją rozpakować - nie kryła Helena T., zawiadamiając posterunkowego o próbie zamachu na jej życie. Zdecydowała, że pokwitowania nie podpisze, paczki do domu nie zabierze, a jedynie może rozpakować ją przy świadkach na poczcie. O pomoc poprosiła listonosza, który ostrożnie zaczął rozwijać tajemniczy pakunek. - Po rozpakowaniu okazało się, że w paczce był... granat! - powiedziała mundurowym Helena T.

Granat, a raczej misterna konstrukcja, która po otwarciu miała eksplodować w rękach adresata. Miała, gdyby adresat, w tym przypadku adresatka, nie wykazała się nie lada podejrzliwością.

Milicjanci ostrożnie przystąpili do oględzin tajemniczego pakunku. „Paczka została nadana w Urzędzie Pocztowym w Kołobrzegu 28 października 1946 roku” - czytamy w protokole. Nadawca podpisał się „Szymański M.” Przesyłkę opakował płótnem. W środku było tekturowe pudełko. „A w nim pudełko metalowe długości 17,5 cm, szerokości 11 cm, wysokości 7 cm. Wewnątrz widać było granat.”

To właśnie dziura w metalowym pudełku sprawiła, że niebezpieczna zawartość mogła być zauważona przed podniesieniem wieka. Do wieka bowiem przymocowany był miedziany drut, połączony z zawleczką. W środku zamocowane zostały jeszcze dwie duże sprężyny, które, jak ocenili mundurowi, „rozpierały pudełko”. Miały one silnie wypchnąć poruszone wieko, przesuwając do granicy pewności

prawdopodobieństwo wybuchu.

Milicjanci zaczęli tworzyć listę podejrzanych osób, które mogły mieć motyw i chciały wyrządzić Helenie T. krzywdę. Sprawcę udało się ustalić błyskawicznie - w przedstawionej grupie mężczyzn rozpoznała go pracownica poczty, u której nadawał paczkę. 31 października Stanisław T., 37-letni rolnik, który do powiatu kołobrzeskiego, do Tramna przyjechał z Wilna, został doprowadzony na posterunek. Przyznał się do winy.

28 października granat zaczepny zapakowałem w pudełko blaszane, do którego włożyłem dwie sprężyny, wieko pudełka z bezpiecznikiem granatu połączyłem drutem, wszystko to zapakowałem do pudełka tekturowego, a następnie zawinąłem białym płótnem i postanowiłem wysłać Helenie T. - powiedział. Do Kołobrzegu pojechał pociągiem. Przebieg zdarzeń z poczty pokrywał się z wersją urzędniczką. Milicjanci chcieli poznać motyw. - Przygotowując tę paczkę nie miałem na celu zabić, a jedynie nastraszyć Helenę T. To dlatego, że Feliks O. i jego żona przedstawili mi ją, jako wroga dla mnie - mętnie wyjaśniał. Tłumaczył, że przez Helenę T. stracił konia, że miała mu kogoś przydzielić do gospodarstwa, które sam podniósł z ruiny.

Skąd u rolnika granat? - Granat otrzymałem od kolegi, który już nie żyje, w czerwcu 1946 roku. Trzymałem go dla własnej obrony przed bandytami. Mieszkam na uboczu. Najbliższy sąsiad mieszka około 200 metrów ode mnie - wyjaśnił 37-letni Stanisław T. - Nadmieniam, że z Heleną T., jako obywatel tej samej gromady, żyłem w dosyć dobrych stosunkach koleżeńskich i nigdy nie miałem zamiaru pozbawić ją życia. Dokonałem tego czynu jedynie dlatego, że ludzie przedstawili mi ją w bardzo czarnych kolorach w stosunku do mnie - zakończył wyjaśnienia.

39-letnia Helena O. stanowczo zaprzeczyła, że namawiała Stanisława do zrobienia Helenie krzywdy. Zaprzeczyła, że w ogóle kiedykolwiek rozmawiała z nim na jej temat. Podobnie jej mąż, Feliks O.



Milicjanci potrzebowali zasięgnąć opinii o podejrzanym. Poprosili o to wójta gminy F. Strzyżewskiego. Zaświadczył on, że przez cały okres zamieszkiwania w Tramnie Stanisław T. „zachowywał się wzorowo i nienagannie, i nie dawał powodów do zażaleń w tutejszym urzędzie gminnym”. Pełnił on funkcję agronoma gromadzkiego, z której „wywiązywał się wzorowo i cieszył się dobrą opinią. Gospodarstwo przydzielone mu z wysiłkiem dźwignął ze stanu zupełnego ogołocenia i

doprowadził do zdanego gospodarowania.”.

1 listopada milicjanci zakończyli dochodzenie. Komendant posterunku kapral Tadeusz Ostapiński przygotował ciekawe w swej treści sprawozdanie. „(...) stwierdzić mogę, że T. dokonał przestępstwa na skutek spraw osobistych. Ob. T. Helena jest kobietą zarozumiałą, rości pretensje do władzy, jako pracowniczka Urzędu Gminnego niejednemu z obywateli na skutek swojej zarozumiałości usiłowała poderwać opinię lub też w inny sposób dokuczyć. T. Stanisław miał do niej pretensje, wymieniona przyczyniła się do odebrania mu konia, który miał być do spółki z Feliksem O., a następnie (...) czyniła starania, by na zajętych przez T. gospodarstwie osiedlić jeszcze jednego rolnika. Stanisław T. przywiązany do roli i pracy widział w tym upadek swojej gospodarki i wielkiego wroga w ob. T. Helenie, więc postanowił ją unieszkodliwić. Mając tak dobry charakter uważam, że nie miał na celu zabicia Heleny T., lecz tylko unieszkodliwienia jej, nie zdając sobie sprawy, co czyni i jaka spadnie na niego odpowiedzialność.”. Kapral dodał jeszcze, że Stanisław T. to dobry obywatel, sąsiad, wzorowy rolnik, przez dwa lata służył w wojsku, brał udział w wielu walkach. „Jest zupełnie nerwowo wyczerpany i dopuścił się przestępstwa jedynie dlatego, by utrzymać się na gospodarstwie i zniszczyć wroga swego osobistego, który stał na jego drodze” - napisał milicjant.

Mimo tak pochlebnego wobec Stanisława T. podsumowania milicyjnego śledztwa, 2 listopada 37-letni rolnik trafił do aresztu. Sędziemu podczas przesłuchania powiedział, że miał jeszcze jeden powód, by zrobić, co zrobił-kochał Helenę, a ona odrzuciła jego uczucia.

Prokurator wzywał na przesłuchania wszystkich świadków. Z zeznań listonosza, który na zlecenie Heleny T. przy innych pracownikach poczty otwierał paczkę, wynika, że niewiele brakowało, by do tragedii doszło zanim jeszcze adresatka zgłosiła się po przesyłkę. - Przywiozłem paczkę ze stacji. Rzuciłem ją w magazynie na pocztę i kopnąłem - nie krył, jak „troskliwie” obchodził się z przesyłką. - Inni również ją kopali, gdy przechodzili koło niej - od razu dodał. - Przypuszczałem, że w paczce jest zegar, gdyż w środku coś brzęczało, gdy ją trzymałem - opisywał.

Kiedy na prośbę Heleny T. odwinął płótno i wyjął blaszane pudełko z kartonowego, nie zorientował się jeszcze, co trzymał w rękach. - Przez otwór zobaczyłem coś, co mi przypominało dynamo do roweru albo lampę do radia. Spytałem T., czy ma w domu radio, a ona powiedziała,

że to na pewno jest bomba - relacjonował.

Prokurator J. Kulicki akt oskarżenia podpisał 10 grudnia 1946 roku. Zarzucił Stanisławowi T. usiłowanie zabójstwa Heleny T., co zrobić miał „z powodu nienawiści, jaką darzył ją za wzgardzenie jego uczuciami” - uzasadnił oskarżyciel. I dalej: „T. zaprzeczyła, aby on kiedykolwiek zdradził się z miłością ku niej i wyjaśniła iż podobnym jego słowom przeczy jego współżycie z Niemką i że jedynym powodem nienawiści T. jest fakt przeciwstawienia się jej u wójta, aby przydzielono mu konia

Rozprawę przed Sądem Doraźnym w Koszalinie wyznaczono na 3 stycznia 1947 roku. obrońca T. rozpoczął od złożenia wniosku o przesłuchanie matki oskarżonego, na okoliczność faktu, że syn jej podczas służby wojskowej cierpiał na rozstrój nerwowy. Sąd nie przychylił się do wniosku, gdyż - jak argumentował - matki na polu walk z synem nie było, więc poświadczyć tego wcale nie może.

Kolejny wniosek obrony - dostarczyć granat na salę. Dlaczego? By stwierdzić, że był stary, zardzewiały i w żadnym wypadku by... nie wybuchł. Decyzja miała zapasać na koniec posiedzenia.

Po odczytaniu aktu oskarżenia Stanisław T. przyznał się do wysłania granatu, ale zaprzeczał, że chciał zabić Helenę T. - Chciałem ją nastraszyć, by się ode mnie odczepiła, bo spowodowała odebranie mi jednego konia, a drugiego przez nią nie dostałem - podkreślił. Co z uczuciami? Wątek ten pojawił się tylko raz - podczas przesłuchania aresztowanego w sądzie w Karlinie. - Cofam swoje zeznania. Czułem do niej jedynie żal, że mi ciągle krzywdę robi i w ogóle byłem ogromnie rozgoryczony, że mi się życie nie układa. Przesyłając granat nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co robię. Gdybym to robił na zimno, to bym się ucharakteryzował. A przy okienku rozmawiałem po niemiecku tylko dlatego, że kobieta przede mną też rozmawiała po niemiecku - opisywał.

Stanisław. T. opowiedział też o walkach o Warszawę, o tym, jak znerwicowany z linii frontu został przeniesiony do pułku gospodarczego, jak leczył się na nerwicę serca. - Gdybym chciał zabić Helenę, to bym się wprost na nią rzucił - zakończył swe wyjaśnienia.

Helena T. przed sądem odniosła się do motywów, które wskazał oskarżony. - On dostał drugiego konia, ale... już po żniwach powiedziała.

Sąd po wysłuchaniu zeznań świadków zarządził wykonanie ekspertyzy granatu, by ustalić, czy mógł on wybuchnąć i zabić.

Ekspertyza polegała na... wyjęciu granatu z puszki, oderwaniu zawlecзки i rzucie. „Po około pięciu minutach granat nie eksplodował” - czytamy w protokole. Nie eksplodował tylko - jak wskazali biegli - przez wilgoć. - Gdyby lont zapalnika nie był wilgotny, wybuch by niewątpliwie nastąpił - 7 lutego przed sądem oświadczyli biegli. Biegły usłyszał jedynie lekki wystrzał, co - jak wyjaśnił sądowi - oznaczało, że eksplodował nabój zapalający lont, który to z kolei miał zapalić słonkę detonującą zapalnika, ta zaś spowodować miała wybuch granatu. Biegły stwierdził też, że z zewnętrznego wyglądu granatu nigdy nie można stwierdzić, czy wybuchnie on czy też nie.

Zeznania te z pewnością wpłynęły na treść wyroku. Stanisław T. został uznany za winnego usiłowania zabójstwa Heleny T. i skazany na 5 lat za kratami.

Prokurator Kulicki uznał wymierzoną Stanisławowi T. karę za rażąco łagodną i złożył apelację. „Rodzaj działania oskarżonego i sposób jego przeprowadzenia wskazują na duże nasilenie złej woli i brak wszelkich skrupułów moralnych. Oskarżony usiłuje się bronić twierdzeniem, że gdyby chciał zabić T., to by rzucił granat na nią. (...) Oskarżony działał na zimno, dokładnie przeanalizowawszy sytuację i tak przygotował zbrodnię, aby uniknąć ryzyka ujawnienia się (...), nie bacząc przy tym na to, że poza T., do której miał złość, mogły zostać narażone na śmierć i inne osoby, najzupełniej obojętne dla oskarżonego (...) - argumentował oskarżyciel.

10 marca 1947 roku Sąd Apelacyjny w Gdańsku zaskarżony wyrok Sądu Doraźnego w Koszalinie, co do wymiaru kary, uchylił i skazał Stanisława T. na 9 lat więzienia. Jednocześnie, stosując ustawę o amnestii, karę tę złagodził o jedną trzecią - do 6 lat więzienia. „Sąd Apelacyjny uznał za wykretną obronę oskarżonego, że miał on tylko zamiar nastraszyć T. i że wiedział, iż granat nie jest zdatny do użytku, gdyż w takim razie nie byłby tego granatu przechowywał w swoim mieszkaniu, jak zeznał, w celu użycia go dla własnej obrony w wypadku jakiegoś napadu i nie byłby konstruował tak skomplikowanego mechanizmu, mającego spowodować wybuch granatu przy otwarciu paczki. Fakt, że mechanizm był zrobiony ze znanstwem i musiał spowodować eksplozję granatu świadczy niewątpliwie o zupełnie świadomym działaniu oskarżonego w kierunku dokonania zamierzonego czynu przestępnego, przy czym oskarżony jako były żołnierz, znający dobrze niebezpieczeństwo takiego granatu dla życia i zdrowia ludzi, w zupełności zdawał sobie

sprawę z tego, że T. i ewentualnie inne osoby, obecne przy rozpakowaniu paczki, muszą ponieść śmierć, gdyż eksplozja granatu, która następuje w bezpośredniej bliskości człowieka, tylko taki skutek spowodować może. Fakt, że granat przy dokonanej przez eksperta próbie nie wybuchł, nie zmniejsza winy oskarżonego i nie może mieć wpływu na wymierzenie niskiej kary, gdyż oskarżony o zwilgotnieniu lontu nie wiedział” - uzasadniali sędziowie.

Niespełna tydzień po wyroku Stanisław T. rozpoczął starania o zawieszenie wykonania kary. W piśmie do Ministerstwa Sprawiedliwości akcentował, że ofiarną i wytężoną pracą zyskał sobie bardzo dobrą opinię, którą lekkomyślnym czynem zniszczył. Chciał ją jednak odbudować i prosił o szansę. Nie otrzymał jej.

O łaskę dla Stanisława T. prosiła też matka - Stefania T. Podkreślała, że Stanisław „brał udział w walkach wyzwoleniczych Polski na froncie z odwiecznym wrogiem hitleryzmem, a przestępstwo popełnił z lekkomyślności.” Był też jedynym żywicielem rodziny „i bez niego skazani jesteśmy na brak opieki i głód, dlatego że z powodu starości nie jesteśmy w stanie pracować” - przekonywała.

„Oskarżony na łaskę nie zasługuje” - tyle w odpowiedzi.

ZATRZYMAŁO
SIĘ JEJ
SERCE.
ZATRZYMAŁY
SIĘ WSKAZÓWKI

Wiesna - żółty zegarek z czarnym paskiem. Kiedy odnaleziono zwłoki 17-letniej Krystyny B., mieszkanki Gąsek, wskazywał godzinę 1.25. O tej właśnie godzinie niespełna dwa tygodnie wcześniej została zamordowana.

Czwartek. 3 sierpnia 1967 roku. Stanisław A. wyszedł do ogrodu. Był ciepły, lekko pochmurny poranek. Wzdłuż ogrodzenia rosły krzaki malin. Kawalek dalej rzędy porzeczek. Część nadmorskiej działki mężczyzna przeznaczył pod uprawę warzyw - mógł pochwalić się dorodnymi główkami kapusty, obrodziła fasolka szparagowa, czekał na zbiory dyni i chrzanu. W rogu ogrodu część terenu nie była zagospodarowana. Lebioda i oset sięgały Stanisławowi do pasa. Jego uwagę zwróciły tego dnia połamane chwasty. Czyżby ktoś tu był? Podszedł bliżej. Dwa metry od ogradzającej ogród siatki zauważył ciało kobiety. Wprawdzie zwłoki były przykryte połamanymi chwastami, nie zamaskowały jej. Leżała na brzuchu. Na jednej stopie miała biały but z wyciętą piętą. Była obnażona. Stanisław pobiegł do telefonu i zawiadomił milicję. Po dwóch godzinach na miejscu byli już technik dochodzeniowy, biegły lekarz i prokurator.

Niebieska sukienka z kory naciągnięta została kobiecie na głowę. Razem z nią różowa halka. Białe reformy miała ściągnięte do kostek. Pięć metrów od ciała mundurowi znaleźli drugi but. Rzut oka na rękę - wskazówki żółtej Wiesny zatrzymały się na godzinie 1.25.

Po odwróceniu zwłok na plecy śledczy zauważyli, że na szyi kobiety zawiązany jest elastyczny pasek z klamerką. Był ciasno zaciśnięty, związany na dwa supły.

Wydeptane chwasty pozwoliły odtworzyć drogę ucieczki sprawcy - do rogu ogrodu w kierunku południowo-zachodnim, gdzie siatka mocowana była do słupka. Widać tam było ślady obuwia, resztki błota.



Krystyna B. była poszukiwana od kilkunastu dni. - 23 lipca 1967 roku o godz. 18.30 pełniłem służbę w posterunku MO Mielno. Zgłosiła się do mnie obywatelka Feliksa B. Oświadczyła, że rozpoznała mężczyznę, który jako ostatni wyszedł z jej córką Krystyną z zabawy w restauracji „Fala” w Sarbinowie w nocy z 22 na 23 lipca. Od tej pory jej córka nie wróciła do domu ani nikt jej nie widział - już po znalezieniu ciała w charakterze świadka przesłuchany został funkcjonariusz milicji z

koszalińskiej komendy.

Wskazany przez matkę 17-latkę był 19-letni Henryk J. Do Sarbinowa przyjechał na wczasy z Piły. - Powiedział, że dziewczyny z imienia i nazwiska nie zna, lecz istotnie, 23 lipca około godz. 1, uprzednio tańcząc z nią jeden raz, wyszedł na ulicę dla ochłody. Po wypaleniu papierosa wrócił na salę po marynarkę. Przedtem jednak do dziewczyny podeszli dwaj mężczyźni, których rysopisów wskazać nie mógł. Rozmawiali z nią. Henryk zapytał, czy będzie ona na niego czekać, potwierdziła, ale gdy wrócił z marynarką, już jej nie zastał. Wtedy udał się spać do autobusu wycieczkowego - opisywał milicjant.

Henryk J. pracował jako pomocnik w warsztacie samochodowym Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego w Pile. 21 lipca 1967 roku organizacja Związku Młodzieży Socjalistycznej przy zakładach zorganizowała wycieczkę autobusową do Sarbinowa. Henryk pojechał wraz z bratem, Jerzym. Autobus do ośrodka zakładów przyjechał około godz. 21. Bracia J. spać musieli w autokarze. Już pierwszego wieczoru spragnieni rozrywki wczasowicze wybrali się do „Fali” na zabawę. Następnego dnia, po odespaniu nocnych szaleństw, spędzili na plaży. Opalali się, grali w piłkę. Wieczorem Henryk i Jerzy znów poszli do „Fali” na tańce. Wtedy to 19-letni Henryk poznał dwa lata młodszą mieszkankę Gąsek, Krystynę.

Przesłuchany po jej zaginięciu zapewniał, że nie wie, co robiła w nocy. Jednak dzień po znalezieniu zwłok do Komendy Miejskiej i Powiatowej Milicji w Pile wezwany został Kazimierz M., tokarz z Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego, który również uczestniczył w lipcowym wypadzie nad morze. - Pojechało 36 osób, między innymi studenci i studentki z Łodzi, którzy w naszym przedsiębiorstwie odbywali praktyki. Ponadto jechało dwóch braci J., ale imion ich nie znam - zeznawał. Pytany o zabawę w wieczór 22 lipca, opisywał: - Około godz. 23 nasze towarzystwo już nie trzymało się swych stolików. Poprzesiadali się. J. był trochę podpity, lecz zachowywał się normalnie.

Zabawa trwała. Kazimierz M. wyszedł na godzinę, a kiedy wrócił, nie widział już młodszego z braci - Henryka. Na drugi dzień usłyszał, że „ochrzanił go kierowca autobusu”, gdyż kiedy wszedł nocą do pojazdu, zapalił światło i obudził go.

23 lipca do domu wczasowego przyszła zdenerwowana Feliksa B., matka Krystyny. - Około godz. 18.45. Pytała o braci z Piły. Chodziło jej o młodszego J. Zawołaliśmy go do niej. Przyszedł, ale był trochę speszony. Kobieta zapytała go, czy był na zabawie. Potwierdził.

Zapytała, czy wracał po marynarkę do restauracji. Powiedział, że tak było. Kobieta powiedziała wówczas, że bawił się on z jej córką, a ona nie wróciła do domu. Myśmy się zaczęli śmiać. On również, ale był przestraszony i zaskoczony. Kobieta odeszła - zeznawał tokarz.

Wieczorem wczasowicze, po krótkim urlopie, wrócili do Piły.

Wszystkie okoliczności wskazywały na to, że choć Henryk J. szedł w zaparte i opisywał dwóch nieznanych mężczyzn, których wyglądu nie pamiętał, jako towarzyszy dziewczyny, to on właśnie był ostatnią osobą, która widziała Krystynę B. żywą. 6 sierpnia został aresztowany. Zwolniony z aresztu 20 sierpnia za kraty wrócił 5 kwietnia 1968 roku. Wreszcie się poddał i przyznał do zabójstwa.

Na 30 kwietnia 1968 roku w Sarbinowie zaplanowano eksperyment śledczy i wizję lokalną. Pozorantką była pracownica komendy wojewódzkiej. Podejrzany był filmowany, nagrywany i fotografowany. Ze szczegółami zaczął opisywać wieczór 22 lipca. Choć w wyjaśnieniach mocno się wybielał, umniejszał swą winę, potwierdził, że jest sprawcą.

- Po wejściu na salę usiadłem z bratem Jerzym przy stoliku, znajdującym się obok wejścia, nieco bliżej środka od stolika, przy którym sprzedawano bilety wstępu - rozpoczął. - W tym miejscu stoliki ustawione są w dwa rzędy i usiedliśmy w drugim, bliżej środka sali. Było to około godz. 21. Siedzieliśmy 10 minut. Potem przesiadliśmy się do kolegów z naszej wycieczki. Na sali wszystkie stoliki były zajęte i odbywały się tańce.

Zabawa była zakrapiana procentami. Na stole stało wino. Henryk napił się i poprosił do tańca jedną z dziewczyn. Około północy - to podejrzany pamiętał dokładnie - poprosił do tańca dziewczynę w niebieskiej sukience. - Na głowie miała przepaskę, na sukience czarny pasek - opisywał. Tym paskiem później ją udusił...

Krystyna siedziała przy stoliku z siostrą, dwiema koleżankami i kolegą. Wszyscy widzieli, że już na parkiecie Henryk J. ją pocałował.

- Tańczyłem w rogu sali, przy samej orkiestrze. Pod koniec pierwszej melodii powiedziałem do tańczącej ze mną dziewczyny, że jest ciasno i duszno i żeby wyszła ze mną z sali. Zgodziła się. Szliśmy, a ona prawą ręką trzymała mnie za lewą, idąc pierwsza - rekonstruował zdarzenia tragicznej nocy.

Szli objęci, niczym para zakochanych. On trzymał dłoń na jej ramieniu, ona na jego biodrze. Szli dróżką w kierunku zabudowań. Doszli do ogrodzenia. Zatrzymali się. Ona stała plecami do siatki. Henryk objął Krystynę. Zaczęli się całować. Dotykał coraz śmieiej.

Położyli się na trawie. Kiedy 19-latek chciał się posunąć o krok dalej, dziewczyna zerwała się z ziemi. - Podniosłem się i przytrzymałem ją za rękę. Przycisnąłem do płotu. Lewą ręką zakryłem jej usta, a prawą złapałem za gardło. Nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało. W pewnym momencie osunęła się na ziemię, upadając wzdłuż płotu, nogami w kierunku restauracji - opisał. Schylił się nad nią i zacisnął na szyi pasek. Dwukrotnie zawiązał. Ciało przerzucił przez płot, a potem zaciągnął w wysokie chwasty.

- Powyrywałem część zielska, przykrywając dziewczynę, a niektóre rośliny zagiąłem, aby ją zasłonić - wyjaśnił.

Wybiegł z ogrodu i poszedł do „Fali”. Usiadł przy stoliku. Zapalił papierosa. Przy stoliku siedzieli koledzy z Piły. - Zapytałem: „jak się bawicie?”, a następnie ubrałem marynarkę i wyszedłem z sali - relacjonował Henryk. Poszedł na plażę. Usiadł na piasku. Zapalił papierosa. Potem poszedł do ośrodka wczasowego, wszedł do autobusu i zasnął.

Akt oskarżenia przeciwko Henrykowi J. 10 sierpnia 1968 roku podpisał podprokurator Janusz Korpalski. Zarzut z artykułu 225 paragraf 1 Kodeksu karnego - o to, że „w nocy z 22 na 23 lipca 1967 roku w Sarbinowie pow. koszalińskiego, działając w zamiarze pozbawienia życia Krystyny B. zacisnął jej szyję rękami, a następnie zadzierzgnął paskiem (...), powodując natychmiastowy jej zgon. (...) Przeprowadzona sekcja zwłok Krystyny B. wykazała, że jej śmierć nastąpiła przez uduszenie lub zadzierzgnięcie paskiem w okolicy szyi, a daleko posunięty rozkład zwłok nie pozwolił na ustalenie innych śladów, a w szczególności faktu odbycia stosunku płciowego”.

Wyrok w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie zapadł 26 września 1968 roku. Henryk J. został uznany za winnego zabójstwa i skazany na 15 lat więzienia. Został też pozbawiony praw publicznych i obywatelskich na pięć lat.

Jaką wersję zdarzeń przyjął sąd? Po wyjściu z dancingu Henryk i Krystyna szli objęci w kierunku Gąsek. Przy płocie posesji Stanisława A. całowali się. „Kiedy poczał rozpinać spodnie i ściągać reformy

Krystynie, ta zerwała się z ziemi i poczęła krzyczeć: „za co ty mnie uważasz?” i wyrwawszy się, poczęła oddalać się od oskarżonego, czyniąc mu głośno wymówki, twierdząc, że błędnie uważa on, iż ona z każdym pójdzie do łóżka, a także wzywając pomocy. Oskarżony, obawiając się kompromitacji, dobiegł do oddalającej się Krystyny, chwycił ją za ręce i poczał prosić, by przestała krzyczeć. Ponieważ

prośba oskarżonego nie skutkowała, chwycił ją jedną ręką za gardło, uciskając kciukami jej krtań, drugą przykrył jej usta, równocześnie przyciskając do płotu. Tak oboje pozostali przez jakiś czas, aż Krystyna poczęła osuwać się na ziemię” - to szczegółowe uzasadnienie wyroku.

Sędziowie nie mieli wątpliwości, że zabójca działał świadomie i dopuścił się zbrodni z winy umyślnej. „Wymierzając oskarżonemu karę należało mieć na uwadze brutalny sposób postępowania oskarżonego, jego beztraskie zachowanie się po popełnieniu przestępstwa, świadczące o braku skrupułów (...) - argumentowali sędziowie, zaznaczając jednocześnie, że młody wiek Henryka nie pozwolił na bezterminowe wyeliminowanie go ze społeczeństwa.

Henryk J. od wyroku koszalińskiego sądu się odwołał. Sąd Najwyższy rozpatrzył jego wniosek 4 czerwca 1969 roku. J. wnosił o zmianę kwalifikacji prawnej czynu na nieumyślne spowodowanie śmierci. Oskarżony zyskał tylko uchylenie utraty praw publicznych i obywatelskich - kara 15 lat za kratami została utrzymana w mocy. Sędziowie w trzyosobowym składzie zaznaczyli, że zachowanie oskarżonego definitywnie wskazuje na to, że nie tylko godził się z tym, iż może zabić Krystynę, ale do jej śmierci bezpośrednio zmierzał. „Wskazuje na to fakt, że skoro oskarżony spostrzegł, iż B. po zwolnieniu ucisku gardła osuwa się bezwładnie, bez należytego sprawdzenia czy ofiara jeszcze żyje, nie tylko nie próbował jej ratować i nie zaalarmował znajdujących się w pobliżu ludzi, lecz przeciwnie - zdjął z niej pasek i zadzierzgnął nim mocno jej gardło z pełną świadomością, iż pozbawia ją życia.”

Henryk J. odsiedział dziesięć z piętnastu wymierzonych mu lat. W kwietniu 1978 roku Sąd Wojewódzki w Lesznie z siedzibą w Kościanie postanowił warunkowo zwolnić go z odbywania reszty kary. Nałożył na 30-letniego wtedy mężczyznę „obowiązek niezwłocznego podjęcia stałej pracy zarobkowej, sumiennego jej wykonywania i prowadzenia nienaganego trybu życia”. W więzieniu Henryk J. skończył szkołę zawodową. Zdobył zawód introligatora. Za wydajną i rzetelną pracę za kratami był kilkadziesiąt razy nagradzany. „Proces resocjalizacji skazanego został już całkowicie zakończony” - funkcjonariusze służby więziennej byli o tym przekonani. Czy tak się stało? Ostatni dokument w aktach tej sprawy to pismo z pilskiej prokuratury - prośba o nadesłanie akt sprawy morderstwa z Sarbinowa. W 1982 roku przeciwko Henrykowi J. toczyło się śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa.

MORDERCA ZAJENCOJ PKO

Żelazny płaskownik niósł zawinięty w „Głos Słupski”. Kazimiera próbowała przed kolejnymi ciosami osłonić głowę. Uderzenia były tak silne, że napastnik złamał jej kości obu rąk. Potem zabił. Zrabował prawie 73,5 tys. złotych. Długo pieniędzmi się nie cieszył...

Już po godzinie 18, 4 września 1973 roku dyżurny Komendy Miejskiej Milicji w Słupsku odebrał telefon. Zdenerwowany pracownik Słupskiej Fabryki Maszyn Rolniczych zgłosił, że w biurze agencji banku PKO odnalazł kasjerkę. Był pewien, że została zabita. Cała podłoga była we krwi. Krwawe rozbryzgi zauważył na ścianach. Na ulicę Poznańską natychmiast pojechali mundurowi z grupy operacyjno-dochodzeniowej.

Ajencja działała na piętrze budynku, nad pijalnią mleka, obok pomieszczeń Rady Zakładowej i biblioteki. Ciało 68-letniej kasjerki, Kazimieri, leżało na wznak. Głowa oparta była o ścianę. W okolicy czołowo-ciemieniowej rana długa na ponad jedenaście centymetrów. Kolejna przy potylicy ośmiocentymetrowa. Ciosy były tak silne, że widać było fragmenty potrzaskanej czaszki.

Obok zwłok leżała torba w kolorowe kwiaty. W środku śliwki i pusta butelka po mleku.

Rozpoczęło się śledztwo. Jako pierwszy na przesłuchanie wezwany został szef Rady Zakładowej, który dokonał makabrycznego odkrycia.

- Ostatni raz panią Kazimierę widziałem 1 września, kiedy to pożyczyłem od niej książkę „Przygody o krakusach”. W pracy była bardzo solidna. Znam ją z działalności w Radzie Zakładowej, gdzie pracowała jako bibliotekarka. Osobiście oprawiła około 1200 książek, sama walczyła o papier i klej. Jak to się mówi - wszystko i wszędzie potrafiła załatwić.

Były takie przypadki, że jak ktoś na czas nie oddawał książki, to sama po odbiór chodziła po domach. W agencji PKO u pani Kazimieri prawie cała załoga płaciła za różne świadczenia, za gaz, telefon, światło, wpłacali na książeczki oszczędnościowe. Kasjerka przychodziła do pracy o godz. 11.15, a kończyła o godz. 16. Przyjmowała wpłaty i wypłacała pieniądze przy biurku, w tym pomieszczeniu nie ma takiego okienka, jak na poczcie - mówił Edward G.

W gronie podejrzewanych szybko znalazł się były pracownik Fabryki Maszyn Rolniczych, który od dłuższego czasu nie pracował, a tragicznego dnia widziany był na terenie zakładu. Wiele osób zwróciło też uwagę, że tuż po morderstwie zaczął szastać pieniędzmi.

- 5 września Józef B. zapytał mnie, czy mogę pojechać z nim po zakupy, bo jego siostra wychodzi za mąż. Chciał kupić sobie buty,

krawat, spinki do koszuli i koszulę. Na rynku przy ul. Wolności kupił buty, za które zapłacił 450 lub 480 zł. Jedną koszulę kupił u prywaciarza przy ul. Starzyńskiego za 250 zł, a drugą przy ul. Wojska Polskiego za około 300 zł. Tam też kupił krawat - wyliczał kolega Józefa, Waldemar P.

Najbardziej obciążające Józefa B. zeznania złożyły kobiety, o których względy się starał, a które go odrzuciły. Do Anny B. przyjechał na motocyklu już 4 września wieczorem. Namawiał, by do niego wróciła.

- Powiedział, że jak coś mi pokaże, to wtedy na pewno będę chciała z nim chodzić. Wyjął z kasku bony oszczędnościowe. Dziesięć lub więcej, a każdy o wartości chyba 10 tysięcy złotych - powiedziała milicjantowi.

- Wyjął też nowe banknoty o nominale 1000 złotych. Gruby plik, a raczej rulon.

Józef przekonywał Annę, że dostał spadek po śmierci bogatej babci. - Powiedziałam mu, żeby poszukał sobie równie bogatej, jak on dziewczyny. A on wyciągnął jeszcze książeczkę oszczędnościową, wypisaną na jego nazwisko. Powiedziałam: chcesz mnie kupić, a ja nie chcę być pasożytem - relacjonowała śledczym Anna. Jej ekschłopak zapowiedział jeszcze, że kupi sobie fiata i urządzi się. Ani pieniądze, ani wizja pławienia się w luksusach, ani też podróży fiatem nie przekonała Anny. Szczęścia szukał jeszcze u Ewy, ale i ta nie skusiła się na pieniądze.

20-letni Józef B., mieszkaniec Kobylnicy, z zawodu ślusarz- spawacz, długo kluczył w swoich zeznaniach. Początkowo przekonywał śledczych, że z rozbojem nie miał nic wspólnego. Później przyznał, że był tylko jednym z wielu uczestników napadu, a mózgiem operacji miał być poznaniak o ksywce „Dziony”. Wreszcie pękł 7 września, podczas trzeciego dnia przesłuchań. - Zabójstwa kasjerki agencji PKO przy Famarolu w Słupsku dokonałem sam, bez udziału innych osób - wyznał o godz. 15.35. - Prawdą jest, że w restauracji Rarytas w Kobylnicy „Dziony” namawiał mnie na włamanie do agencji, ale nie chciałem tego zrobić wraz z innymi, gdyż sądziłem, że w razie, gdy to się wyda, współnicy obciążą mnie. Zwałą na mnie całą winę, a większą część łupu zgarną sami. W niedzielę, 2 września, wypłem trochę wódki w Rarytasie i w Podmiejskiej. Gdy byłem pod wpływem alkoholu, zrodził się u mnie zamiar kradzieży. Nazajutrz od rana obmyślałem, jak tego dokonać.

B. nie pracował, a ponieważ lubił zaglądać do kieliszka i przesiadywać w restauracjach, potrzebował gotówki. Potrzebował jej

również na pokrycie długów - jego szwagier od dłuższego czasu domagał się 5 tys. zł za motocykl SHL, którym Józef jeździł od miesiąca, a za który nie zapłacił. 8 września za męża wyjść miała siostra oskarżonego - jej przyszły

mąż naciskał Józefa, by ten oddał mu wreszcie 2 tys. złotych, które wcześniej bez zgody pobrał z książeczki PKO. To dlatego zbrodniczy plan Józef B. postanowił zrealizować.

4 września Józef B. spakował do siatki gumowe rękawice swej matki. W kiosku przy ul. Wojska Polskiego kupił „Głos Słupski”. W gazetę postanowił zawinąć łom czy inne narzędzie, które uda mu się znaleźć. Dla kurażu w barze Piekiełko wypił kilka głębszych i zakąsił jajkiem na twardo. Zaparkował motocykl przy ul. Pomorskiej i udał się na teren zakładu.

Przed godz. 15 wszedł do agencji, by zrobić rekonesans. Zapytał o coś kasjerkę, wyszedł. W budynku znalazł płaskownik, metalowy pręt o prostokątnym przekroju. Zawinął go w gazetę. Na dłonie założył gumowe rękawiczki. Stał przy drzwiach do agencji i czekał. Palił sporty, rzucając niedopałki w róg korytarza. W pewnym momencie otworzyły się drzwi agencji i Kazimiera zauważyła napastnika. Zaczęła krzyczeć. Wtedy zaatakował. Zadawał kolejne ciosy. Kasjerka się przewróciła. - Wypadła jej z ręki torba. Wysunęły się z niej banknoty tysiączłotowe. Zwinąłem je w rulon i schowałem do kieszeni bluzy. W torbie znalazłem też klucze. Trzy komplety po trzy sztuki. Podszedłem do szafy i próbując kolejno, otworzyłem trzy patentowe jej zamki. Zabrałem z szafy książeczki PKO, owinąłem w gazetę i schowałem za pazuchą bluzy. Następnie otworzyłem podłużną metalową kasetę i wyjąłem z niej okrągły stempel, podłużną pieczętkę i rulon bonów PKO.

W sumie Józef B. zrabował prawie 73,5 tys. złotych, 20 tys. zł w bonach oszczędnościowych, 18 książeczek oszczędnościowych, datownik i pieczętkę. Morderca wybiegł z fabryki i skierował się na ulicę Wrocławską. Po drodze wyrzucił płaskownik i rękawice.

20-letni mężczyzna nie cieszył się dobrą opinią. Jako 15-latek stanął przed sądem dla nieletnich w Słupsku. Za kradzieże i włamania trafił do poprawczaka. Po wyjściu pracował przez pół roku w Fabryce Maszyn Rolniczych i zarabiał 600 zł miesięcznie. „Był pracownikiem niezdyscyplinowanym, opieszalym i nie respektował zaleceń przełożonych” - ocenił później jego szef. Chłopak sam rzucił pracę. Najczęściej widziany był w knajpach z kieliszkiem w dłoni, w szemranym towarzystwie. Na jednej z zabaw zaczął się awanturować i

trafił do aresztu.

5 października 1973 roku akt oskarżenia był już gotowy. Prokurator nie uwierzył we wszystkie słowa Józefa B. Przeczyły temu mocne dowody. W toku śledztwa udało się dokładnie zrekonstruować tło zabójstwa, jego przebieg oraz odtworzyć zachowanie oskarżonego przed i po popełnieniu zbrodni. Po - gdyż wpadł też na pomysł, jak zapewnić sobie alibi. Pomysł dość jednak kiepski - po zabójstwie pojechał na ulicę Jagiełły, gdzie upozorował wypadek motocyklowy. Przewrócił się na jezdni i... czekał. Żaden milicjant się nie zjawił, na co Józef B. liczył, dlatego... odjechał. Udał się na dworzec PKP, a na peronie podszedł do dwóch znajomych kolejarzy i zamienił z nimi kilka słów.

Z tak „mocnym” alibi pojechał do domu, do Kobylnicy. Za radiem schował gotówkę. Odliczył osiem tysięcy, schował do kieszeni. Autobusem pojechał do Słupska. Uregulował dług u szwagra i poszedł... na zakupy. Pierwszym były czarne półbuty, tzw. twistery. Wrócił do domu. Jedną z książeczek PKO wypisał na swoje nazwisko. Ostemplował kilka wpłat - nawet na 150 tys. złotych. Część pieniędzy ukrył w wywietrzniku komórki na węgiel i na strychu. Wieczorem pojechał do Anny B., by kupić jej miłość.

5 września uregulował wszystkie długi, ale wierzyciele nie cieszyli się pieniędzmi zbyt długo - tuż po zatrzymaniu 20-letniego zabójcy musieli oddać pieniądze, a gotówka została zwrócona do PKO.

Sprawa podlegała rozpatrzeniu przez Sąd Wojewódzki w Koszalinie. Józef B. przyznawał się do przynajmniej jednokrotnego uderzenia kasjerki, ale nie przyznał się do zamiaru dokonania zabójstwa. Twierdził, że jego zamiarem była kradzież pieniędzy. Uderzyć miał, bo Kazimiera krzyczała, przez co mógł zostać zdemaskowany. A chciał - jak twierdził - ją „tylko ogłuszyć”.

Wyrok na sesji wyjazdowej koszalińskiego Sądu Wojewódzkiego zapadł 27 października 1973 roku - trzeciego dnia procesu. Józef B. został uznany za winnego zbrodni zabójstwa (art. 148 par. 1 k.k.) i skazany na karę najsurowszą - karę śmierci. W uzasadnieniu sędziego Marian Kozubał, przewodniczący składu orzekającego, podkreślił, że przestępstwa przeciwko życiu na terenie Słupska zdarzają się wyjątkowo często i sąd wymierzał już tę najsurowszą z kar. - Wiedział o tym także oskarżony, który na rozprawie wyjaśnił, że nie kojarzył tego wyroku ze sobą. Myślał, że nie zostanie ujęty. Oskarżony zabił Kazimierę, 68-letnią złą kobietę. Czynu tego dokonał z wyjątkową

brutalnością, łamiąc ofierze nawet rękę. Zabójstwa połączonego z rabunkiem dokonał z wyjątkowym tupetem - w jasny dzień w czynnym zakładzie pracy. Mimo okropności czynu zachowywał się spokojnie i myślał, jak zapewnić sobie alibi. W toku śledztwa oskarżony chciał przerzucić odpowiedzialność na niewinnych ludzi.

Sędziowie podkreślili też, że pomimo wcześniejszej ingerencji sądu dla nieletnich, wychowawców, kierowników zakładów pracy, a nawet sympatii oskarżonego, ten się nie zmienił. - Prowadził pasożytniczy tryb życia i dla zdobycia pieniędzy, właśnie po to, by taki tryb życia prowadzić, nie wahał się zabić uczciwego człowieka pracy i jednocześnie dokonać zamachu na mienie społeczne. Dlatego też w zakresie jakichkolwiek prognoz reedukacyjnych wobec osoby oskarżonego należy wypowiedzieć się negatywnie i stwierdzić należy, że tylko w drodze eliminacji oskarżonego ze społeczeństwa można osiągnąć odpowiedni efekt represyjny - argumentowali wyrok sędziowie.

Kiedy B. wpadł na pomysł ucieczki z za krat, tego się nie dowiemy. Plan wcielił w życie 22 listopada. Jego kolega z celi, również skazany na karę śmierci, miał upozorować samobójstwo, wieszając się na kracie okna. Założenie było takie - kiedy oddziałowy będzie chciał udzielić mu pomocy, Józef B. obezwładni go, zabierze klucze i ucieknie. Do próby tej jednak nie doszło - funkcjonariusze przechwycili „gryps”, w którym opisany był niecny plan.

Zrezygnowany B. 3 grudnia zdecydował sam popełnić samobójstwo. Sposób wybrał co najmniej dziwny - połknął gwoździe. Za to został ukarany „siedmioma dniami twardego łóża”.

18 czerwca 1974 roku Sąd Najwyższy w Warszawie rozpatrzył rewizję, wniesioną przez obrońcę oskarżonego. Wyrok koszalińskiego sądu utrzymał w mocy.

We wrześniu 1974 roku Rada Państwa zdecydowała nie skorzystać z prawa łaski wobec 21-letniego Józefa B.

27 września 1974 roku morderca został stracony.

WĘDROWNI SPRZEDAWCY PORTRETÓW

Cena jego życia była wyjątkowo niska. 100 złotych i para butów.
Bolesław P. zginął we śnie, uderzony w głowę betonową płytą. Dla
pewności, sprawca poderżnął mu jeszcze żyłką gardło.

Danuta i Kazimierz do Ustronia Morskiego przyjechali z Piły. 18 lipca 1961 roku przed południem wybrali się na spacer. Poszli do lasu na skraju miejscowości, niedaleko Jednostki Marynarki Wojennej. Chcieli znaleźć krzaki malin i zebrać trochę owoców. - Mąż powiedział, że musi odejść na chwilę za potrzebą. Szukałam dalej krzaków malin i w pewnej chwili zauważyłam nogę leżącego człowieka.

Była ubrana tylko w skarpetkę. Podeszłam bliżej. Okazało się, że na ziemi leży mężczyzna. Postać przykryta była czymś szarym. Zaczęłam wołać męża - opisywała Danuta.

Mąż krzyknął: „Proszę pana!”. Cisza. Nachylił się nad ciałem i zobaczył ślady krwi. Wczasowicze postanowili wtedy nie dotykać ciała i natychmiast zawiadomić milicję. Pobiegli na pobliską budowę i poprosili o wezwanie mundurowych. Razem z milicjantami przyjechał podprokurator powiatowy z Kołobrzegu i lekarz.

Technik podniósł przeciwdeszczową kurtkę, którą przykryte były zwłoki. Mężczyzna leżał na lewym boku z lekko podkurczonymi w kolanach nogami. Przy jego głowie rzucona była zakrwawiona teczka. Obok kawałek betonowej płyty. Na niej plamy krwi i pochewka od żyłki Extra Łódź. Był jeszcze czerwony ołówek i gumka. W kieszeniach denata znaleziono niewiele - cygarniczkę, brudną chusteczkę, długopis, kawowego cukierka, 13 złotych w bilonie i mandat kamy z 30 czerwca 1961 roku na 100 zł, wypisany przez milicjantów ze Szczecina na nazwisko Bolesław P. Miał jeszcze paczkę „Sportów” i spinacze biurowe. Zniszczone buty znaleziono w krzakach, kilka metrów dalej. Leżały obok podartego ręcznika.

W orzeczeniu lekarskim przeczytamy później, że mężczyzna zmarł śmiercią gwałtowną w następstwie ran tłuczonych głowy oraz rany ciętej szyi, wskutek stłuczenia mózgu i krwotoku - zarówno do jamy czaszki, jak i zewnętrznego. Liczne złamania i zmiżdżenia czaszki, kości podstawy czaszki, krwotok z uszu, odłamki betonu w tkankach - zabójca zmasakrował głowę śpiącego człowieka. Żyłką poderznął mu jeszcze gardło.

Problemów z ustaleniem tożsamości denata nie było. Oprócz mandatu w kieszeni, w teczce znaleziono kopertę zaadresowaną na Bolesława P. Pozostało tylko ustalić, czy leżała przy adresacie. A ten został szybko rozpoznany. - Przyszedł do mojego domu. Powiedział, że jest portrecistą i przyjmuje zamówienia na portrety - potwierdziła 34-

letnia Gertruda Z. - Miał ze sobą teczkę i portret. Na jego propozycję się nie zgodziłam.

Innej kobiecie portrecista powiedział, że pochodzi ze Szczecina. Jeszcze ktoś widział go w towarzystwie drugiego mężczyzny. Pozostało ustalić, kim był tajemniczy towarzysz.

Niedaleko zwłok milicjanci zabezpieczyli portret. Na nim rozpoznali syna jednego z mieszkańców Sianożętów. Rodzice chłopaka potwierdzili, że złożyli zamówienie na portret i 20 lipca miał on zostać im dostarczony przez agenta pracowni artystycznej. Na zdjęciu denata rozpoznali człowieka, u którego zamawiali podobiznę syna.

26 lipca 1961 roku po raz drugi przeszukano las na obrzeżach Ustronia Morskiego. W akcji uczestniczyli m.in. saperzy z jednostki wojskowej w Unieściu. Mundurowi wykorzystywali sprzęt do ujawniania części metalowych. Nie udało się jednak znaleźć żyłki, czyli drugiego narzędzia zbrodni.

Na milicję zgłosił się Jan J. Był właścicielem gospodarstwa w Dygowie. Wieczorem, 14 lipca 1961 roku, znajoma przyprowadziła do niego dwóch mężczyzn. Chcieli przenocować. Przedstawili się za agentów firmy, która wykonuje na zamówienie portrety. Gospodarz dobrze zapamiętał jednego z mężczyzn. - Miał na imię Karol, rocznik 1930. Mieszkał w Szczecinie, z zawodu był murarzem. Pokazał mi legitymację związkową. W czasie rozmowy zaczął, to znaczy kaleczył język. Dobrze mówił po niemiecku - opisywał. Jan zwrócił uwagę na jeden szczegół, choć nie znał detali toczącego się śledztwa. - Mężczyźni przenocowali w stajni na sianie. Ten, którego imienia nie pamiętam, obudził się około godziny 6. Udał się na śniadanie do gospody. Karol wstał około godz. 9. O godz. 11 przyszli obaj do mnie i przynieśli litr wódki. Ten starszy powiedział, że kupił sobie w Dygowie koszulę i siwe półbuty. Karol spojrział wtedy na swoje buty i powiedział, że też musi kupić nowe, bo ma już bardzo zniszczone - wspomniał gospodarz.

Na zdjęciu rozpoznał Bolesława R, jako starszego kolegę Karola. Śledczy o sprawcy wiedzieli coraz więcej. 4 sierpnia został on zatrzymany w Szczecinie. Dzień później 31-letni Karol L. słyszał już stukot maszyny, na której protokółantka spisywała jego słowa.

- Miejsce urodzenia: *Hamburg, Niemcy*
- Miejsce zamieszkania: *Szczecin*
- Wykształcenie: *6 klas niemieckich*
- Dzieci i ich wiek: *pozamałżeńskie w wieku 9 lat*

- Zawód wyuczony: *murarz*
- Miejsce pracy: *bez pracy od 1 lipca 1961 roku, utrzymuje się z handlu odzieżą na bazarach*

Kiedy Karol L. usłyszał pytanie, czy przyznaje się do zarzutu zabójstwa, kiedy usłyszał, że skrucza może mieć wpływ na wyrok, długo milczał. Wreszcie poprosił o rozmowę w cztery oczy z oficerem milicji. Po niej poprosił o odroczenie przesłuchania do 7 sierpnia, gdyż jest w złym stanie psychicznym, przez co może niedokładnie o wszystkim opowiedzieć.

Kolejne przesłuchanie było krótkie. - Przyznaję się do zabójstwa Bolesława P. Tego dnia, będąc w Ustroniu Morskim. Udałem się z nim około godz. 16, względnie 17 do restauracji blisko posterunku, gdzie wypiliśmy litr i ćwiartkę wódki oraz jedliśmy sałatkę. Wypiliśmy także po kilka dużych piw. Około godz. 21 wyszliśmy z restauracji. Zwróciłem się do R, byśmy poszli na nocleg do gospodarza - opisywał.

Kolega nie chciał się zgodzić na kolejne wydatki. Zadecydował, że tę noc spędzą pod gołym niebem. Prześpią się na mchu w lesie. Poszli, P. położył się i zasnął. - W pewnym momencie przyszło mi coś do głowy. Aby go zabić - powiedział prokuratorowi Karol L. - Przyniosłem płytę betonową w jednym kawałku. Wcześniej widziałem, że w lesie przy ścieżce leżało kilka takich płyt. Następnie uderzyłem śpiącego dwa razy w głowę. Prawdopodobnie z lewej strony. Następnie wyciągnąłem z kieszonki marynarki żyłkę produkcji polskiej, marki nie pamiętam, z której zdjąłem opakowanie, a następnie poderżnąłem szyję Bolesława. Rzuciłem na niego kurtkę przeciwdeszczową, z której wyjąłem jeszcze 100 złotych.

Zamordowanemu ściągnął z nóg buty, swoje rzucił w krzaki - ubrał nowe. Zauważył, że żyłką skaleczył się w palec. Oderwał z ręcznika kolegi pasek materiału i zawinął krwawiące miejsce. Uciekł. Na drodze zatrzymał samochód, którym podjechał na dworzec PKP w Kołobrzegu.



- Stąd pierwszym pociągiem wyjechałem do Szczecina - zakończył.

Wyjaśnienia te były zbyt lakoniczne. Kolejne przesłuchanie odbyło się dzień później i tym razem L. był bardziej wylewny.

- Urodziłem się w 1930 roku w Hamburgu, gdzie mieszkałem do 1943 roku. Wtedy to z rodzicami przenieśliśmy się do województwa poznańskiego, do siostry matki. Mając 17 lat zacząłem pracować na kolei jako robotnik, a później w PGR. W 1950 roku przyjechałem z

rodzicami do Szczecina i tu pracowałem na różnych budowach. W 1952 roku urodziło mi się nieślubne dziecko - opisywał. Bolesława P. poznał w 1956 roku. Też nie miał stałej pracy. Czas wolny mężczyźni zaczęli spędzać razem. Znajomość, najpierw zażyła, z czasem ograniczyła się do sporadycznych spotkań. W lipcu 1961 roku Bolesław i Karol spotkali się na bazarze koło dworca w Szczecinie. - Zapytał, czy pracuję. A kiedy usłyszał, że nie, zaproponował mi, bym z nim wyjechał i zbierał zamówienia na portrety. Tego samego dnia wyjechaliśmy do Gryfic - relacjonował Karol L.

Odwiedzili miejscowości wokół Gryfic, potem w poszukiwaniu chętnych na portrety, pojechali do Kołobrzegu. Odwiedzali kolejne miejscowości, zbierali zamówienia, brali zaliczki. - Wódkę pijaliśmy dość często. Spaliśmy w stodole. Czasami Bolesław dawał mi 30 czy 40 złotych. Nigdy między nami sprzeczek nie było. Średnio dziennie zarabialiśmy 350-400 złotych, ale czasami nic nie zarabialiśmy. Pieniądze przeznaczaliśmy na bieżące wydatki - wyjaśniał L.

Feralnego dnia, 17 lipca, wspólnicy wypili sporo wódki. W przydrożnym kiosku zjedli wędzone śledzie. Byli w restauracji, zakąsili śledziową sałatką, pili. Rachunek w knajpie opiewał na 400 złotych. Uregulował Bolesław P. Kiedy wyszli z lokalu, a P. oznajmił, że śpią na mchu w lesie, Karol L. oświadczył, że wraca do Szczecina i zażądał pieniędzy na bilet. P. chciał, by kolega został z nim jeszcze przez kilka dni. Doszło do sprzeczki. P. położył się wreszcie w zaroślach i zasnął. - Lecz ja się nie położyłem. Krzyczałem, że chcę 100 złotych, bo wiedziałem, że ma tę kwotę. Zacząłem chodzić wokół niego i zastanawiać się, jak dotrzeć do Szczecina. I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, aby zabić P.

Wziął betonową płytę i zrealizował morderczy plan. Zabrał 100 złotych, ukradł martwemu koledze buty i uciekł.

Akt oskarżenia w tej sprawie datowany jest na 19 grudnia 1961 roku. Sprawę rozpoznał Sąd Wojewódzki w Koszalinie. Oskarżony Karol L. na sali sądowej zmienił jednak zdanie - nie przyznał się do winy. Wyjaśnił, że Bolesława P. nie zabił, bo nie miał ku temu powodów. Pieniądzy też mu nie zabrał, bo miał w gotówce 500 złotych. Buty - owszem - zamienił, ale na prośbę kolegi, bowiem te nowe były dla niego zbyt ciasne. Do starych butów dodał Bolesławowi kurtkę przeciwdeszczową. Pytany o nagłą zmianę wersji powiedział, że w śledztwie naopowiadał głupstw z... ciekawości. Chciał sprawdzić, czy na tej podstawie polski sąd go skáže. Mało tego, przesłuchujący go

funkcjonariusze mieli mu grozić. Czym? Zabranie butów. Dlatego szybko się do wszystkiego przyznał.

23 lutego 1962 roku zapadł wyrok. Sędziowie uznali, iż Karol L. działał z zamiarem pozbawienia życia i za zabójstwo Bolesława P. wymierzili mu karę najsurowszą - karę śmierci.

Sąd w uzasadnieniu odniósł się do nowej wersji oskarżonego. Na przykład do butów: - Gdyby przyjąć, że było tak, jak wyjaśniał przed sądem, to buty oskarżonego w chwili śmierci P. miałyby na nogach. Tymczasem zostały one znalezione w pewnym oddaleniu od denata. Były tak zniszczone, że nikt by się na nie nie połączył. (...) Nie mogąc swoim wyjaśnieniom zaprzeczyć wyjaśnił, że w śledztwie naopowiadał głupstw, chcąc się przekonać, czy sąd polski go na podstawie takich głupstw skaże. Wypowiedź ta świadczy o oskarżonym i nie wymaga, zdaje się, wcale komentarzy. Dla eksperymentu nie przyznaje się chyba do takiego przestępstwa, jak zamordowanie człowieka i to w tak bestialski sposób. (...) Nieprawdziwe są wyjaśnienia oskarżonego, że miał przy sobie 500 złotych swoich własnych pieniędzy. Świadkowie F. i J. zeznali, że oskarżony narzekał na brak pieniędzy. Nie dla 100 zł oczywiście zabił P., bo kwotę tę mógł zabrać, gdy ten spał i odjechać. Gdyby oskarżony dokonał tylko kradzieży pieniędzy, to tym samym liczyć się musiał z tym, że P. zdemaskuje go przed organami powołanymi do ścigania przestępstw i że poniesie odpowiedzialność za kradzież. Przy dwukrotnej już karalności, w tym raz za przywłaszczenie, liczyć się musiał z wymiarem kary w granicach roku i sześciu miesięcy więzienia - sędziowie nie mieli wątpliwości, że motywem zabójstwa była chęć usunięcia świadka. Zaznaczyli też, że na rozprawie, poza zuchwałym i aroganckim zachowaniem, nie dopatryli się u oskarżonego najmniejszej skruchy. „W tych warunkach, kiedy zachowanie oskarżonego nie rokuje poprawy, należało wydać wyrok eliminujący go całkowicie, raz na zawsze ze społeczeństwa” - kończy się pisemne uzasadnienie wyroku.

W lipcu 1962 roku, niemal rok po zabójstwie, po rewizji i założonej przez oskarżonego, wyrok w tej sprawie wydał Sąd Najwyższy w Warszawie. W wyższej instancji podtrzymany został wyrok Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie. „Wymierzonej oskarżonemu kary nie można uznać za rażąco surową, jeśli się zważy, że oskarżony dopuścił się przypisanej mu zbrodni w sposób bestialski i na osobie, z którą łączyły go zażyłe stosunki, że działał on w celu rabunkowym, będąc już uprzednio karany m.in. za przestępstwo z chęci zysku i że wprowadzie

w toku śledztwa przyznał się do winy - co stanowiłoby okoliczność łagodzącą - jednakże przyznanie to odwołał na rozprawie, zachowując się, jak to wynika z protokołu rozprawy - w sposób wyzywający” - czytamy w uzasadnieniu.

12 września 1962 roku przewodniczący Rady Państwa złożył podpis na dokumencie, w którym Karolowi L. odmówiono prawa łaski.

PRZESTĘPCZY MARATON

„Wiadomo mamusi, że ja zamordowałem dziewczynę i trzy stodoły spaliłem. Więcej zrobić nie zdążyłem. Bo mnie zamknęli. Ale bym zrobił więcej” - napisał w liście do matki 18-letni Janusz G.

Czaplinek. Noc z 17 na 18 grudnia 1975 roku. Słupek rtęci spadł pięć kresiek poniżej zera. Noc była pogodna, bezwietrzna. Księżyc w pełni oświetlał ziemię, pokryta niewielką warstewką śniegu.

Już po północy na przystanek PKS przy ul. Długiej wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Koszalinie i milicjanci z Komendy Wojewódzkiej przyprowadzili 18-letniego Janusza G. Na magnetofonie kasetowym, „filipsiaku”, utrwalali jego słowa. Podczas wizji lokalnej opowiedział, jak zgwałcił i zabił 21-letnią Weronikę E.

Podejrzany poprowadził śledczych od przystanku w kierunku ul. Bieruta, dalej w kierunku placu Kołobrzeskiego Pułku Piechoty. Po dojściu do ul. Górnej, łączącej ul. Bieruta z Długą, zauważył mężczyznę i kobietę. Było to w nocy z 2 na 3 listopada 1975 roku. Szedł za parą, widział, jak usiedli na ławce. Przyczał się w klatce schodowej pobliskiego budynku mieszkalnego. Gdy wstali, skradał się za nimi do ul. Aptecznej. Znow usiedli na ławce.

- Wszedłem do pierwszej klatki schodowej i piwnicami przebiegłem do trzeciej, w której znajduje się mieszkanie dziewczyny - opisywał podczas jednego z przesłuchań Janusz G. - Wszedłem na półpiętro i obserwowałem tę parę.

Kiedy mężczyzna rozstał się z dziewczyną, G. wybiegł z bloku. Podbiegł do Weroniki, która szła w kierunku jeziora Drawsko. - Złapałem ją za rękaw płaszcza, który miała wówczas rozpięty. Spytałem, co ona tutaj o tej porze robi. Odpowiedziała mi: „puść mnie, nie rób mi krzywdy, bo znam twojego ojca”. Spytałem, czy ma ochotę się pojeb... Ona zaczęła wołać „Rysiek, ratuj!”. Podstawiłem jej nogę i pchnąłem do tyłu. Upadła na plecy pod murem, znajdującym się przy chodniku. Zatykałem jej usta rękami.

G. ukląkł przy przerażonej dziewczynie. Rozpiął i zdjął jej spodnie, rajstopy, zerwał bieliznę. - Dziewczyna przez cały czas nic do mnie nie mówiła, tylko płakała - opisywał. Próbował ją całować. Broniła się. Zgwałcił ją. Po wszystkim pozwolił kobiecie się ubrać, ale zabronił odejść. Było mu mało. Złapał ją pod rękę i poprowadził w kierunku zacumowanej łodzi milicyjnej. Tam zażądał od niej pieniędzy. Wyciągnęła portfel, w którym były 43 złote. G. pieniądze zabrał, a portfel wyrzucił.

Przewrócił Weronikę na plecy. Usiadł na niej okrakiem. Gdy próbowała się bronić, uderzył ją w twarz. - Już wówczas postanowiłem,

że ją uduszę - przyznał później prokuratorowi. Kobieta, jak przekonywał, wiedziała, że Janusz G. ma sporo na sumieniu, między innymi, podpalenie trzech zabudowań. Miała mu grozić, że doniesie na niego milicjantom i ojczymowi. - Właśnie stwierdzenie, że powie ojczymowi o tym, że ją zgwałciłem, zrodziło u mnie myśl dokonania zabójstwa tej dziewczyny - zaznaczył.

Uderzył Weronikę kantem prawej ręki w nos. Trysnęła krew.

- Przygniotłem ją kolanem, po czym momentalnie kciukami obu rąk nacisnąłem krtań. Czuję, że jeszcze kilka razy poruszyła prawą nogą i rękami, po czym przestała się ruszać. Ciało stało się wiotkie - opisywał ze szczegółami.

Morderca wstał z kolan. Rozejrzał się, sprawdził, czy nikt nie nadchodzi. Chwycił młodą kobietę za nogę i wciągnął na pomost usytuowany wzdłuż hangaru służącego do przechowywania łodzi milicyjnej. Uklęknął na pomoście i zepchnął ciało do wody. Dostrzegł wtedy, że na powierzchnię jeziora wypływają pęcherzyki powietrza. Chwycił wtedy Weronikę za głowę i przez kilka minut trzymał ją pod wodą. Za przyczynę zgonu biegli medycy podali później właśnie utopienie.

Wracając do domu pod pompą koło restauracji „Pomorska” G. przemył swój ubrudzony ziemią skafander. Z lokalu wyszła kelnerka. Przestraszyła się Janusza. Ten podszedł do niej i zadał to samo wulgarnie pytanie: „Czy nie chcesz sobie pojeb...?”. - Zaczęła krzyczeć, złapałem ją za szyję, ale udało jej się wyrwać. Uderzyła mnie w twarz. Uciekłem przez płot - relacjonował.

Kolejne przesłuchanie 18-letni podejrzany rozpoczął od słów: „Chcę wyjaśnić, dlaczego słowo ojczym było motorem przestępstwa”. Szukał usprawiedliwienia. - Ojciec mój był funkcjonariuszem MO. Kiedy miałem lat 4, a moja młodsza siostra lat 2 ojciec zmarł. Zostaliśmy z matką. Kiedy miałem 6 lat, odbyło się w naszym domu wesele. Matka wyszła za Kazimierza W. i kazała nam mówić na niego „tatuś” - rozpoczął.

Początkowo, według wersji Janusza G., ojczym był dobry dla przybranych dzieci. Jednak kiedy malec zaczął chodzić do szkoły i miał trudności z przyswojeniem materiału, bił go. - Zacząłem uciekać z domu i spać w piwnicach. Otrzymywałem coraz gorsze oceny. Zacząłem wagarować, a to nasilało awantury - mówił. Kiedy matka stawała w obronie chłopca, Kazimierz miał bić i ją. - Zacząłem się tego człowieka bać, unikać go.

G. uciekał z domu coraz częściej, kradł, by zapełnić żołądek. Kiedy wracał, trafiał na nietrzeźwego ojczyma. Awantury, wrzaski, rękoczynny - tak opisywał swą codzienność. I bimber pędzony z cukru. - Ojciec zaczął go pędzić, kiedy miałem 12 lat. Początkowo mi nie smakował, ale po kilku razach przyzwyczailem się i tak zacząłem pić. Co zresztą robiłem do momentu aresztowania - przyznał.

Alkohol był tłem znacznej części aktu oskarżenia i składową późniejszego wyroku. Janusz G. usłyszał nie tylko te najcięższego kalibru zarzuty - zbrodni zabójstwa i gwałtu, ale też podpalenia trzech budynków. Doszło do tego kilka dni przed morderstwem - 26 października 1975 roku. G. z kolegami w „Meduzie” pił piwo i wino. Później w „Czapliniance” wódkę. Od kelnerki usłyszał, że wybuchł pożar u jednego z mieszkańców Czaplinka. - Powstała u mnie myśl, że mogę i ja podpalić - zaakcentował w swych wyjaśnieniach.

Tego samego dnia podpalił jeszcze dwie stodoły. Wrócił do pierwszej i... pomagał w gaszeniu płomieni, by... uniknąć podejrzeń o sprawstwo.

Straty gospodarzy były ogromne. Oszacowali je kolejno na 45 tys. zł, 95 tys. zł i 790 tys. zł. Doszczętnie spłonęły nie tylko siano i słoma, ale też część zwierząt, zamkniętych w budynkach.

- Dokonanie podpałek, zabójstwo, to wszystko zasługa mojego ojczyma. To on swoją postawą wobec mnie, która w sposób wyraźny różniła się od postawy wobec jego dzieci, sprawił, że już trzy razy byłem karany sądownie, dwa razy przez Sąd dla Nieletnich i raz przez Sąd Rejonowy. To przecież w mojej obecności dusił matkę. W ten sam sposób dusiłem, kelnerkę i dokonałem zabójstwa dziewczyny zupełnie niewinnej. Podaję w tej chwili, że gdyby nie matka, to bym zabił ojczyma albo siekierą, którą się na niego zamierzałem, albo też uczyniłbym to w inny sposób - podejrzany tłumaczył śledczym motywy.

Wyrok w sprawie Janusza G. zapadł w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie 26 kwietnia 1976 roku. Odczytywanie jego sentencji trwało dość długo - w sumie akt oskarżenia obejmował aż szesnaście zarzutów. Wśród nich te najcięższe - zabójstwo i gwałt Weroniki E., kradzież jej pieniędzy, ale też podpalenie trzech stodoł, kradzież żagla - grota - na szkodę Szkolnego Miejskiego Ośrodka Sportowego, drobniejsze kradzieże pieniędzy, odzieży, materiałów budowlanych, zegarka, a do tego włamanie, usiłowanie rozboju, groźby. Podczas procesu Janusz G. przyznał się do zarzucanych mu czynów i odmówił składania wyjaśnień. Jego zachowanie na sali rozpraw sędziowie określili epitetem „niehumanitarne”. Kiedy przy barierce dla świadków

stanęli właściciele podpalonych stodół, mówili o poniesionych stratach, śmiał się.

Za zabójstwo w Sądzie Wojewódzkim usłyszał najsurowszy wyrok - karę śmierci. Za gwałt - 8 lat za kratami. Za kolejne przestępstwa - od grzywien po karę 12 lat. Wyrok łączny: kara śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze.

Sporą część uzasadnienia wyroku, który usłyszał 18-latek, zajmuje charakterystyka jego dotychczasowego życia. Nieco inna, niż ta, którą sam stworzył. „Jego stosunek do nauki był negatywny, cechowało go lenistwo, arogancko traktował nauczycieli, wyzyskiwał przewagę nad słabszymi i znęcał się nad zwierzętami. Próby wychowawczego oddziaływania na oskarżonego były bezskuteczne. (...)”

Na sali rozpraw z kolejnych zeznań świadków, z dokumentów i dowodów, jak witraż z kawałków szkła, ułożył się przestępczy życiorys oskarżonego. Przestępczy maraton. Decyzją Sądu dla Nieletnich od marca 1973 roku Janusz G. miał dozór kuratora. W wieku 16 lat, powtarzając po drodze dwie klasy, chłopak skończył podstawówkę. Rok przed morderstwem zaczął naukę w Zasadniczej Szkole Zawodowej w Czapl inku. Opuszczał ją jednak zająć i w styczniu 1975 roku zrezygnował z nauki. Przedstawiciel Komendy Milicji, w której pracował ojciec G. skierował 18-latkę do OHP i w kwietniu 1975 roku zaczął on pracować na budowie. Po niespełna miesiącu rzucił pracę. Pozostawał na utrzymaniu matki, a kiedy pieniędzy mu brakowało - kradł. Kradł doniczki z grobów na cmentarzu, latem okradał wczasowiczów, którzy wypoczywali w Czaplunku. Za kradzież pieniędzy został w czerwcu skazany przez Sąd Rejonowy w Drawsku Pomorskim na wykonanie nieodpłatnej pracy na cele publiczne. Sąd nałożył na niego również obowiązek naprawienia szkody. Nie zastosował się do żadnego z nakazów.

Zanim zaatakował Weronikę, napastował inne kobiety. Na szczęście im udawało się przegnać wulgarnego, niebezpiecznego młodzieńca. 25 października okradł gości weselnych, którzy bawili się w lokalu przy ul. Pomorskiej. Dzień później skradzione pieniądze przeznaczył na alkohol, a upojony podłożył ogień pod trzy budynki. 2 listopada też pił. Zaczął w „Meduzie”. Później bawił się w „Czapliniance” i w „Pomorskiej”. Później wrócił do „Meduzy”. To tam zobaczył 21-letnią Weronikę. Zwrócił na nią uwagę i rozpoczął „końskie zaloty”. Zagroził na przykład drogę, kiedy przechodziła obok.

21-latkę przyjechała w odwiedziny do swej siostry - wyjechała z

Czaplinka na Dolny Śląsk, gdzie znalazła pracę. Po dancingu poprosiła kolegę, Ryszarda, by odprowadził ją pod blok, w którym mieszkała siostra. Za nimi skradał się 18-letni Janusz G. Kiedy Ryszard rozstał się z Weroniką, G. zaatakował. Po wszystkim wrócił do domu, zmył krew z dłoni i położył się spać. Po śniadaniu wrócił na brzeg Drawska, by sprawdzić, czy nie zostawił śladów. Były. I to dość widoczne. Ślad wleczenia ciała, ubita ziemia. Zrezygnował jednak z pomysłu ich zatarcia - zauważył wędkarzy i bał się, że zwrócą na niego uwagę. Dostrzegł ciało dziewczyny w wodzie. Odwrócił się i poszedł na piwo. W restauracji został zatrzymany jeszcze przed południem. Szybko się okazało, że tragicznej nocy nie tylko on obserwował swoją ofiarę. I jego widziano nad jeziorem...

Sąd nie dał wiary wyjaśnieniom oskarżonego, który twierdził, że zamordował dziewczynę, bo ta rozpoznała w nim sprawcę podpalen. Nie mieszkała ona w Czaplinku, przyjechała w przeddzień zabójstwa, a o tym, że to on podkładał ogień, dowiedziano się dopiero po aresztowaniu 18-latka. Tę groźbę sąd uznał za zmyśloną. Jako „irracjonalne” określił zaś próby obwinienia za popełniane przestępstwa ojczyma, z którym już dawno przestał się liczyć.

„Zbrodnia popełniona przez oskarżonego jest wyjątkowo odrażająca. Zabił z zimną krwią i w sposób bardzo okrutny bardzo młodą kobietę, która nigdy w niczym mu nie zawiniła. Nie działał z zamiarem nagłym i bez zastanowienia. Zabójstwa dokonał z premedytacją - zaplanował bowiem gwałt i rozbój, i nie chcąc zrezygnować z popełnienia tych przestępstw powziął także zamiar zabójstwa, który z rozmysłem realizował. Działaniu oskarżonego nie można przypisać żadnych ludzkich motywów (...)” - uzasadnili wyrok sędziowie. Zauważyli, że oskarżony nie został pozostawiony sam sobie - regularnie jednak odrzucał pomoc, którą kolejne osoby mu oferowały. Zaczął popełniać przestępstwa o coraz większym ciężarze gatunkowym.

Okolicznością łagodzącą w tym przypadku nie było przyznanie się do winy - Janusz G. nie okazał skruchy, nie żałował tego, co zrobił, a jedynie sucho relacjonował fakty. Na rozprawie był obojętny, za wyjątkiem momentów, kiedy wybuchał śmiechem. Za okoliczność łagodzącą sąd nie uznał też wieku oskarżonego - zaledwie kilka tygodni przed zabójstwem ukończył 18 lat. „Wobec wszystkich danych, charakteryzujących osobowość, postawę i skłonności oskarżonego, a w szczególności jego stosunek do społeczeństwa i elementarnych pojęć moralnych, kara długotrwałego pozbawienia wolności nie rokuje

żadnych nadziei na przekształcenie oskarżonego w pełnowartościowego członka społeczeństwa. Oznacza to, że nawet po odbyciu kary byłby nadal groźny dla społeczeństwa. W tych warunkach sąd ma pewność, że jedynym właściwym środkiem prawnym chroniącym społeczeństwo jest trwała eliminacja oskarżonego ze społeczeństwa” - argumentowano karę śmierci.

5 sierpnia 1976 roku Sąd Najwyższy w Warszawie, po apelacji wniesionej przez obrońcę Janusza G., zmienił wyrok Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie, wymierzając oskarżonemu karę łączną 25 lat pozbawienia wolności. Sędziowie uznali, że młody wiek oskarżonego oraz niewłaściwe środowisko, które go kształtowało, nie pozwalają jednoznacznie stwierdzić, że konieczna jest jego eliminacja ze społeczeństwa. Rewizję nadzwyczajną od tego wyroku założył Prokurator Generalny PRL. 7 grudnia 1976 roku Sąd Najwyższy wyrokował raz jeszcze. Tym razem w siedmioosobowym składzie. I tym razem wyrok Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie został utrzymany w mocy. Sędziowie nie zgodzili się z tezą, że głęboka demoralizacja oskarżonego jest skutkiem wyłącznie zaniedbań wychowawczych. W jego zachowaniu nie znaleźli dostatecznie przekonujących przesłanek prognostycznych. Sąd przytoczył słowa, które Janusz G. skreślił w liście do matki: „Wiadomo mamusi, że ja zamordowałem dziewczynę i trzy stodoły spaliłem. Więcej zrobić nie zdążyłem. Bo mnie zamknęli. Ale bym zrobił więcej”.

Ta historia nie kończy się jednak w celi śmierci. 20 lipca 1977 roku przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński złożył podpis pod postanowieniem - Rada skorzystała z prawa łaski i zmieniła w trybie rewizji nadzwyczajnej wyrok Sądu Najwyższego z kary śmierci na karę 25 lat pozbawienia wolności i karę pozbawienia praw publicznych na 10 lat.

Akta zamyka zawiadomienie o zwolnieniu ze sprawy - osadzony Janusz G. w 2001 roku zakończył wykonywanie kary.

MORDERCA,
KTÓRY ZAUFał
KOLEGOM
Z CELI

- Poprosił mnie, abym pojechał do Słupska, odkopał zwłoki i wyrzucił do rzeki. Z wyjątkiem czaszki, którą miałem pozostawić w ogrodzie rodziców zamordowanego, umieścić na kiju i doczepić do niej kartkę z napisem, że jak będą dociekać, kto to zrobił, spotka ich to samo -zecznałwspółwięzień Daniela K.

Przez prawie dwa lata rodzice łudzili się, że ich syn żyje. Prawie dwa lata zabójcy udawało się uniknąć odpowiedzialności. Swoją ofiarę złożył w grobie zaledwie 370 metrów od własnego domu...

5 lipca 1973 roku prokurator z Koszalina przesłuchiwał więźnia, który odsiadywał wyrok w Zakładzie Karnym w Koszalinie. Klemens N. za kratami spędził już ponad rok. W celi poznał słupszczanina Daniela K. - Nie wiem, dlaczego nabrał do mnie zaufania - rozpoczął. O przesłuchanie w charakterze świadka Klemens N. poprosił sam. Po kilku dniach pobytu w jednej celi Daniel wspomniął mu o zabójstwie, które zostało popełnione dwa lata wcześniej w Słupsku. - Morderstwo to stało się niemal ciągłym tematem rozmów. Nie mogłem najpierw zrozumieć, czy on mówi prawdę, czy fantazjuje. Z jego wypowiedzi wynikało jednak, że sprawcą jest on sam. Marzeniem Daniela było zdobycie broni palnej, którą chciał posłużyć się do - jak sam powiedział - „sprzątnięcia” jemu niewygodnych osób. Czytaliśmy w prasie o pożarze w województwie białostockim. Tam miała się znajdować broń i amunicja z czasów wojny i wynikiem tego miały być wybuchy. Wydaje mi się, że właśnie dlatego zaczął się do mnie zwracać, boja pochodziłem z białostockiego.

Daniel K. opowiedział współosadzonemu, że zamordowany chłopak miał 18 lat, a znał go bardzo dobrze - przez około 11 lat. Chodził z nim do szkoły i na wagary. Powiedział, że kiedy ukrywał się przed milicją za popełnione przestępstwa, przyszedł do domu po żywność. Na podwórku 18-latek miał go zauważyć. - K. miał się obawiać, że on ujawni jego kryjówkę, dlatego go „sprzątnął” - zaakcentował więzień. - O zabójstwie miał wiedzieć tylko jego młodszy brat, który przebywa w Zakładzie Poprawczym w Koszalinie.

W marcu Klemens N. złożył prośbę o przedterminowe zwolnienie. Kiedy Daniel K. się o tym dowiedział, dał mu adres rodziców zamordowanego. - Następnie narysował mi dokładny szkic, gdzie zwłoki zamordowanego zostały ukryte - powiedział osadzony. Poprosił, by ten znalazł wskazane miejsce, odkopał ciało i wrzucił je wraz z odzieżą do rzeki. Wcześniej jednak oddzielił od niego głowę i wbił ją na kiju w ogrodzie rodziców 18-latka. Do niej miał doczepić kartkę z groźbą: - By rodzice milczeli, bo mogą skończyć, jak syn.

Klemens N. myślał jednak o rychłym zakończeniu odsiadki. Dlatego skopiował plan i poprosił o spotkanie z prokuratorem. Wskazał miejsce

ukrycia zwłok tuż przy miejskim wysypisku śmieci przy ul. Portowej w Słupsku - na łące przyległej do gospodarstwa. Miejsce to miało być widoczne z okien domu rodziców Daniela K. - Przy uschniętym i ułamanym drzewie, obok krzewu dzikiego bzu. Obok bzu miała być głowa - uściślił Klemens. - Chciał mnie wykorzystać po to, by mieć alibi, bo sam siedział w więzieniu. Dodał jeszcze, że Daniel K. planuje usunąć jedyne go świadka zbrodni - swego brata: - Brata miał wywieźć samochodem gdzieś do lasu i tam go załatwić. Miał też upozorować, że brat uciekł za granicę.

Klemens nie był jedynym więźniem, którego Daniel K. obdarzył tak dużym zaufaniem. Również Tadeusz N. miał okazję poznać go w jednej celi. 11 lipca 1973 roku zeznał milicjantowi z Komendy Wojewódzkiej w Koszalinie: - Daniela poznałem w Wojewódzkim Zarządzie Zakładów Karnych w Koszalinie. Zapytał mnie wprost, jak długi czas mogą leżeć zwłoki ludzkie w ziemi. Odpowiedziałem, że nie orientuję się dokładnie, ale chyba zależy to od podłoża oraz w jakiej ziemi leżą. Jakiś czas później miał widzenie z matką. Powiedział mi, że usłyszał od niej: Jeśli ty zabiłeś, to się przyznaj” - relacjonował. Po kilku miesiącach panowie spotkali się ponownie - w więzieniu w Opolu. Tam Daniel opowiedział Tadeuszowi, jak zabił. Mówił o tym nie raz, jednak wersje nieco się różniły. - Tego chłopaka Daniel przedstawiał jako kapusia, ORMO- wca, który miał go śledzić w okresie, kiedy on sam ukrywał się przed MO. Początkowo traktowałem jego wypowiedzi lekceważąco, ponieważ przedstawiał wydarzenie w różnych wersjach. Sądziłem, że chce mi zaimponować i zmyśla. Domyśliłem się jednak, że faktycznie mógł być podejrzany, bo osadzono go w więzieniu w Opolu, a nie w Słupsku - dodał.

Zanim doszło do oficjalnych przesłuchań świadków, z mapą, którą przekazał mundurowym jeden z więźniów, rozpoczęto poszukiwania ciała 18-letniego Antoniego K. 9 czerwca 1973 roku zwłoki chłopaka zostały odkopane we wskazanym miejscu. Tuż przy miejskim wysypisku śmieci, w rowie przy krzewie bzu i pniu zeschłego drzewa. Głowa owinięta była w worki jutowy i igielitowy, przewiązane drutem na wysokości szyi. Dokładnie, jak opisał Daniel K. Antoniego K. zakopał w nocy z 20 na 21 grudnia 1971 roku.

Ciało było w stadium zaawansowanego rozkładu. Zabezpieczono odzież, którą później rozpoznał ojciec Antoniego, jako własność syna. Zielona kurtka, szara marynarka, niebieski półgolf, bawełniana podkoszulka, skarpeta. Do tego lusterko i grzebień. Zmierzwił blond

włosy przykrywały pęknięcia czaszki. Anatomopatolog zauważył charakterystyczne cechy uzębienia - m.in. plastikową koronę, która później pozwoliła zidentyfikować zwłoki.

18-letni Antoni był uczniem II klasy szkoły zawodowej. Uczył się zawodu ślusarza. Jego rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. Oprócz syna mieli jeszcze dwie córki. Antoni był najmłodszym dzieckiem. Rodzina cieszyła się bardzo dobrą opinią i uznaniem, nie tylko w gronie najbliższych. Gospodarstwo doskonale prosperowało, nie narzekali na brak pieniędzy. O Antonim koledzy ze szkoły i nauczyciele mówili: „zdyscyplinowany”, „sumienny”, „pracowity”. Chętnie pomagał starszym. Uprawiał sport.

29 czerwca 1973 roku na przesłuchanie wezwany został ojciec Antoniego. Potwierdził, że odnaleziona odzież to ta, w której ostatni raz widział syna. Pamiętał dokładnie, że 20 grudnia 1970 roku Antek wyszedł z domu tuż po godz. 7. Zabrał teczkę, w niej książki i zeszyty. Był wesoły. Po południu nie wrócił do domu. Rodzice myśleli, że poszedł do kolegi, z którym łączyła go pasja - zbieranie znaczków. - Kiedy syn nie wrócił na noc, poszedłem do tego kolegi. Powiedział, że Antka nie widział. Pojechałem do Spółdzielni Pracy Automat i tam też nikt go nie widział. Szukałem go z żoną, ale bez rezultatu. Myśleliśmy, że może potrafił go samochód. W związku z tym udałem się na komendę MO, gdzie zgłosiłem zawiadomienie o zaginięciu - opisywał ojciec. - To był nasz jedyny syn. Myśleliśmy z żoną, by mu w przyszłości zostawić gospodarstwo. Cała nasza rodzina odczuła bardzo głęboko fakt zaginięcia syna i teraz, kiedy już dowiedziałem się, że on naprawdę nie żyje... Po prostu to, co się zdarzyło, jest dla mnie strasznym przeżyciem i osobistą tragedią. Nigdy nie myślałem, że syn może komuś przeszkadzać. Nie mogę zrozumieć, dlaczego został zamordowany - powiedział zrozpaczony. Na to pytanie podczas przesłuchania odpowiedział później sprawca, który był sąsiadem Antoniego. Jego kolegą z klasy.

W roku 1971 Daniel K. miał 20 lat. Edukację zakończył na ósmej klasie szkoły podstawowej. Miał odpowiedzialność za przestępstwa popełnione w październiku i listopadzie 1970 roku. W Słupsku ukradł samochód marki Warszawa, którym... daleko nie zajechał. Po uszkodzeniu auta wymontował taksomierz, zabrał koło zapasowe i porzucił wóz. W Słupsku ukradł też Syrenę Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska, którą pojechał do Gdańska i tam ją zostawił. Na przestępczym koncie miał również inne kradzieże. Był poszukiwany

listem gończym. - Ukrywałem się przed organami ścigania oraz jednocześnie przed pójściem do wojska - powiedział podczas przesłuchania w czerwcu 1973 roku, kiedy to przyznał się do zbrodni zabójstwa. - Fakt ten znany był nie tylko mojej rodzinie, ale także i sąsiadom, w tym rodzinie K. Najczęściej ukrywałem się w lesie i w stogach - podkreślił. 20 grudnia 1971 roku wyszedł z kryjówki i przyszedł do mieszkania rodziców. Poszedł za potrzebą do ubikacji na podwórku. Tam zobaczył swojego brata Lesława, który szedł z Antonim K. - Intensywnie myślałem, w jaki sposób załatwić z K., aby on o mojej obecności w mieszkaniu rodziców nikomu nie powiedział. Poprosiłem go, by wszedł do naszego mieszkania. Brat został na podwórku. Było już po godz. 14. W radio leciały wiadomości. Poprosiłem K., by usiadł przy stole na krześle. Ja usiadłem naprzeciw niego. Milczeliśmy. On przerwał milczenie słowami „coś ty nawywijał i teraz się ukrywasz”. Pytał mnie, jakich przestępstw się dopuściłem. Powiedział, że chętnie zaprowadziłby mnie na komendę MO. Zapytałem, czy on to poważnie mówi. Odpowiedział, że mówi najpoważniej. Zbliżył się, kiedy jeszcze siedziałem. Nie wiedziałem, co zamierza zrobić. Wtedy wstałem i złapałem go za rękę - opisywał Damian K. Według jego opisu wykręcił 18-latkowi ręce, z kieszeni wyciągnął sznurek i związał mu nadgarstki. Tak chciał go zostawić pod nadzorem brata i uciec, jednak Antoni miał mu zagrozić, że nawet wtedy doniesie na niego milicjantom. -1 właśnie wtedy mój wzrok padł na ten młotek, który zostawiłem między piecem a ścianą. Złapałem go i silnie uderzyłem go w lewą stronę głowy, w okolice skroni. Młotek po tym uderzeniu spadł mi z trzonka i K. upadł na podłogę - wyjaśniał. - Młotek był już bezużyteczny. Rozejrzałem się za innym przedmiotem i zobaczyłem przede mną wystrugany kij, który zawsze nosiłem przy sobie podczas ukrywania się. Był to młody dębaczek, zdrowy, silny i ciężki kij. Mógł ważyć nawet w granicach trzech kilogramów. Chwyciłem go i uderzyłem K. trzy, cztery razy w głowę. Biłem silnie. Podczas uderzeń zostałem popryskany krwią, krew trysnęła też na ściany, na sufit, szafę, na maszynę do szycia, dokładnie na serwetę mamy, która przykrywała jej blat. Antek miał zakrwawioną twarz. Uniosłem go wpół. Nie dawał żadnych znaków życia. Jakby się wyprężył i upadł bezwładnie na podłogę - opisał swój czyn.

W tym momencie do mieszkania miał wejść brat zabójcy. „Staął jak wryty, zbladł, nie mógł przemówić ani słowa” - tak zapamiętał ten moment Daniel K. Bratu kazał przynieść kufajkę i worek, ale nie docierały do niego żadne słowa. W końcu wykonał polecenie. Workiem

morderca owinął głowę ofiary. Na niego założył kurtkę. Chciał ograniczyć ślady krwi. Daniel K. ciało Antoniego wyrzucił przez okno. Wyszedł na podwórko i zwłoki zaciągnął do komórki. Wydawało mu się, że chłopak poruszył jeszcze nogą. Dlatego sięgnął po siekiere i uderzył go jeszcze dwa razy w głowę. Bratu kazał przynieść drugi worek - igielitowy. I ten założył na głowę Antoniego, a oba na wysokości szyi związał drutem. Chciał ściągnąć szeroki pas wojskowy, który zauważył u swej ofiary. Nie mógł. Zdjął więc spodnie, a wraz z nimi jedną skarpetę.

Wraz z bratem usunęli wszystkie ślady krwi. Ze ścian i sufitu zeszkrobali je, a później pomalowali żółtą farbą plakatową.

Daniel K. nie pochodził ze złej rodziny. Podczas przesłuchania podkreślał wprawdzie, że rodzicie mieli dla niego mało czasu, a sami często się kłócili, ale zaznaczył też, że niczego mu nie brakowało. Jego pasją była motoryzacja. Dodał, że popadł w złe towarzystwo i to właśnie wskazał, jako przyczynę konfliktów z prawem. - Otoczenie moje wychodziło z zasady, że przepisy są po to, by je łamać - przyznał. - Ja nie chciałem być gorszy, dlatego to samo czyniłem. Kiedy pierwszy raz skradłem samochód, byłem pijany. Trzeźwy natomiast dopuściłem się zabójstwa.

- Daniel był okropnie podenerwowany. Wyrażał się słowami „Już ta kur... nie będzie kapować” - podczas przesłuchania o zabójstwie mówił 15-letni Lesław, brat Daniela. - K. ukryliśmy na sianie w komórce. Na prośbę brata pomagałem mu w usuwaniu śladów krwi. Zadaniem moim było wynoszenie i przynoszenie wody. Po wypraniu chodnika wywiesiłem go w ogrodzie. (...) Matka wróciła około godz. 19 i zauważyła brak chodnika. Daniel powiedział, że szła mu krew z nosa, zaplamiał chodnik i dlatego go wyprał.

Okolo północy, kiedy ich rodzice już spali, Daniel i Lesław wymknęli się z domu przez okno. To samo, przez które wcześniej Daniel wyrzucił ciało. Daniel wziął zwłoki na plecy, a bratu kazał nieść teczkę chłopaka i haczkę, którą później wykopali dół. Aktówkę i portfel wyrzucili do strumienia. Haczka zagarniali ziemię na ciało. Przykryli je jeszcze gumą i płytkami z wysypiska. Kiedy Daniel K. udeptywał ziemię, miał powiedzieć: „Już z tym kapusiem będzie spokój”. Potem zagroził bratu, że jeśli go wyda, spotka go to samo, co K.

Noc obaj spędzili w domu. Nad ranem Daniel kazał Lesławowi, jeśli będzie rozpytywany przez milicję, odpowiedzieć, że owszem widział Antka, ale chwilę z nim tylko rozmawiał, bo ten umówiony był z

dziewczyną. I tak też zeznawał.

Podczas późniejszych przesłuchań Lesław zmienił nieco wersję - dodał, że Daniel od dawna planował „rozmówić” się z Antonim. Obserwował i notował nawet, kiedy chłopak wraca do domu, by wybrać dogodny dla siebie moment. 20 grudnia 1971 roku obaj bracia czekali, aż Antoni będzie wracał ze szkoły. To spotkanie nie było przypadkowe. Do tego też przyznał się Daniel K.

W kwietniu 1972 roku Daniel K. został zatrzymany za popełnione wcześniej przestępstwa - za kradzieże. Został skazany na 1,5 roku pozbawienia wolności. Za kratami zaczął się zwierzać współosadzonym. Przedstawił szczegóły morderstwa. Prosił o pomoc w zatarciu śladów.

Akt oskarżenia datowany jest na 16 lipca 1973 r. Oskarżonych było dwóch - Daniel K. miał zarzut zabójstwa, Lesław - zatarcie śladów przestępstwa i pomoc sprawcy w przeniesieniu i zakopaniu zwłok.

Wyrok Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie na sesji wyjazdowej w Słupsku zapadł 24 sierpnia 1973 roku. Postępowanie przeciwko Lesławowi K. zostało wtedy umorzone. Daniel K. za zabójstwo został skazany na karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze. W styczniu 1974 roku Sąd Najwyższy skierował sprawę do ponownego rozpoznania. 15 maja 1975 roku Daniel K. za zabójstwo ponownie usłyszał wyrok - karę śmierci i pozbawienie praw publicznych na zawsze. „Nie budzi wątpliwości fakt, że oskarżony Daniel K. w dniu 20 grudnia 1971 r. zrealizował swój zamiar pozbawienia życia Antoniego K. (...) mimo młodego wieku (20 lat) oskarżony był już jednostką wysoce zdemoralizowaną, a w konkretnym przypadku działał z premedytacją.”

Sędziowie wzięli pod uwagę też to, że K. był już karany, że ukrywał się przed organami ścigania. „Popełnił okrutną zbrodnię, bowiem pozbawił życia uprzednio obezwładnionego, a w chwili zadania ciosów bezbronno młodego człowieka. Sposób dokonania zabójstwa, polegający na systematycznym, rozciągniętym w czasie zadawaniu ciosów różnymi przedmiotami bezbronnemu Antoniemu K. jest wyjątkowo odrażający i zasługujący na szczególne potępienie. To pastwienie się nad ofiarą w tak bezwzględny, okrutny sposób zdaniem sądu przy braku jakichkolwiek okoliczności łagodzących przemawia za wymierzeniem kary najsurowszej - kary śmierci. W tych warunkach, przy braku wobec oskarżonego jakichkolwiek pozytywnych prognoz wychowawczych na przyszłość, mimo wyjątkowości kary śmierci, sąd

uznał, że wymierzenie tej kary wobec oskarżonego jest konieczne. Uzasadniają to również względy prewencji szczególnej, jak i prewencji ogólnej, bowiem najwięcej zabójstw występuje w Słupsku i w rejonie miasta Słupska” - czytamy w uzasadnieniu.

Obrońca Daniela K. od wyroku znów się odwołał. 25 września 1975 roku Sąd Najwyższy w Warszawie zmienił zaskarżony wyrok Sądu Wojewódzkiego w Koszalinie i wymierzył Danielowi K. karę 25 lat więzienia. „Kara śmierci jest karą wyjątkową. Zastosowanie jej orzecznictwo warunkuje brakiem jakichkolwiek okoliczności łagodzących i prognozy, że żadna kara, oprócz kary śmierci, ze względu na charakter sprawy i jej szczególne społeczne właściwości - nie zmieni go ani nie zabezpieczy przed nim społeczeństwa. (...) W istocie stanowisko Sądu I instancji jest zbyt pesymistyczne. Nie brak bowiem w sprawie okoliczności łagodzących, jak i podstaw do wyrażenia prognozy, że resocjalizacja oskarżonego nie jest wykluczona” - podkreślili sędziowie.

Sąd nie był przekonany, czy do zabójstwa doszło z premedytacją (Daniel K. po związaniu Antoniego K. chciał uciec i dopiero groźba wydania go milicji spowodowała przestępcze działanie). Wśród okoliczności łagodzących wskazano jeszcze młody wiek, skruchę, to że trzykrotnie w ostatnim słowie, płacząc, prosił o darowanie życia, zapewniał, że nigdy już nie popełni przestępstwa i chce się wykazać dobrymi czynami.

OGIEN MIAŁ STRAWIĆ DOWODY PRZESTĘPSTWA

24 czerwca 1971 roku o godz. 2.40 w budynku administracyjnym wojewódzkiego oddziału PKS przy ul. Zwycięstwa w Koszalinie rozległ się huk.

W niebo wystrzelił słup dymu. Część obiektu runęła. Ta misternie przygotowana eksplozja miała usunąć ślady gigantycznego oszustwa.

Kulisy sprawy przez długi czas były skrzętnie skrywaną tajemnicą...

Kilka minut po wybuchu na miejscu były już pierwsze radiowozy i karetka. Protokół oględzin zaczęto spisywać już w niespełna dwie godziny po eksplozji. Zaczynało świtać.

Od narożnika budynku nr 6 przy ul. Zwycięstwa w kierunku centrum miasta kilkadziesiąt metrów chodnika i jezdni pokrywały odłamki szkła, pochodzącego z szyb okiennych lokalu administracyjnego PKS. Odpryski doleciały do ściany dworca autobusowego. Pył pokrył elewacje okolicznych budynków. Popękała przednia szyba Stara, należącego do PKS Koszalin, zaparkowanego na podwórzu. Ze stojącej obok Skody wypadła boczna szyba. Wybuch zniszczył część budynku, w której mieścił się magazyn główny biletów oddziału, kasjerskie magazyny podręczne biletów autobusowych, skarbiec (tzw. tresor), kasa konduktorska wraz z pokojem rozliczeń konduktorskich oraz przyległe pomieszczenia biurowe. W tej części obiekt zawalił się we wszystkich kondygnacjach.

W akcji odgruzowywania obiektu brali udział żołnierze z Bałtyckiej Brygady WOP w Koszalinie, mundurowi z Wojsk Ochrony Terytorialnej Kraju i brygada Miejskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych w Koszalinie. W czynnościach śledczych milicjantów z wydziału kryminalistyki Komendy Wojewódzkiej Milicji w Koszalinie wspierali ich koledzy ze stołecznej komendy.

Usuwanie gruzu rozpoczęto przy ścianie od strony zachodniej budynku. W miejscu, gdzie znajdowała się pierwotnie ściana szczytowa, odkopano część żelaznej szafy z dokumentami. Do jej podniesienia ściągnięto dźwig.

24 czerwca prace na miejscu wybuchu trwały do godz. 22. Dzień później akcja została wznowiona o godz. 6. Spod gruzów wydobywano kolejne dokumenty, klucze, pieczętki. Dopiero o godz. 17 wśród rumowiska poniżej poziomu parteru udało się znaleźć zwłoki 43-letniego Tadeusza M., kasjera kasy biletowej nr 1 oddziału PKS.

Wśród gruzów znaleziono też zielony blaszany kanister o pojemności 20 litrów. Kanister był pusty, a otwór wlewowy otwarty. Pod szafą leżała książka kasowa z 1969 roku. Była zniszczona, postrzępiona i silnie pachniała benzyną. Benzyną nasączone były też arkusze szarego papieru, pogniecione i rozrzucone w pomieszczeniu. Wokół leżały kartonowe bilety o różnej wartości. W protokole oględzin grubą kreską podkreślona jest informacja, że w pomieszczeniach służących jako

magazyny dwóch kasjerek znaleziono „znikomą” ilość biletów, natomiast w magazynie należącym do Tadeusza M. nie było ani jednego.

Ogłędziny trwały do 29 czerwca 1971 roku. Ekspertcy uznali, że eksplozja nastąpiła w pomieszczeniach piwnicznych.

Sekcja zwłok Tadeusza M. wykazała, poza licznymi obrażeniami głowy, klatki piersiowej i kończyn, że zginął w wyniku uduszenia, spowodowanego unieruchomieniem i przygnieceniem klatki piersiowej gruzem.

Już ze wstępnych ustaleń w pierwszej fazie śledztwa wynikało, że eksplozja spowodowana została przy użyciu materiałów wybuchowych lub pirotechnicznych z równoczesnym użyciem benzyny. Śledczy polecili szczególną uwagę zwrócić na bilety autobusowe. Wydobyte z gruzów posegregowano według serii numeracji i cen, by skonfrontować je z ewidencją biletową. I już pierwsze dane wskazały kierunek, w którym powinno zmierzać śledztwo - z magazynu podręcznego kasy nr 1, w której pracował Tadeusz M., odnaleziono jedynie 6 proc. ogółu biletów, czyli 7 tys. 972 sztuki o wartości 118 tys. 542 zł, podczas gdy według ewidencji powinno tam być aż 89 tys. 500 biletów o wartości 1 mln 927 tys. 500 zł. Braków było więcej - w magazynie podręcznym kasy nr 2, w której pracowała Leokadia J., znajdowało się 47 proc. biletów - czyli 36 tys. 346 sztuk, zamiast 63 tys. 900. W biletach brakowało ponad 627 tys. złotych. W kasie nr 3, w której bilety sprzedawała Anna S., brakowało ponad połowy popularnych kartoników z dziurką.

Rozliczenie kas nr 4 i 6 nie wykazało braków biletów, co przekonało prokuraturę o nadużyciach finansowych, których dopuścili się kasjerzy z okienek 1, 2 i 3. Motyw malował się bardzo wyraźnie - wybuch mógł być wynikiem działania osób zainteresowanych zniszczeniem dowodów popełnionych przestępstw na szkodę oddziału PKS. To oznaczało, że śledztwo musiało toczyć się dwutorowo - wyjaśnić okoliczności eksplozji oraz jednocześnie nadużyć gospodarczych.

Do pracowni badań dokumentów w laboratorium kryminalistycznym Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej trafił jeden z dowodów w sprawie - odręcznie spisany skład mikstury chemicznej, który zaczynał się od słów „nadchloran potasu 77,3 proc. 48 g”, a kończył „cukier puder 10 g 10 proc.”. Został nakreślony na kartce papieru w linię. Jako materiał porównawczy wykorzystano trzy zeszyty oraz pamiętnik Edmunda R. Biegli potwierdzili, że autorem jest

ta sama osoba. Wezwany na przesłuchanie w charakterze podejrzanego 21-letni Edmund R., syn inspektora koszalińskiego oddziału PKS, przyznał, że sporządził recepturę mieszanki wybuchowej i omówił sposób oraz miejsce, w którym należało ją podłożyć. Edmund od 1968 roku mieszkał w internacie, jako słuchacz Wyższej Szkoły Oficerskiej w Koszalinie. Został aresztowany krótko po promocji oficerskiej.

- Pierwszy raz o popełnionych nadużyciach w PKS dowiedziałem się od ojca w lipcu, może w czerwcu 1968 roku. Datę tę pamiętam, bowiem w tym roku zdałem maturę. Nadużycia te miały polegać na powtórnej sprzedaży biletów, a ponadto w obieg wprowadzane miały być jakieś inne bilety - wyjaśniał. - Widziałem u ojca bloczek biletów, służący do jednorazowego bezpłatnego przejazdu. W bloczku mogło być ich 100 lub 150 sztuk. Dokładnie nie wiem. O ile jestem zorientowany, to w skali rocznej na rodzinę przypadały trzy takie bilety.

Edmund ukradł ojcu, 47-letniemu Zenonowi, dwa bilety. Jeden wysłał narzeczonej, która mieszkała w Łodzi. W ten sposób zaoszczędziła 120 złotych. Drugi wykorzystał na kilka przejazdów do Mielna.

R. powiedział również, że jego ojciec w tym czasie często wzywany był do sądu jako świadek w procesach przeciw konduktorom. - Jak mi potem opowiadał, niejednego konduktora wybronił. W 1969 lub 1970 roku, po jednej z takich spraw, konduktor w dowód wdzięczności przyniósł do naszego domu kilka kilogramów zbrylonego miodu, owiniętego w pergamin oraz wędliny i wódkę - opisywał. - Kilka razy w roku 1970 i 1971, gdy przychodziłem z koszar na przepustkę, a było to zawsze w sobotę lub niedzielę, zastawałem ojca pijącego w towarzystwie konduktorów lub innych pracowników PKS.

21-letni Edmund R. przyznał, że przez wiele lat ojciec niezbyt interesował się synem. Dopiero ostatnimi czasy zaczął wypytywać go o jego pasję modelarstwo. Często nawiązywał do budowanych przez syna modeli rakiet. Szczególnie zaś kwestii ich odpalania. Siarka, cynk, aluminium, nadchloran potasu - ojciec chłonał rozległą wiedzę syna. Wreszcie powiedział mu, że może zdobyć potrzebne składniki paliwa raketowego. I słowa dotrzymał - w słoikach po dżemie pod koniec lutego przywiózł je do domu. - Nadmienił, że bym przeprowadził próbę z paliwem raketowym w ten sposób, że bym sobie krzywdy nie zrobił i mógł się pochwalić przed kolegami moimi osiągnięciami. Środki te zabrałem do koszar i w ukryciu przeprowadzałem próby - opisywał Edmund. Po kilku próbach swoje małe laboratorium przeniósł do

piwnicy w budynku przy ul. Rejtana. Pod koniec marca ojciec poprosił Edmunda, by ten recepturę przygotował dla niego na piśmie. Kiedy zdziwiony syn zapytał po co, ten miał odrzec: „a nóż widelec kiedyś to się przyda”. Później opowiedział synowi o tym, jak jego dobry kolega, kasjer PKS, Tadeusz M., dokonał nadużyć biletowych. - Z paczek biletów o wyższej wartości wyjmował ich część, a nawet wszystkie, zostawiając dwa zewnętrzne, a w miejsce pozostałych wkładał bilety o niskiej cenie, na przykład dwuzłotowe. Z wypowiedzi ojca wynikało, że trwa to od lat - wyjaśniał R.

Zenon R., który pracował na stanowisku starszego inspektora do spraw kontroli dochodów, wspomniał też, że w administracji PKS spodziewają się kontroli, która może ujawnić oszustwo. Zapytał syna o siłę wybuchu skomponowanej mieszanki i o to, czy może ona wysadzić biurko czy coś podobnego.

Po kilku dniach Zenon R. już wprost zwrócił się do Edmunda. Mówił o wielomilionowych nadużyciach, niemożliwych do spłacenia i spytał, czy raz w życiu mógłby mu pomóc. O sobie mówił, że kilkakrotnie pomylił się, a skutki pomyłek musiałby spłacać do końca życia. Według wersji Edmunda, ojciec miał pokazać mu szkic budynku i zapytać, czy ładunek wybuchowy wysadzi poszczególne ściany. Mówił, że jeśli tego nie zrobi, to pozostałe osoby - nie wymienił kto - zemszczą się na nim.

Syn opisał, co można zrobić, by osiągnąć planowany skutek, jednak za efekt nie ręczył. Takich prób bowiem nie wykonywał. Odmówił też przygotowania ładunku wybuchowego.

Podczas kolejnego przesłuchania Edmund R. przyznał się, że około 20 kwietnia 1971 roku, późnym popołudniem poszedł z ojcem do budynku PKS-u, aby obejrzeć pomieszczenie, w którym ojciec chciał spalić dokumenty. Na miejscu w pojemnikach czekały już składniki do wybuchowej mieszanki - m.in. 10-12 kilogramów zmielonej siarki, proszek aluminium, nadchloran potasu. Do godziny 20 gotowa była już połowa mikstury. Kontynuowali drugiego dnia. - Z opisanego materiału zrobiłem tyle mieszanki, ile tylko było można-przyznał później Edmund.

- Oceniam, że w sumie wykonałem 40 kilogramów mieszanki, ale nie więcej, jak 50 kilogramów. Powiedziałem ojcu, że mam wątpliwości, czy ta mieszanka będzie się palić, bo jest wilgotna. Odpowiedział, abym się nie bał, bo ma coś takiego, co pochłania wilgoć, błyskawicznie schnie i dobrze się pali. Wskazał wówczas na pojemnik z nieznaną mi zieloną mazią.

21-latek domyślił się, że to masa, którą pokrywa się łebki zapalek.

Mijały kolejne dni. Edmund pytał Zenona, kiedy planuje spalić dokumenty - spalić, bowiem przekonany był, że przygotowany przez niego materiał spowoduje pożar, a nie wybuch. Słyszał tylko „niech cię głowa o to nie boli”. Z początkiem czerwca pojechał na poligon. Miał wrócić 22 czerwca.

Kiedy Edmund przygotował już mieszaninę, Tadeusz M. poprosił córkę o to, by kupiła dwa kanistry i benzynę do nich. Ukrył je w piwnicy budynku PKS-u. Oświadczył koleżankom kasjerkom, że bierze na siebie usunięcie dowodów oszustwa, poprzez zniszczenie biletów z magazynów podręcznych - miało nie wyjść na jaw, że są tam niższe nominały, niż wynika z ewidencji. Część biletów wynieśli z magazynów i spalili w piecu, który stał w pralni budynku, w którym mieszkała Anna S.

W nocy z 23 na 24 czerwca 1971 r. Tadeusz M. i Zenon R. zainstalowali ładunki wybuchowe. R. opuścił budynek. M. miał zgromadzić wokół ładunków bilety i inne dokumenty, które miały ulec zniszczeniu. Oblał je benzyną, a kanister schował pod schodami. By spowodować eksplozję, przygotował ścieżkę zapalającą z benzyny. Podpalił. Podczas eksplozji był już w odwrocie. Zdążył dobiec do pokoju rozliczeń konduktorskich. Najpewniej błędnie obliczył czas do eksplozji i nie zdążył otworzyć drzwi.

Gdy ogień ze ścieżki zapłonowej dotarł do pomieszczenia, w którym była benzyna i materiały wybuchowe, spowodował zapłon „obłoku benzynowo-powietrznego, co spowodowało tzw. wyfuknięcie, które błyskawicznie doprowadziło ogień do ładunku wybuchowego, powodując wybuch masy pirotechnicznej. To spowodowało rozrzucenie akt i w efekcie odparowanie benzyny, zmieszanie się jej z powietrzem i następny wybuch, powodujący rozsądzenie ścian i zawalenie się budynku” - czytamy w aktach sprawy.

Śledztwo w tej sprawie było długie i żmudne. 28 tomów akt zapełniają kolejne ekspertyzy, sprawozdania z przeprowadzonych badań m.in. z wydziału fizyki i chemii zakładu kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej w Warszawie, składy mas zapalczanych stosowanych w Sianowskich Zakładach Przemysłu Zapalczanego, opinia inżyniera chemika, który pracował w Zakładach Tworzyw Sztucznych „Nitron-ERG” w Tarnowskich Górach, protokoły przesłuchań.

Wreszcie 11 kwietnia 1973 roku powstał akt oskarżenia. Zarzuty

prokurator postawił pięciu osobom: Annie S., Leokadii J., Zenonowi R., Jerzemu P. oraz Edmundowi R.

45-letnia kasjerka Anna S. została oskarżona o to, że od 1 stycznia 1970 r. do 24 czerwca 1971 roku poprzez fałszowanie dokumentacji kasowej w związku z prowadzoną sprzedażą biletów autobusowych zagarnęła z prowadzonej przez siebie kasy gotówkę w kwocie co najmniej 205 tys. zł. 41-letnia Leokadia J. usłyszała ten sam zarzut, a kwota, która pojawia się w akcie oskarżenia, przekracza 165 tys. zł.

Zenon R. został oskarżony o to, że w nocy z 23 na 24 czerwca 1971 roku, działając wspólnie z Tadeuszem M. „sprowadził zdarzenie zagrażające życiu ludzkiemu i mieniu w znacznych rozmiarach przez to, iż w celu ukrycia nadużyć finansowych, popełnionych na szkodę miejscowego oddziału Państwowej Komunikacji Samochodowej oraz zniszczenia dowodów tego przestępstwa, przy pomocy materiału pirotechnicznego i benzyny doprowadził do eksplozji, w wyniku której zniszczeniu uległ budynek administracyjny tegoż oddziału PKS, przedstawiający łączną wartość 3.013.987 zł”. Oskarżyciel zarzucił też 47-letniemu kierownikowi samodzielnej sekcji kontroli przewozów i spedycji to, że w celu osiągnięcia korzyści majątkowej dla siebie i kasjerów z kas nr 1,

2 i 3 umożliwił kasjerom systematyczną kradzież gotówki na kwotę co najmniej 885 tys. zł oraz przyjmował łapówki.

Jerzy R, kierownik działu przewozów pasażerskich, został oskarżony o nakłonienie Tadeusza M. i Zenona R. do wywołania eksplozji i pomoc kasjerom w wyprowadzaniu gotówki. Oskarżyciel nie miał wątpliwości - Jerzy P. i Zenon R. o nadużyciach finansowych w PKS-ie wiedzieli i tuszowali je, czerpiąc z tego korzyści majątkowe.

Edmundowi R. prokurator zarzucił pomoc w przygotowaniu wybuchu poprzez skomponowanie materiałów pirotechnicznych i wskazanie miejsc, gdzie należy je umieścić.

W toku postępowania okazało się, że znaczna liczba biletów, które powinny bezpiecznie czekać na klientów w magazynie, została już przez kasjerów sprzedana. W dokumentacji i ewidencji po tych transakcjach nie było jednak śladu.

Z ustaleń wynikało, że Tadeusz M., który zginął pod gruzami budynku, skradzione pieniądze przeznaczył na prowadzenie „wystawnego trybu życia”. Często organizował przyjęcia. M. był skarbnikiem Polskiego Związku Łowieckiego, oprócz polowań miał też drugą pasję - pokera. Do stołu siadał z oficerami Milicji Obywatelskiej,

prokuratorem, dyrektorami koszalińskich zakładów. Gra toczyła się o wielkie stawki - przegrywano ponoć samochody, działki budowlane, duże ilości gotówki. Kasjer w jedną noc przegrywał nawet równowartość swojej pensji.

Leokadia O. była „bardziej przedsiębiorcza”. Gotówkę zainwestowała w nieruchomości na wsi.

Widmo kontroli z centrali sprawiło, że Tadeusz M., Zenon R. i Jerzy P. postanowili zniszczyć dowody popełnianych przestępstw. R. zwrócił się wtedy o pomoc do syna, który od lat młodzieńczych konstruował rakiety napędzane mieszkanką pirotechniczną, komponowaną m.in. z cukru pudru i siarki.

W śledztwie nie udało się ustalić, skąd Zenon R. zdobył potrzebne składniki. Później okaże się, że z fabryki zapalek w Sianowie zginęła m.in. beczka siarki.

W toku postępowania podejrzani raz przyznawali się do winy, później wyjaśnienia odwoływali. Kasjerki umniejszały wartość skradzionej gotówki. Wszyscy trafili do aresztu.

Wyrok w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie zapadł 2 lipca 1973 roku. Oskarżeni Zenon R. i Jerzy P. zostali uznani za winnych zarzucanych im czynów i skazani na kary po 15 lat pozbawienia wolności, 50 tys. zł grzywny, 5 lat pozbawienia praw publicznych i konfiskatę całego mienia. Anna S. usłyszała wyrok 8 lat za kratami, konfiskaty mienia, grzywny - 30 tys. zł i pozbawienie praw publicznych na 4 lata. Leokadia S. - 7 lat za kratami, 25 tys. zł grzywny, 4 lata pozbawienia praw publicznych i konfiskata mienia. Edmund R. usłyszał najniższy wyrok - 5 lat więzienia.

Sąd przyjął, że istota oszustwa polegała na tym, że kasjerzy z poszczególnych bloczków biletów, pakowanych po sto, pozostawiali tylko zewnętrzne, a w środek wkładali tańsze - zastępowali na przykład bilety o wartości 36 zł biletami dwuzłotowymi. Wyjęte sprzedawali poza ewidencją kasową, na każdym „zarabiając” 34 złote. Zdaniem sądu na pomysł ten wpadł Tadeusz M. i to on wtajemniczył Annę S. i Leokadię J. w swe machinacje. Kiedy we troje zaczęli oszukiwać, trzeba było zwiększyć zapas biletów, gdyż w ewidencji był on zdecydowanie większy, niż w magazynie. Kasjerzy zapewnili sobie swobodę działania, proponując udziały w zyskach osobom odpowiedzialnym za kontrole

- Zenonowi R. i Jerzemu R. Zdarzało się nawet, że Jerzego R. trzeba było „wykupić” z restauracji, w której balował bez grosza w portfelu. Wiedział, że kasjerzy nie odmówią...

W marcu 1971 r. stanowisko dyrektora Oddziału PKS w Koszalinie objął Marian M. Gdy zapoznał się już z przedsiębiorstwem, zaczął rozważać zmiany organizacyjne i personalne. Planował jednoczesną kontrolę wszystkich kas. Na 24 czerwca 1971 r. zaplanowano szczegółową weryfikację kasy Tadeusza M. A sprzedaż pozaewidencyjna biletów, jak wyliczył prokurator, przekroczyła w kasie M. 425 tys. zł...

Edmund R. nie przyznał się do popełnienia zarzucanych czynów. Odwołał wcześniejsze zeznania, tłumacząc, że mówił tak, by pomóc swemu ojcu. Anna S. częściowo przyznała się do winy - do zagarnięcia około 30 tys. zł. Druga kasjerka twierdziła, że jest niewinna. Owszem, podmieniała bilety, ale tylko po to, by pokryć niedobory w kasie, a nie by na tym zarabiać.

Zenon R. również nie przyznał się do żadnego z zarzucanych mu czynów. Odwołał swe wcześniejsze zeznania, w tym te niezwykle barwne, z których wynikało, że w Oddziale PKS „uprawiano pijaństwo”. Wcześniej twierdził, że napoje alkoholowe spożywano w pokoju biurowym, bądź w kasach biletowych i to w godzinach pracy, przy czym wódkę stawiali kasjerzy, którzy też płacili rachunki w restauracjach, do których przenosiła się później zabawa. Odwołał wszystkie wyjaśnienia dotyczące planowania wybuchu, nieprawidłowości i nadużyć w PKS.

Wreszcie i Jerzy P. odwołał wcześniejsze wyjaśnienia (cyt. „to są rzeczy wyssane przeze mnie z palca”) i przyznał się jedynie do przyjęcia łapówki od jednego z kierowców.

„Wyjaśnieniom oskarżonych w częściach, w których nie przyznają się do zarzucanych im czynów sąd nie dał wiary, gdyż są one sprzeczne z zebranymi w sprawie dowodami” - czytamy w uzasadnieniu wyroku, które liczy aż 69 stron. A wśród dowodów znalazły się m.in. odszukane przez inspektorów bilety, które zostały sprzedane pasażerom. Po numerach ewidencyjnych udało się ustalić, że proceder sprzedaży poza ewidencją trwał w PKS-ie od lat. Udało się udowodnić nielegalną sprzedaż na kwotę ponad 796 tys. złotych - bo na tyle biegli znaleźli dowody. Jednak łączna wartość niedoboru przekroczyła 3,1 mln złotych. Pozostałą wartość uznano za niewyjaśnioną.

„Oskarżeni Zygmunt R. i Jerzy P. byli bezwzględni w dążeniu do swoich celów i nie uznawali żadnych przeszkód i skrupułów w dążeniu do osiągnięcia korzyści majątkowej, wytwarzając atmosferę zależności i zastraszenia, a w konsekwencji demoralizowali załogę. Nie można tu

nie podkreślić, że Zygmunt R. wciągnął do przestępstwa swojego syna, młodego i uczciwego dotąd człowieka, a oskarżony R, jako pracownik i były sędzia, miał szczególną świadomość stopnia społecznego niebezpieczeństwa czynów, których się dopuszczał. Oskarżony R był już zresztą karany za pobieranie korzyści majątkowych w związku z zajmowanym stanowiskiem i odbył karę kilku lat pozbawienia wolności, jest więc osobą niepoprawną”.

23 listopada 1974 r. o karach decydował Sąd Najwyższy w Warszawie. Sąd zmienił łączne wyroki Zenona R. i Jerzego R na 13 lat pozbawienia wolności, grzywny po 50 tys. zł, pozbawienie praw publicznych na 5 lat. Wyroki pozostałych oskarżonych zostały utrzymane w mocy.

O sprawie tej ponad cztery dekady temu było głośno. Ale na ulicy - reżimowe media milczały. Dezinformacja była celowa - wszak w komunistycznym kraju, tak idealnym kraju, takie przestępstwa nie miały prawa być popełnione! Co innego w państwie kapitalistycznym. U nas? Złodzieje, kradzieże, eksplozja, śmierć? To niemożliwe.

Śmierć zebrała podczas tego wydarzenia większe żniwo. Kasjer Tadeusz M. nie był jedynym, który zginął pod gruzami budynku. Rozbiórkę murów przeprowadzali żołnierze. Artyleryjski ciągnik gaśnicowy, przy pomocy doczepionej stalowej liny, bez problemu radził sobie z nadwerżoną wybuchem konstrukcją budynku, zrywając sterczące kikuty murów. 9 września, gdy do rozbiórki zostały już tylko ściany sięgające parteru, kierowca ciągnika rozpoczął pracę, ale nie zauważył grupy żołnierzy. Oficer z koszalińskiego garnizonu, który przyjechał nadzorować prace mundurowych, zginął przygnieciony gruzem.

Sprawa ta, wielowątkowa i pełna wielu niejasności, nie zakończyła się wraz z odsiedzeniem wyroków skazanych osób. W ostatnim tomie akt można bowiem znaleźć wnioski o wznowienie postępowania i uniewinnienie, który złożyli skazani Zenon R. i Edmund R. po wyjściu na wolność w 1984 roku.

**CIAŁA
14-LATKI
SZUKAŁO
70 ZOMOWCÓW**

Ta sprawa w 1961 roku wstrząsnęła nie tylko lokalną społecznością.

Wzbudziła falę sprzeciwu w całej Polsce.

Setki osób podpisywały się pod listami z żądaniem jak najsurowszej

kary

dla sprawcy brutalnego gwałtu i zabójstwa 14-latki z Karnieszewic

w gminie Sianów.

Na posterunek milicji w podkoszalińskim Sianowie zgłosili się rodzice 14-letniej Marii M. 25 października 1961 roku, po godz. 12, dziewczyna wyjechała z domu w Karnieszewicach na rowerze i nie wracała już piąty dzień.

- Wyjechała do swej babki, która mieszka w Sianowie. Stamtąd, jak zawsze po zostawieniu roweru, miała udać się autobusem do Państwowego Liceum Pielęgniarek w Koszalinie - relacjonowała milicjantom roztrzęsiona Józefa, matka Marii. - Poprosiła mnie, bym dała jej pięć złotych i powiedziała, że przez kolejne trzy dni będzie nocować w Sianowie u swego brata Jana. Miała pilnować jego dzieci. 29 października do mojego domu przyjechała koleżanka córki i zapytała, gdzie ona jest. Odpowiedziałam, że chyba w Sianowie u brata lub babci. Wówczas koleżanka powiedziała, że Maria już od trzech dni nie była w szkole... - opisywała.

Wkrótce do Józefy przysłała żona leśniczego. Powiedziała jej, że jeden z mieszkańców Karnieszewic zauważył w lesie przy szosie rower i wiszącą na nim torebkę. Był przekonany, że to własność 14-letniej Marii.

2 listopada na skraju drogi z Koszalina do Sławna, dwa kilometry od Sianowa, dzieci zauważyły w zaroślach „coś niebieskiego”. Był to płaszczyk zaginionej.

3 listopada 1961 roku o godz. 8 z rozkazu komendanta milicji województwa koszalińskiego siedemdziesięciu funkcjonariuszy ZOMO zaczęło przeszukiwać las w okolicy znalezionego roweru. O godz. 11.55 znaleźli buty zaginionej. Pięć minut później jeden z mundurowych zauważył ciało dziewczynki. Leżała twarzą do ziemi.

Maria M. była uczennicą VIII klasy szkoły pielęgniarskiej. 25 października 1961 roku około godz. 20.30 z Koszalina do Sianowa wróciła autobusem. Poszła do babci, zabrała swój rower. W Sianowie spotkała jeszcze swoją koleżanką, z którą chwilę rozmawiała, po czym wsiadła na jednoślad i pojechała szosą do Karnieszewic. Od tego czasu zaginął po niej wszelki ślad.

Sekcja zwłok wykazała, że 14-letnia Maria została brutalnie zgwałcona, a obecność ziemi, drobnych korzonków i igliwia w jamie ustnej, gardle i oskrzelach wskazywała, że została uduszona - sprawca przyciskał jej twarz do ziemi. Rozpoczęło się poszukiwanie mordercy i gwałciciela.

Priorytetem dla milicji i prokuratury był czas. Nikt nie miał pewności, czy sprawca znów nie zaatakuje. Dwóch świadków wskazało mocny trop. 11 listopada pracownik Zakładów Mięsnych w Koszalinie zeznał, że 25 października w Sianowie obsługiwał spęd bydła. Pomagał mu w tym Stefan R. Pracowali razem do godz. 15.30. Później świadek poszedł załatwić w Sianowie sprawy służbowe, a na koniec ciężkiego dnia postanowił posilić się w gospodzie. Tam znów spotkał Stefana R. i innych mężczyzn. We czwórkę usiedli przy stoliku. Po zakrapianym wódką posiłku rozeszli się, jednak R. miał jeszcze zostać w Sianowie, a do domu wrócić wieczorem. Następnego dnia - o tym mówił już referent skupu żywca z Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Sianowie - Stefan R. przyszedł do pracy na potężnym kacu. Zwrócił na siebie uwagę, bo miał rozpiętą koszulę, a na szyi rdzawe ślady, jakby zadrapania. - Powiedział, że to krowa łańcuchem mu zrobiła - zeznał Franciszek K. Referent zapytał Stefana, jak długo pracował przy spędzie bydła. - Odpowiedział, że w domu był około godz. 21, czy 21.30 - relacjonował. A, że R. mieszkał w Kamieszewicach i również jeździł rowerem, mógł być na drodze w tym samym czasie, co Maria M.

33-letni Stefan R., pracownik fizyczny GS Samopomoc Chłopska, ojciec pięciorga dzieci w wieku od 2 do 7 lat, został wezwany na przesłuchanie 13 listopada. - W Kamieszewicach mieszkam od 1945 roku - rozpoczął. - Znam wszystkich mieszkańców. W GSSCh pracuję już drugi rok. Do pracy dojeżdżam rowerem, a jeśli się zepsuje, to PKS-em. W październiku najczęściej jednak rowerem. Zawsze, gdy jest spęd, a ten jest w środy, pracuję przy nim - powiedział pytany o dzień 25 października. - Na spędzie byłem od rana, kolczykowałem bydło i wpędzałem do zagrody. Później udałem się do gospody na obiad.

Był posiłek, był też alkohol. Wódka, piwo, a kiedy do Stefana dosiedli się lokalni rolnicy, wódki było jeszcze więcej. R. gubił się w chronologii zdarzeń. Na podstawie zeznań innych świadków udało się później ustalić, że poszedł do znajomych, gdzie również pił. A później raz jeszcze wrócił do gospody. Po godz. 20 wsiadł na rower i pojechał w kierunku Karnieszewic.

33-letni Stefan R. zapewniał milicjantów, że po drodze nikogo nie spotkał, nie zatrzymywał się, a do domu dotarł wcześniej, niż mówił kolegom, bo około godz. 20.30. - W radio podali godzinę, bo zaczynała się audycja Wolnej Europy - zaakcentował. Dodał też, że o zaginięciu Marii M. dowiedział się wtedy, gdy jeden z mieszkańców Karnieszewic odnalazł jej rower i o sprawie zrobiło się głośno.

Po przesłuchaniu 33-letni mężczyzna został zatrzymany. Milicjanci przeszukali jego dom i zabezpieczyli ubrania, które mogły nosić ślady przestępstwa. 15 listopada Stefan R. został przewieziony do Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie, gdzie pobrano mu do analizy i badań porównawczych włosy i krew. Zbiegł, gdy miał poczekać na korytarzu na spisanie protokołu. Po godzinie został zatrzymany w lesie za Koszalinem. Przed milicjantami uciekał na bosaka - buty zgubił po drodze.

Równolegle trwały przesłuchania kolejnych świadków. Z nich, jak krajobraz z puzzli, układał się obraz 33-latkę. Obraz niezbyt kolorowy... Po zakończeniu służby wojskowej w 1953 roku R. ożenił się z Danutą M. Pracował jako robotnik leśny i uprawiał dzierżawioną działkę rolną. Zmienił pracę i zatrudnił się w fabryce wozów w Sianowie. Od końca sierpnia 1961 roku pracował w GS Samopomoc Chłopska, a rok wcześniej wziął w dzierżawę 11-hektarowe gospodarstwo rolne. Od kiedy zaczął pracę w GS-ie, coraz częściej zaglądał do kieliszka. Nie odmawiał, kiedy rolnicy, sprzedający żywiec, zapraszali go na wódkę. Kilka mieszkańek wsi oskarżało go o nader częste, nazwijmy to delikatnie, niemoralne propozycje.

Marię M. znał osobiście. Jej siostra była matką chrzestną jednego z jego pięciorga dzieci. 17 listopada 1961 roku, podczas przesłuchania przed prokuratorem, R. wreszcie pękł - przyznał się, że zgwałcił i zamordował 14-latkę. Szokujące są jego kolejne słowa: - Kilkakrotnie proponowałem jej odbycie stosunków cielesnych, ta jednak się śmiała. Powiedziała też „cham”. Ostatnia tego rodzaju rozmowa miała miejsce około tygodnia przed jej śmiercią. Jak się orientowałem, Maria M. mogła mieć 16 do 17 lat - opisywał.

W środę, 25 października 1961 roku, R. zauważył dziewczynę na drodze z Sianowa do Karnieszewic. Próbował jechać rowerem, ale był pijany, więc często z niego zsiadał i prowadził jednoślad. - Zapytałem, dlaczego tak późno jedzie. Powiedziała, że była w szkole i wraca. Zwróciłem się do niej bezpośrednio - śledczym R. zacytował wulgarną propozycję. - Powiedziała: „Co pan gada za głupstwa. Ma pan swoją żonę”.

Stefan R. przez kilka minut namawiał dziewczynę, aż w końcu przewrócił ją, chwycił za ręce i pociągnął w głąb lasu. 14-latka próbowała się wyrwać. Podczas szarpaniny zerwał z niej płaszcz. Przewrócił dziewczynę na ziemię. Zgwałcił, zasłaniając usta. Po wszystkim przewrócił ją na brzuch i dociskając twarz do ziemi, udusił.

Rower 14-latki poprowadził 1,5 kilometra dalej i porzucił w krzakach przy drodze. Wrócił do domu i poszedł spać.

Rano, przed ósmą, Stefan R. pojechał do pracy. Rowerem. Przy drodze zauważył niebieski płaszcz. - Zsiadłem z roweru i zabrałem go. Położyłem obok drzewa, przykrywając liśćmi i trawą - powiedział.

Wyrok w Sądzie Wojewódzkim w Koszalinie zapadł 16 lutego 1962 roku. Stefan R. został uznany za winnego zabójstwa i skazany na karę śmierci. Na rozprawie R. odmówił składania wyjaśnień. Biegli psychiatrzy wypowiedzieli się, że działał w pełni poczytalności.

„Oskarżony R. nie tylko zgwałcił nieletnią M., u której spowodował deflorację, ale jeszcze chcąc pozbyć się jedyne go świadka i uniknąć jakiegokolwiek odpowiedzialności, odebrał jej życie, zaduszając ją przez wgniecenie twarzy w ziemię. Oskarżony nie zastanowił się nad tym, że ma żonę i pięcioro dzieci, i że osoba, na której dokonał gwałtu, i którą zamordował była też dzieckiem. Oskarżony zasłaniając się niepamięcią na rozprawie starał się pominąć takie okoliczności, w jaki sposób broniła się przed nim M., bądź też w jaki sposób prosiła go, by nie czynił jej krzywdy. Postępek oskarżonego jest nieludzki i przykład nie tylko dla oskarżonego, ale i dla każdego innego, kto by się na czyn podobny zdobył, powinien być odstraszący. Z tych względów sąd uznał, że oskarżony zasługuje na wyeliminowanie go ze społeczeństwa w postaci najwyższego ustawowego wymiaru kary i dlatego skazał go na karę śmierci” - czytamy w uzasadnieniu wyroku.

Stefan R. od wyroku się odwoływał. O łaskę prosił Radę Państwa. Decyzja była odmowna.

26 kwietnia 1962 roku wyrok śmierci na Stefanie R. został wykonany.

W aktach sprawy znajdujemy kopię listu, który Stefan R. wysłał do rodziny jeszcze przed ogłoszeniem wyroku. „Droga żono z dziećmi, mamusiu z moim ojcem i bratem, otóż donoszę Wam o swoim nieszczęściu, jakie mnie spotkało przy wódce. Zdaję sobie sprawę, jak Ty, droga żono z tymi dziećmi będziesz przeżywać w takich ciężkich warunkach. (...) nie mogę sobie wybić z głowy, że takiej się zbrodni dopuściłem, (...) zhańbiłem cię (...). Żegnaj Was z wielkim smutkiem i ubolewaniem ze swego bolesnego serca. (...)”

**BEZWZGLĘDNY
SKĄPIEC,
BEZLITOSNY
MORDERCA**

Wojewódzki Zakład Opiekuńczy w Białogardzie.
Sześćoletniego Józia odwiedził plutonowy z Komendy Powiatowej.

- Gdzie jest tatuś? - zapytał milicjant.
- Pojechał z tym panem na pole z gnojem.
- I już go więcej nie widziałeś? - dopytywał.
- Byłem na grobie. Tam, gdzie tatuś leży... - usłyszał.

Przez niemal pół roku morderca był przekonany, że popełnił zbrodnię doskonałą. Był tak pewny siebie, że kilka dni po zabójstwie opowiedział o nim koledze rolnikowi. Był przekonany, że nikt go nie wsypie. Że ludzie będą się bać. Mylił się i przyszło mu za to zapłacić najwyższą cenę. Po kilku miesiącach od zabójstwa milicjanci otrzymali zgłoszenie - jeden z mieszkańców Białogardu miał w sobie tyle odwagi, że wskazał sprawcę okrutnej zbrodni.

Włodzimierz L. w 1942 roku został wywieziony przez Niemców, okupujących Kutno, na roboty przymusowe do Białogardu. Został przydzielony do pracy na gospodarstwie Ernsta K. Po trzech latach, 5 czerwca 1945 roku, kiedy Armia Czerwona wyzwoliła Białogard, otrzymał przydział - gospodarstwo człowieka, który dotąd był jego pracodawcą. Na krótko wstąpił w szeregi Milicji Obywatelskiej, ale kiedy obowiązywać zaczął przepis, że funkcjonariusze MO nie mogą posiadać gospodarstw rolnych, zdjął mundur.

Gospodarstwo było duże. Włodzimierz L. nie był w stanie sam zadbać o 18 hektarów ziemi. Z końcem listopada 1945 roku komisarz ziemski w charakterze współnika repatrianta przydzielił Włodzimierzowi L. Piotra O. Nowy współnik przyjechał z rodziną - żoną Anną i trojgiem dzieci w wieku 6, 5 i 2,5 roku. Zdawać by się mogło, że w powojennych realiach ziemia i praca były tym, na czym ludziom najbardziej zależało. Niestety, L. nie mógł pogodzić się z faktem, że właśnie ziemią i pracą będzie musiał się podzielić.

Między Piotrem i Anną O. a Włodzimierzem L. nagminnie dochodziło do sprzeczek. L. nie chciał sprawiedliwie podzielić zwierząt. O. poprosił o pomoc w rozwiązaniu konfliktu milicję, co jeszcze bardziej rozjuszyło L.

- Piotr O. chciał mnie usunąć z gospodarstwa i zostać samodzielnym - oświadczył pół roku po zabójstwie 22-letni Włodzimierz L. - Twierdził, że ja jestem samotny, gospodarstwo jest więc mi niepotrzebne i mam wyjechać do swojej rodziny - przedstawiał argumenty współnika. - Zamordowałem ich, bo to ja chciałem być samodzielny na gospodarstwie i nie mogłem się z nimi zgodzić - przyznał się do zbrodni.

Jak długo ją planował? Tego dziś można się tylko domyślać. Sąd nie miał wątpliwości - to był skrupulatnie przygotowany plan, a każdy jego szczegół został wcześniej dopracowany.

Po pierwsze - potrzebne było narzędzie zbrodni. 20-letni Jan O. miał pistolet, o czym wiedzieli wszyscy w okolicy. Kupił go od Rosjanina, kiedy wstąpił do milicji. Nie służył długo, a kiedy zrezygnował z pracy, broni nie zdał. 22 maja 1946 roku Jan O. podczas przesłuchania przyznał: - W pierwszej połowie grudnia 1945 roku Włodzimierz L. przyszedł do mnie, chcąc pożyczyć pistolet. Powiedział, że chce zastrzelić swego współnika za to, że nie mogą się zgodzić. Dałem mu pistolet i powiedziałem: rób, jak chcesz. Po tygodniu poszedłem do niego odebrać pistolet i powiedział mi, że zastrzelił małżonków O. Zabrałem pistolet i poszedłem do domu, nikomu o tym nie mówiąc.

Później Jan O. zmienił swe zeznania. Przekonywał, że o sprawie nic nie wiedział, a Włodzimierz L. bez jego zgody i wiedzy zabrał pistolet wraz z ośmioma nabojami.

Zmowa milczenia trwała od grudnia 1945 roku. Kiedy świadkowie złożyli już swoje zeznania, Włodzimierz L. musiał zacząć mówić.

- 22 grudnia około godz. 10 wyjechałem razem z Piotrem O. z nawozem na pole za Białogardem. Podczas pracy na polu wyjąłem pistolet i strzeliłem mu w tył głowy. Po zastrzeleniu zdjąłem mu buty, które schowałem w stodole. Następnie wrzuciłem O. na wóz i zawiozłem do kopca po kartoflach, przykrywając go gnojem w celu zatarcia śladów. Po zakopaniu Piotra O. przyjechałem do domu. Po obiedzie poszedłem do żony O., aby przyszła nam pomóc w pracy na polu. Zgodziła się. W trakcie jazdy, koło przepływającego tam kanału, gdy odwróciła się do mnie tyłem, wyjąłem pistolet i strzeliłem jej w tył głowy. Po upadku z bryczki podarłem jej majtki, pozorując gwałt, następnie zdjąłem pantofle i wrzuciłem zwłoki do kanału. Wróciłem do domu, mówiąc dzieciom, że rodzice poszli szukać innego gospodarstwa - opisał szczegóły makabrycznej zbrodni.



O morderstwie wiedziały trzy osoby - właściciel broni, Stanisław T. - kolega mordercy i jego kochanka. Świadek Stanisław T., rolnik, potwierdził wersję podejrzanego: - Mniej więcej cztery dni po zamordowaniu O. przyszedł do mnie Włodzimierz L. i powiedział, że pozbył się swych współników. Zapytałem w jaki sposób. Powiedział, że ich zastrzelił. Wyjechał z O. na pole z furą gnoju, zwałił wszystko z wozu. Dał O. lejce, sam został z tyłu, a gdy wóz ruszył, on dwoma strzałami w głowę go zabił. Pojechał dalej pod dół, który miał już

przygotowany i tam go zakopał.

- Dlaczego nie zameldowaliście tego wcześniej? - pytał śledczy.

- Obawiałem się, że ma on jeszcze współników i jak ja zamelduję, to oni mnie zastrzelą - oświadczył Stanisław T.

Tydzień po zgładzeniu małżeństwa O. Włodzimierz L. zawiadomił sołtysa, że wyjechali oni na jeden dzień i wciąż nie wrócili, pozostawiając bez opieki trójkę dzieci. Maluchy trafiły do przytułku. Najpierw dzieci umieszczono w sierocińcu w Zwinisławiu, później w Domu Dziecka w Białogardzie.

17 maja 1946 roku biegły lekarz został wezwany na oględziny zwłok 36-letniej Anny O. Ciało zostało odnalezione już wcześniej - w lutym 1946 roku. Jako nierozpoznane, zostało pochowane w Żytkowie. Zarządzono ekshumację. Rozkład tkanki wskazywał, że zgon nastąpił przed 5-6 miesiącami. Medyk uznał, że śmierć nastąpiła na skutek postrzału. Centymetr nad prawym uchem znajdowała się rana wylotowa. Wlotowa - w okolicy szyi z tyłu głowy. Tę samą przyczynę śmierci wskazał podczas oględzin ciała 36-letniego Piotra O. Miejsce ukrycia zwłok wskazał Włodzimierz L.

Akt oskarżenia opatrzony j est datą 21 czerwca 1946 roku. Włodzimierz L. stanął pod zarzutem podwójnego zabójstwa. Współoskarżonym był zaś Jan O. Prokurator uznał, że pożyczając pistolet był świadomy, w jakim celu zostanie on użyty (miał wręcz powiedzieć: „zastrzel O., ja ci dam broń”) i tym samym jest współwinny popełnienia zbrodni.

Podczas składania wyjaśnień 22-letni Włodzimierz L. zmienił wersję zdarzeń. Przekonywał, że zabił w obronie własnej. Na polu między nim a Piotrem O. miało dojść do awantury. O. miał pobić Włodzimierza, a ten miał sięgnąć wtedy po pistolet. Żonę zabił - przekonywał - by... pierwsza zbrodnia się nie wydała.

Sąd Doraźny w Koszalinie na sesji wyjazdowej w Białogardzie ogłosił wyrok 18 lipca 1946 roku.

Właściciel pistoletu - Jan O. - został uniewinniony. Włodzimierz L. usłyszał najsurowszy wyrok - karę śmierci.

- L. odwiedzał często osk. O., użalał się przed nim na rzekome złe traktowanie go przez O., prosił go o pożyczenie mu pistoletu. Osk. O. wobec osk. L. nie ukrywa faktu posiadania pistoletu, pokazuje mu go, lecz prośbie o pożyczenie stanowczo odmawia i chowa pistolet pod poduszkę w otomanę - przyjął sąd. - Na trzy dni przed zabójstwem osk. L. ponownie odwiedza osk. O. i ponawia swą propozycję. Osk. O.

znowu odmawia. Gdy jednak osk. O. w pewnym momencie opuszcza pokój, osk. L. zabiera mu pistolet, osiem naboí i wychodzi.

Sędziowie nie dali wiary nowej wersji zdarzeń oskarżonego L. - Okoliczności towarzyszące dokonaniu przestępstwa wskazują wyraźnie, że działanie osk. L. było działaniem przemyślanym. Plan dokonania przestępstwa był precyzyjnie obmyślony i powoli, systematycznie przeprowadzony. Przewód sądowy niezbitcie wykazał, że nie denat i jego żona wszczynali zatargi z osk. L., lecz przeciwnie, to on, niezadowolony z orzeczenia PUR-u, powodowany pragnieniem utrzymania całego gospodarstwa za wszelką cenę, był powodem zatargu, chcąc zmusić denatów do opuszczenia gospodarki (...) - czytamy w uzasadnieniu wyroku. Sąd wykluczył też, by strzały w tył głowy mogły zostać oddane w akcie obrony. I dalej: -(...) zachowanie się oskarżonego po dokonaniu zabójstwa: zjedzenie w spokoju i z apetytem obiadu oraz drugie zabójstwo, dokonane w identyczny sposób, upozorowanie gwałtu, jako przyczyny bezpośredniej zabójstwa, to wskazuje, że oskarżony działał na zimno, z całkowitym wyrachowaniem. (...) Motywem działania oskarżonego była wyłącznie chciwość, chęć objęcia całej gospodarki.

Biorąc pod uwagę motyw i sposób dokonania zbrodni, która - jak określili sędziowie - „została wykonana w sposób bestialski i nieludzki”, do tego brak skruchy, sąd postanowił wyeliminować L. ze społeczeństwa. -(...) pozostawienie [go] w społeczeństwie byłoby ustawiczną groźbą dla otoczenia.

Karę śmierci sędziowie uznali też za jedyną „odpowiadającą nasileniu jego złej woli i szkodliwości dla otoczenia i jako jedyną sprawiedliwą odpłatę i zadośćuczynienie za krzywdę moralną, wyrządzoną nieletnim sierotom i społeczeństwu i za szkodę wyrządzoną polityce osiedleńczej na ziemiach odzyskanych (...)”.

Minęły lata. Józef O., który w 1946 roku miał 6 lat, był już dorosłym mężczyzną. Chciał dowiedzieć się, co dokładnie spotkało jego rodziców. W aktach sprawy znajdziemy pisma, w których streszczono mu tę historię. I zdanie: „Wyrok został wykonany w dniu 24 października 1946 roku w Zakładzie Karnym w Nowogardzie”.

MAŻ I OJCIEC HULAKA I KOCHANEK

- Nie martw się o dzieci. Będzie je wychowywać teść.
A jak pójdę siedzieć, to będę wiedział za co -
powiedział swemu podwładnemu chwilę przed zabójstwem żony
27-letni Stanisław T. Michalina T. osierociła czworo dzieci.
Najmłodsze miało 7 miesięcy.

Oficer śledczy Komendy Wojewódzkiej Milicji w Koszalinie w ciągu czterech tygodni przesłuchiwał niemal wszystkich pracowników tartaku w Bielsku Pomorskim (pow. człuchowski).

Pytał o Stanisława T., który w listopadzie 1952 roku został komendantem

brygady Powszechnej Organizacji Służba Polsce. „(...) pracownicy tartaku zaobserwowali, że T. całkowicie nie dbał o dobro brygady, gdyż bardzo często wprowadzał się w stan nietrzeźwości i po pijanemu niejednokrotnie zrywał junaków ze snu i w nocy, z na wpół ubranymi, robił ćwiczenia, względnie po godzinie trzymał ich w szeregu na mrozie.

Z najbardziej posłusznego i pracowitego junaka, tj. Adama B., zrobił sobie adiutanta, który to ślepo wykonywał jego rozkazy. Mimo śniegu B. niejednokrotnie boso latał do sklepu po papierosy dla Stanisława T., który równocześnie wciągnął Adama B. do pijaństwa oraz awantur, tak iż B., mający 17 lat, był pod całkowitym wpływem komendanta T.”.

Nie wykonał jednak jednego rozkazu szefa. Nie zabił.

14 grudnia 1952 roku o godz. 21 do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wpłynęło zawiadomienie z posterunku milicji w Przechlewie (pow. człuchowski), że na polu w pobliżu gromady Nowa Wieś zostały zamordowane dwie kobiety. W małej społeczności identyfikacja zwłok nie była problemem. W zmarłych rozpoznano Michalinę T. i Praksadę G.

Michalina T. miała rany cięte na głowie. Silne ciosy w brzuch spowodowały szereg urazów wewnętrznych i krwawienie do jamy otrzewnej. Praksada G. miała uszkodzone naczynia krwionośne skroni. Wykrwawiła się.

Michalina T. z mężem Stanisławem z powiatu radomskiego na tzw. ziemię odzyskane przyjechała w 1949 roku. Małżonkowie zamieszkali w Nowej Wsi w gm. Przechlewo. Otrzymali piękny przydział - 12 hektarów ziemi. Stanisław T. chętnie korzystał z pomocy, którą Państwo Ludowe udzielało osiedleńcom. Zaciągał pożyczki, ale zamiast zainwestować pieniądze w rozwój gospodarstwa, przepijał je. Każda próba rozmowy z mężem kończyła się dla Michaliny awanturą i rękoczynami. Zdarzało się, że uciekała z domu, ratując przed ciosami siebie i dzieci.

W 1950 roku Stanisław T. uznał, że praca rolnika jest dla niego zbyt

trudna. Zdał 9 hektarów ziemi. Zatrudnił się na kolei. Zarobione pieniądze przepijał. Żona utrzymywała siebie i dzieci z 3-hektarowego gospodarstwa, na którym pracowała sama.

W kwietniu 1951 roku Stanisław T. został komendantem gminnym Powszechnej Organizacji Służba Polsce. Wtedy poznał junaka Adama B., którego całkowicie sobie podporządkował. Młody, wówczas niespełna 16-letni chłopak, bez mrugnięcia okiem wykonywał każdy rozkaz - na przykład skopał pole kartofli, nie otrzymując za to grosza.

W listopadzie 1952 roku 27-letni Stanisław T. został mianowany komendantem brygady Powszechnej Organizacji Służba Polsce, która pracowała w tartaku w Bielsku Pomorskim. Złożona była z miejscowej młodzieży. Wśród junaków znalazł się 17-letni Adam B.

Stanisławowi T. praca w Bielsku idealnie pasowała - żona zajmowała się domem, opiekowała się czworgiem dzieci, z których najmłodsze miało 7 miesięcy, a najstarsze 6 lat, a on bawił się, pił, spotykał z... inną kobietą. Michalina T. w każdy weekend wychodziła na stację kolejową, by wypatrywać męża. Nie przyjeżdżał. Nie przyjechał też 10 grudnia 1952 roku. Z pociągu wysiadł za to 17-letni Adam B., którego Michalina rozpoznała.

- 10 grudnia udałem się do Nowej Wsi celem doręczenia kart powołania na turnus dla junaków SP. Na stacji kolejowej spotkałem żonę komendanta brygady Stanisława T. - zeznał kilka dni później, podczas przesłuchania. - Przywitałem się. Spytała, czy jej mąż nie przyjechał. Zaczęła się żalić, że mąż nie oddaje wszystkich pieniędzy i ona nie jest w stanie z dziećmi wyżyć. Zaczęła mnie wypytywać, czy mąż nie ma kochanki w Bielsku Pomorskim. Powiedziałem, że chodzi do jednej kobiety. Miał kochankę - Gertrudę. Matkę trojga dzieci. Pracowała w tartaku w charakterze sprzątaczk. Jej mąż dostał pomieszania zmysłów. Powiedziałem Michalinie T., że najlepiej będzie, jak ona sama przyjedzie do Bielska i zorientuje się z kim jej mąż chodzi, po czym udałem się do domu, gdyż była już późna godzina.

Po powrocie do tartaku Adam B. przyznał się Stanisławowi T., że rozmawiał z jego żoną i... zdradził jego zdradę. Zapowiedział też, że najprawdopodobniej w najbliższą niedzielę kobieta przyjedzie do męża.

Załamana Michalina T. do tartaku nie chciała jechać sama. Chciała mieć świadka rozmowy z mężem hulaką. Prosiła o pomoc sąsiadów. Przy mężczyźnie czułaby się bezpieczniej. Żaden jednak się nie zgodził. Pomocy nie odmówiła jej za to sąsiadka - Praksada G. 14 grudnia 1952

roku po godz. 16 ruszyły pociągiem do Bielska, oddalonego od Nowej Wsi o 18 kilometrów.

Michalina spotkała męża w świetlicy. Siedział przy stole z trzema kompanami. Pili wino. Kobieta podeszła do męża i poprosiła go o rozmowę. - Powiedziała: „Stachu, daj pieniądze”. On zaczął tłumaczyć, że nie ma już gotówki. Zagroziła, że doniesie na niego, ale nie wiem gdzie - relacjonował 17-letni Adam B. I on pił tego popołudnia wino. Ale, jak zapewniał, „dopiero trzeci raz w życiu”.

Michalina T. oświadczyła mężowi, że odejdzie od niego. Odwróciła się na pięcie i wraz z sąsiadką poszły na stację. Pociąg powrotny do Nowej Wsi odjeżdżał o godz. 19.

17-letni Adam B. poszedł się położyć. Nie zdążył jeszcze zasnąć, gdy usłyszał pukanie w szybę. To był Stanisław T. Kazał chłopakowi ubrać się i pójść razem z nim. Zagroził, że to polecenie służbowe i jeśli 17-latek go nie wykona, nałoży na niego karę finansową.

Obaj poszli na stację kolejową. Schowali się za stertą drewna. Zauważyli, że Michalina T. i Praksada wsiadają do pierwszego wagonu od parowozu. Dopiero kiedy pociąg zaczął ruszać, wskoczyli do niego.

Już w wagonie T. powiedział, że zabije żonę, a B. zabić ma jej towarzyszkę. Chłopak odmówił. Próbował przekonać komendanta, by wrócili do tartaku. - T. powiedział mi: „nie martw się. Ty za mnie nie pójdziesz siedzieć, a jak ja pójdę, to będę wiedział za co” - podkreślił Adam B.

Na stacji Nowa Wieś wysiedli z pociągu od strony pola - tak, by nikt ich nie zauważył. Dobiegli do jednej z polnych dróg. - T. pokazał mi zamek od karabinu KBK, mówiąc, że tym zabije żonę. Zamek był rozebrany, gdyż widać było iglicę - relacjonował 17-latek.

Czekali. Usłyszeli rozmowę kobiet. - T. ponownie powiedział, że zabije swoją żonę, a ja mam zabić G. Powiedziałem, że nie mam takiego serca, żeby zabić. I nie mam za co. T. kazał więc mi ją przytrzymać, by nie uciekła. A jeśli bym puścił, wtedy to on mnie zabije - opisywał junak.

T. zaatakował żonę. B. trzymał jej koleżankę. Ta przewróciła go. - Słyszałem wtedy, jak żona T. wołała do niego: „kochany Stasiu, co robisz, puść mnie!”. Uderzył ją około dziesięciu razy nogami oraz ręką, w której trzymał zamek. Nie było już słyhać nic, za wyjątkiem odgłosów łamania kości. Kiedy nie dawała już znaków życia, doleciał do mnie i kopnął parę razy silnie G. w głowę. Później bił ją w głowę zamkiem - zeznawał B.



Michalina T. jeszcze żyła, kiedy w oddali pojawił się ktoś ze światłem. B. i T. schowali się w zaroślach. Kobieta nie miała siły już krzyczeć. Człowiek ze światłem poszedł w innym kierunku. Stanisław i Adam wrócili na miejsce zbrodni - Stanisław zabrał płaszcz i raportówkę. Do tartaku wrócili pieszo - przez pola. Po drodze T. ostrzegł, by Adam B. milczał. Zagroził, że jeśli pisnie choć słówko - nie zawaha się. Zamorduje go. - Spytałem, co mam powiedzieć księdzu na spowiedzi.

Powiedział, że nic mam nie mówić, bo jestem niewinny. On zamordował obie kobiety sam - zeznawał 17-latek. Od komendanta usłyszał jeszcze: „Wiesz Adam, ale moja żona miała twarde życie, gdyż trudno ją było dobić...”.

Po drodze w kałuży mężczyźni opłukali ręce. Zmyli krew z butów i zamka. Położyli się spać. Rankiem zostali zatrzymani.

Stanisław T. przyznał się do morderstwa. - Żonę postanowiłem zamordować dlatego, że kłóciła się ze mną, a dnia krytycznego przyjechała do mnie z G. i również urządziła mi awanturę, żądając pieniędzy. Żona odjeżdżała tego dnia o godz. 19 z minutami pociągiem w kierunku Człuchowa. Postanowiłem, że pojedę z nią tym samym pociągiem i gdy będzie szła ze stacji do domu, to ją zamorduję. W tym celu zabrałem ze sobą zamek od KBK, który miałem w raportówce. Aby różniej było mi wracać do domu, zabrałem ze sobą junaka Adama B. - skwitował.

Sprawa przeciwko 17-letniemu Adamowi B. została wyłączona do odrębnego postępowania. Proces 27-letniego Stanisława T. toczył się przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie na sesji wyjazdowej w Człuchowie. 25 maja 1954 roku zapadł wyrok - Stanisław T. został skazany na karę śmierci. W uzasadnieniu wyroku sędziowie podkreślili, że oskarżony nie wykazał żadnej, nawet najmniejszej skruchy za swój bestialski czyn.

Stanisław T. starał się o ułaskawienie. Rada Państwa nie skorzystała z tego prawa. 2 czerwca 1953 roku o godz. 6 Stanisław T. został powieszony.

FRYZJER, SCYZORYK I MYDEŁKO

Zabił. Uciekał tak szybko,
że na miejscu zbrodni zostawił nie tylko scyzoryk kolegi,
ale też... wizytówkę - mydełko do golenia,
którego używał w codziennej pracy fryzjera.

Jerzy K., 31-letni kołobrzeżanin, z zawodu fryzjer, bez majątku, skończone 4 klasy szkoły podstawowej. 1 lipca 1953 roku stanął przed Sądem Wojewódzkim w Koszalinie na sesji wyjazdowej w Kołobrzegu. - Oskarżam Jerzego K. o to, że w dniu 19 marca 1953 roku w Kołobrzegu, działając w celu rabunkowym i w zamiarze pozbawienia życia Franciszka K., uderzył go kilkakrotnie trzonkiem scyzoryka w głowę, powodując wylew krwawy do tkanki mózgowej zwoju skroniowego prawego, skutkiem czego nastąpiła śmierć Franciszka K. - prokurator odczytał akt oskarżenia.

19 marca 1953 roku około godz. 22 do Powiatowej Komendy Milicji Obywatelskiej zgłosił się Jan K. Zawiadomił funkcjonariuszy, że owocarnia przy ul. Kniewskiego jest otwarta, a na podłodze leży człowiek. Na miejscu okazało się, że to właściciel owocami - Franciszek K. Martwy. Obok ciała leżał scyzoryk, rozrzucony bilon, mydło do golenia i oderwane blaszane guziki. Mężczyzna miał podciągniętą marynarkę. Podczas oględzin ustalono, że był przewracany, a zabójca przeszukiwał jego kieszenie.

W toku śledztwa szybko ustalono, że w dniu morderstwa w okolicy już od popołudnia widziany był Jerzy K., fryzjer jednostki wojskowej. W barze na dworcu kolejowym do godz. 21 pił wino, a jeden ze świadków widział go z Franciszkiem K. Między mężczyznami doszło do sprzeczki, podczas której Jerzy K. pokazał Franciszkowi nóż, który świadek rozpoznał, kiedy pokazano mu narzędzie zbrodni.

Do śledztwa zostali zaangażowani dochodzeniowcy z Komendy Wojewódzkiej w Koszalinie. Cień podejrzeń na Jerzego K. rzuciła Krystyna, bufetowa z baru kolejowego. 19 marca do pracy przysłała na godz. 20. Od razu zauważyła na sali fryzjera K. Dlaczego zwróciła na niego uwagę? - Znam go jako oszusta. Często przesiaduje na dworcu i stale szuka takich gości, co mu postawią piwo czy wino. Mojej koleżance bufetowej noc wcześniej, z 18 na 19 marca, wziął butelkę wina o wartości powyżej 20 złotych oraz jeszcze inne rzeczy, tak że rachunek wyniósł 29 złotych, ale go nie uregulował i pozostawiając swoich kolegów zwiął z dworca. Koleżanka tamtej nocy poszła do jego prywatnego mieszkania, ale go nie zastała - opisywała Krystyna. Feralnej nocy widziała, że fryzjer, którego nazwała „łajzą”, kłócił się z Franciszkiem K.

20 marca 1953 roku o godz. 20 Jerzy K. został przesłuchany w

charakterze podejrzanego. Przyznał się do zabójstwa. Jakże podawał motywy?

- 19 marca o godz. 8 rano udałem się do pracy w Jednostce Wojskowej w Kołobrzegu. W miejscu pracy byłem do godz. 11, względnie 11.30. Po tym czasie ładowałem na wóz konny węgiel, na który dostałem przydział w ilości 855 kg. Węgiel został mi odwieziony do domu przez żołnierza, nieznanego mi nazwiska - opisywał.

Z wojskowym zrzucili część węgla, bowiem resztę „przedsiębiorczy” fryzjer postanowił sprzedać. Część zarobionych pieniędzy natychmiast przeznaczył na to, z czego zrezygnować nie potrafił - na wódkę. Po drodze do domu spotkał znajomego kaprała. Jego i swego pomocnika zaprosił do stołu. - Żonie kazałem przygotować coś na ząb. Wódkę postawiłem na stole i wspólnie z żołnierzami do niego usiedliśmy. Żona przyniosła chleb i smażoną słoninę - opisywał. Kiedy flaszka się skończyła żona poprosiła Jerzego, by pomógł jej posprzątać podwórko. Oświadczył, że musi pójść do pracy, jednak tam mu wcale spieszo nie było. W kiosku kupił paczkę Sportów i cztery surowe jajka. Jajka zaniósł bufetowej w barze na dworcu. Kazał jej je ugotować, a sam zasiadł do stołu - „stołu konsumpcyjnego” - jak określił, by poprawić wraz z kolegami procentową zawartość alkoholu w organizmie. Dostrzegł wtedy, że na sali jest właściciel owocami, Franciszek K. Mężczyzna popijał mleko, rozprawiając o czymś z bufetową.

Do jajek imprezujący panowie zafundowali sobie jeszcze bułki. Dostali jednak tylko jeden nóż. Drugi - scyzoryk - wyciągnął z kieszeni jeden z kolegów od kieliszka. To Jerzy K. schował go potem do kieszeni.

Z bam Jerzy K. z kolegami przenieśli się do gospody. Tam pili piwo i wino. Później znów przenieśli się do bam na dworcu. I nadal pili. Wieczorem mężczyźni pożegnali się, ale Jerzy K. nie miał jeszcze zamiar wracać do domu.

- Udałem się do owocami, która znajdowała się w zmjnowanym budynku, w celu kupna wódki. Pieniądzy nie miałem. Chciałem wziąć na kredyt. Za pieniądze w owocami już wódkę kupowałem, ale bez pieniędzy jeszcze nie brałem. Była już godz. 21.15 i drzwi były zamknięte. Zapukałem dwa razy. Właściciel owocami nie pytał „kto tam”, tylko otworzył drzwi. Wszedłem do lokalu i zażądałem jedną czwartą litra wódki. Odpowiedział mi, że wódki nie ma, a nawet, jeśli ma, to mi nie da, bo jestem pijany i zaczął wypychać mnie z lokalu - opisywał 31-letni fryzjer.

Wtedy wyciągnął z kieszeni scyzoryk kolegi. Zamkniętym uderzył

Franciszka w głowę, chwytając go równocześnie za gardło. Właściciel owocami przewrócił się. Jerzy nie przestawał go bić scyzorykiem. Kopał go po głowie.

- Nic nie mówił. Wił się tylko po ziemi. Przewróciłem go z lewego boku na prawą stronę i szukałem portfela z pieniędzmi. Znalazłem w lewej kieszeni marynarki, ale były tam tylko dokumenty. W lewej kieszeni spodni znalazłem pieniądze. 73 złote. Schowałem je w kieszeni i szukałem dalej. Nie znalazłem. Pozostawiłem Franciszka K. w tej pozycji na ziemi i uciekłem. Wybiegając, przewróciłem się. Wtedy z kieszeni płaszcza wypadło mi mydło do golenia. Nie podniosłem go, bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mi wypadło - opisał.

Jerzy K. wrócił do domu i położył się spać. Nie mógł zasnąć. - Sumienie mnie dręczyło - oświadczył. - Zrabowane pieniądze chciałem obrócić na wódkę, ale część oddać żonie i powiedzieć, że zarobiłem, żeby nie mówiła, że ja cały czas zmarnowałem.

Dzień po zabójstwie Jerzy K. poszedł do pracy. I marnował tam czas. Żołnierzowi, który przyszedł się ostrzyć i ogolić kazał przyjść później. Nie zdążył go już przyjąć. Do jednostki przyszli milicjanci. Fryzjer został wezwany do biura przepustek, by zdać swoją. Już wiedział dlaczego.

Sędziowie uznali 31-letniego Jerzego K. za winnego zbrodni zabójstwa i skazali go na karę śmierci. 20 sierpnia 1953 roku Rada Państwa skorzystała z prawa łaski, a kara zamieniona została na dożywotnie więzienie.

Już w 1954 roku osadzony rozpoczął starania o skrócenie wyroku. We wrześniu prośbę o złagodzenie wymiaru kary zaadresował do Rady Państwa. Opisał w niej, jak to ujął, „tragedię swego życia”. Zanim przyjechał do Kołobrzegu mieszkał w powiecie szczecineckim. Wspólnie z żoną prowadził do 1949 roku gospodarstwo. Został aresztowany za sprzedaż „poniemieckiej krowy” i skazany na sześć miesięcy więzienia. „Podczas mego pobytu w więzieniu dowiedziałem się przez władze śledcze o zamordowaniu żony i dzieci w bestialski sposób. Żona była zamordowana i spalona w stodole, a dzieci w mieszkaniu. Po odsiedzeniu kary powróciłem na gospodarstwo, lecz było spalone, zniszczone doszczętnie. I tu zaczęła się tragedia mego życia. Stale widząc obraz zamordowanych dzieci i żony postanowiłem pojechać do Kołobrzegu i tam pracować w jednostce wojskowej w charakterze fryzjera (...). Ponownie się ożeniłem, lecz zawsze widziałem obraz zamordowanych przed oczami i często dostawałem

rozstroju nerwowego. Piłem wódkę, by zapomnieć o rodzinie.”

Jerzy K. podkreślił, że w dniu pełnienia przestępstwa wypił wódki sporo i to ona przyćmiła jego świadomość.

Choć opinia z zakładu karnego o więźniu K. była pozytywna („zło popełnionego przestępstwa zrozumiał i za nie żałuje”, „w celi zachowuje się spokojnie”, „karany dyscyplinarnie nie był”) prośba o ulaskawienie została pozostawiona bez dalszego biegu.

Kolejne lata, kolejne prośby. W każdej następnej swą winę Jerzy K. umniejszał, podkreślając nieumyślność zbrodni, później odwet, bo „Franciszek szarpnął go za włosy”. Niezmienna była odpowiedź: skazany na akt łaski nie zasługuje.

W 1964 roku prośbę o ulaskawienie napisała córeczka z drugiego małżeństwa Jerzego K. „Uprzejmie proszę o przychylne załatwienie mojej prośby, aby tatuś mój wrócił do nas. Może wreszcie dzieci w szkole przestaną mi dokuczać, że nie mam tatusia. Tatuś na widzeniu przyrzekł mi, że już nigdy nie popełni nic złego. Bardzo żałuje za swój błąd.”

Ostatecznie we wrześniu 1968 roku szczeciński sąd zdecydował o warunkowym zwolnieniu Jerzego K., wyznaczając mu okres próby na 5 lat. Został oddany pod nadzór Przedsiębiorstwa Budownictwa Rolniczego w Kołobrzegu, gdzie miał rozpocząć pracę. Otrzymał też bezwzględny zakaz spożywania alkoholu pod rygorem odwołania warunkowego zwolnienia z odbywania kary.

Jeśli rozsmakowałeś się, drogi Czytelniku, w naszej mrocznej przeszłości, zajrzyj na portal www.zbrodniepomorza.pl

Publikujemy na nim zdjęcia wykonane przez śledczych, skany akt sądowych, filmy, w tym dokument o pracy technika kryminalistyki. A może chcesz zajrzeć do miejsc na co dzień niedostępnych - policyjnej izby zatrzymań albo Aresztu Śledczego w Koszalinie?

Dajemy możliwość wybrania się w wirtualną podróż.

I nigdy w inną!